M.B. im. L. W. w Łodzi

Szklane jezdnie

Patrz strona 14

Foto: Grzegorz Gałasiński

- Opiekował się nimi Ślepy Maks — str. 6
- Alarm dla naszej współczesności — str. 4
- Co dziś może handel? — str. 7
- Marzenie o królestwie Bożym na ziemi — str. 3
- Pomalowany ptak z Ameryki — str. 15

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 6 (1558) ROK XXXI 6 LUTEGO 1988 ROKU CENA 25 ZŁ

Tłum turystów człapał w sięgających po kolana nieczystościach główną arterią, czyli Krupówkami.

Rozpacz w Zakopanem

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

W końcu ubiegłego, osiemdziesiątego siódmego roku Zakopane spodziewało się wielkiej inwazji turystów. Kto przyjechał tam przed świętami Bożego Narodzenia z centralnej Polski, zasnutej, jak pamiętamy mgłami i deszczem był doprawdy mile zaskoczony, bo w dzień przed Wigilią zaczął padać śnieg, biała pierzyna szybko przykryła miasto i góry, temperatura zjechała do ośmiu stopni poniżej zera, było mroźno, zdrowo i pięknie.

Z zimowej pogody cieszyli się szczególnie narciarze. Na Krupówkach można było usłyszeć dialogi prowadzone w fachowym slangu:

— *Ujeżdżimy się!*

— *Tak. A w Warszawie plucha i blocko.*

— *Jak ja przyjeżdżam do Zakopanego, to zawsze przywożę pogodę i jeszcze nie było wypadku, żebym się nie ujeździł.*

Mróz i śnieg wprawiły oczywiście w osłupienie zakopiańskie służby porządkowe, samochody tańczyły na oblodzonych, nie posypanych piaskiem jezdniach, a na zaśnieżonych i nieprzejezdnych parkingach kierowcy bili się o miejsce.

Incydenty te nie były jednak w stanie popsuć nikomu humoru na dłużej niż do pierwszego wiligijnego kieliszka wypełnionego owocowym winem lub wiśniówka bo o tym, aby wypić coś w miarę porządnego od czego nie wykręca się pysk można było sobie najwyżej pomarzyć.

Tak czy owak pogoda dopisała. Ludzie spacerowali i patrząc na gałęzie drzew uginających się pod ciężarem śniegu mamrotali pod nosem:

— *Jak w bajce, zupełnie jak w bajce!*

2.

Niezależnie ode mnie, autora, który przyjechał do Zakopanego z jeżdżącą na nartach żoną i jeżdżącym na nartach synem, odwiedził w kilka dni później ten haniebny grajdoł Grzegorz Gałasiński, fotoreporter „Odgłosów" utalentowane i nie zepsute pachole, które również postanowiło się ujeździć, aby nabrać animuszu do dalszej pracy.

Co się tyczy mojej żony i syna, wyruszyli w moim towarzystwie na narty w pierw-

5

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mamę uratował Feliks Dzierżyński, ale — niestety — żył krótko.

Przez całe życie pomagało mi poczucie humoru

JEKATIERINA MIESZCZIERSKA

Mam 83 lata. Całe życie mieszkałam w tym domu. W roku 1917 matka powiedziała mi: *„Nigdy, niezależnie od tego co nas spotka, nie zostawię swojej Ojczyzny"*.

Zanim jeszcze bolszewicy przejęli władzę, mama — właścicielka trzech posiadłości i dwóch pałaców, zwróciła się do Kiereńskiego za pośrednictwem księcia Lwowa z prośbą o wagon dla uratowania naszej galerii obrazów, która znajdowała się w pałacu „Wiesiołyi Podoł" w Połtawie. Mieszczierscy przez kilkaset lat zbierali obrazy zachodnich mistrzów i do pełnej kolekcji brakowało dwóch-trzech nazwisk malarzy z końca dziewiętnastego wieku. Perłą galerii była „Madonna" Sandro Botticellego, wyróżniona nagrodą na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu i oceniona na półtora miliona rubli. W ten sposób, jeszcze za Rządu Tymczasowego, udało się mamie przywieźć do Moskwy bardzo cenne dzieła i uchronić je przed wszelakimi nieoczekiwanymi wydarzeniami. Obawy matki, jak się okazało, nie były przesadzone: Ukraina przybrała miano „samostijnej" i na czele postawiła hetmana. Mamie przysłali paszport ukraiński w twardej okładce zdobionej w ludowe wzory, do którego również i ja, trzynastoletnia córka, byłam wpisana. Z tym dokumentem właścicielka bezcennych skarbów mogła wyjechać do dowolnego kraju i biedy raczej by nie odczuwała. Matka moja była jednak gorąca patriotka i dewiza rodu Mieszczierskich — „Wiara, Obowiązek, Honor" towarzyszyła jej do końca życia.

Ponieważ po śmierci ojca trudno nam było utrzymać nasz dom przy ulicy Twerskiej wynajęliśmy w nim mieszkanie dla mojej matki chrzestnej, hrabiny Miłoradowicz, której przodek był prawą ręką Kutuzowa.

W naszym niedużym mieszkaniu przy ulicy Powarskiej zabrakłoby ścian dla przywiezionych wagonem towarowym, w specjalnych rozsuwanych ramach siedemnastu ogromnych obrazów tym bardziej że i one zajęte były przez portrety, kolekcję porcelany. Mama uprosiło naszych przyjaciół — Prianisznikowów, aby zawiesili te arcydzieła w salonie willi przy zaułku Starokoniuszennym 36.

(Swego czasu z wielkim trudem wybroniłam tę świetną willę, całą rzeźbioną, w rosyjskim stylu, wybudowaną przez „Towarzystwo Lekarzy Rosyjskich" i wyróżnioną nagrodą na wystawie domów w Paryżu. Groził jej spychacz, ale udało mi się skreślić ją z „czarnej listy" przy pomocy artykułu w miesięczniku „Moskwa". Proponowałam, aby urządzić w niej muzeum rosyjskich koronek, wyszywanek itd., albo otworzyć dewizową „Herbaciarnię" dla cudzoziemców — nie wysłuchano mnie jednak.).

Czasy były niespokojne, w Moskwie szaleli anarchiści. Płótno Sandro Botticellego zapakowałyśmy i schowałyśmy.

I nagle mamę aresztowali, przywieźli na Łubiankę i sam Feliks Dzierżyński dał jej do podpisania papier z wyrokiem:

„Była księżna Mieszczierskaja J. za spekulację własnością ludową...".

— *Ja nie mam nic wspólnego z handlem* — powiedziała zdziwiona mama.

— *Sprzedała pani Niemcom „Madonnę" Botticellego.*

— *Nawet mi to na myśl nie przyszło.*

— *Gdzież więc ona jest?!*

— *Proszę o kartkę papieru i ołówek* — poprosiła podejrzana i napisała do mnie słowa, które stały się później sławne: *„Kitti oddaj Botticellego. Mama"*.

— *Dlaczego nie przyniosła pani Botticellego tutaj od razu?*

— *Nie wiedziałam, że trzeba go właśnie tutaj przynieść. Swoje obrazy przywiozłam w biały dzień, i, nie kryjąc się, rozwiesiłam je na ścianach u moich przyjaciół w zaułku Starokoniuszennym. Czekałam, aż mnie wezwie, albo przyśle kogoś po obrazy komisarz ludowy do spraw sztuki Anatolij Łunaczarskij.*

— *No cóż, skoro zdecydowała się pani na pozostanie z nami, proszę się przyzwyczajać. Jeśli będzie pani miała jakieś kłopoty, proszę zwracać się bezpośrednio do mnie,* — powiedział Feliks Dzierżyński, ściskając mamie rękę.

11

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
3[illegible]70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Wiodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz
Kierownik działu: literackiego: Henryk Pustkowski
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, [illegible], Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka - Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 28. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Zam. 275. S-10.

Przegląd prasy

Popularny magazyn amerykański „Time" opublikował obszerny szkic biograficzny Michaiła Gorbaczowa. Zamieszczono również zdjęcia z okresu dzieciństwa i młodości przywódcy radzieckiego. Przedruk tego interesującego materiału można znaleźć w tygodniku „FORUM" (nr 3).

Michaił Gorbaczow urodził się 2 marca 1931 roku we wsi Priwolnoje leżącej około 175 kilometrów od Stawropola. Nadal mieszka tam jego matka, Maria Pantielejewna, którą odwiedza co najmniej raz w roku. Natomiast ojciec, Siergiej, zmarł w 1976 roku. Był kombajnistą w kołchozie. Amerykańscy dziennikarze piszą:

„Maria Pantieliejewna regularnie chodzi na nabożeństwa do prawosławnej cerkwi; podobno ochrzciła swojego syna. Gorbaczow kiedyś powiedział, że jego dziadkowie trzymali ikony w izbie, ukrywając je za portretami Lenina i Stalina, i że raz zabrali go do cerkwi. Dodał jednak, że nie miał żadnej chęci tam powracać. Co prawda wypowiada czasami słowa odnoszące się do Boga, ale są to prawdopodobnie tylko podświadomie powtarzane zwroty, tak rozpowszechnione na wsi rosyjskiej w okresie jego dzieciństwa".

Już jako czternastoletni chłopiec prowadził kombajn podczas wakacji letnich. Spisywał się w tej roli tak dobrze, że cztery lata później otrzymał Order Czerwonego Sztandaru Pracy. Był także dobrym uczniem. Ukończył szkołę ze srebrnym medalem za drugie miejsce w nauce. Pomogło mu to jesienią 1950 roku dostać się na Państwowy Uniwersytet Moskiewski.

W tym samym domu akademickim mieszkała Raisa Maksimowna Titorenko. On studiował prawo, ona zaś filozofię. Pobrali się na początku 1954 roku. Obecnie mają 28-letnią córkę Irinę, która jest lekarzem i żoną lekarza, oraz dwoje wnucząt.

KARIERA MICHAIŁA GORBACZOWA

przebiegała następująco. Po studiach wrócił z żoną do Stawropola i podjął pracę w Komsomole. Potem bardzo szybko awansował w aparacie komsomolskim i partyjnym. W kwietniu 1970 roku został pierwszym sekretarzem Stawropolskiego Krajowego Komitetu KPZR. Miał wtedy 39 lat.

„W Kraju Stawropolskim musiał się stykać z wysokimi osobistościami z Moskwy przyjeżdżającymi na urlop i kurację do tamtejszych uzdrowisk — Mineralnych Wód i Kisłowodska. Działacze ci przekonywali się, że mają do czynienia z człowiekiem pod wieloma względami niezwykłym, inteligentnym i łatwo nawiązującym kontakt. (...) Opinia o młodym przywódcy partyjnym spodobała się dwu ważnym kuracjuszom tych uzdrowisk: Michaiłowi Susłowowi, ówczesnemu głównemu ideologowi partii radzieckiej, i szefowi KGB, Jurijowi Andropowowi, ludziom o surowym trybie życia, zdegustowanym korupcją ery Breżniewa. Kiedy w 1978 r. umarł Kułakow, powstał wakat na stanowisku sekretarza Komitetu Centralnego do spraw rolnictwa. Aby ten wakat wypełnić, sekretarz generalny Leonid Breżniew wybrał prawdopodobnie za radą Susłowa i Andropowa — człowieka, z którym zapoznał się dopiero niedawno. Spotkanie to nastąpiło 19 września 1978 r. na małej stacji kolejowej w Mineralnych Wodach, na której — na krótko — zatrzymał się pociąg Breżniewa. Był to jeden z bardziej godnych odnotowania momentów w radzieckiej historii — na wąskim peronie dworca spotkali się cztery ludzie, z których jeden pełnił, a trzech pozostałych miało pełnić funkcję sekretarza generalnego: Breżniew, Andropow, który przyjechał z pobliskiego uzdrowiska i któremu w 1982 r. przypadła rola następcy Breżniewa; Konstantin Czernienko, wówczas główny współpracownik Breżniewa, a później — w 1984 r. — następca Andropowa oraz Gorbaczow, który w 1985 r. objął funkcję sekretarza generalnego po Czernience. W niespełna na miesiąc po tym spotkaniu Gorbaczow został ściągnięty ze Stawropola i w wieku 47 lat został członkiem najwyższej hierarchii państwowej, zajmując 20 miejsce pod względem ważności spośród wszystkich przywódców radzieckich".

JAK PRACUJE GORBACZOW?

Pierwsze lata pracy w Sekretariacie KC KPZR Michaił Gorbaczow nie zalicza chyba do udanych. W latach 1978—1931, kiedy odpowiadał za sprawy rolne, zbiory spadły z 230 mln ton do zaledwie 155 mln ton. Nie obarczono go jednak winą za ten stan, ponieważ były niekorzystne warunki atmosferyczne i bariery organizacyjne.

Już w 1979 roku został zastępcą członka Biura Politycznego KPZR, a w roku następnym pełnoprawnym członkiem Biura. Miał wtedy o 21 lat mniej niż wynosiła przeciętna wieku pozostałych członków kierownictwa.

Najmłodszy sekretarz KC organizował seminaria naukowe, na których szukano przyczyn trudności gospodarczych i zastanawiano się nad sposobami ich usunięcia. W gronie ekspertów znaleźli się między innymi ekonomista Abel Aganbegian i socjolog Tatiana Zasławska. Ta ostatnia wspomina, że Gorbaczow emanował niezwykłą wprost siłą i energią, lecz potrafił uważnie słuchać do końca.

Obecnie sekretarz generalny KC KPZR twierdził, że wcale nie ma czasu wolnego. Ale wiadomo, że lubi teatr. Podczas przygotowań do szczytu waszyngtońskiego obejrzał premierę sztuki Michaiła Szatrowa „Pokój brzeski". Gdzie i jak długo pracuje?

„Gorbaczow ma apartament na zachodnim przedmieściu miasta. To stamtąd codziennie o godz. 9 rano jedzie do śródmieścia w kawalkadzie składającej się z 4 ziłów: jeden wóz ma dla siebie, w dwóch jadą współpracownicy i ochrona osobista; czwarty wóz jest pojazdem ze szczelnie zasłoniętymi oknami i wystającymi antenami. — prawdopodobnie znajduje się w nim sprzęt służący do przekazywania zaszyfrowanych decyzji. Główne biuro Gorbaczowa znajduje się na 5 piętrze siedziby Komitetu Centralnego, o paręset metrów od Kremla; ma on również gabinet w budynku tuż za Mauzoleum Lenina, a więc już za murem Kremla, ale korzysta z niego głównie w celu podejmowania gości. Powraca do domu zazwyczaj o 6 wieczorem. Wzdłuż trasy na Prospekcie Kutuzowa pojawia się wtedy specjalna milicja drogowa, aby zapewnić czterem limuzynom swobodny przejazd. Gorbaczow pozostaje w śródmieściu do późna tylko wtedy, kiedy ma do spełnienia jakąś specjalną funkcję reprezentacyjną lub kiedy, a zdarza się to często, regularnie odbywane co czwartek posiedzenie Biura Politycznego przeciągnie się do wieczora".

Ktoś powiedział, że Związek Radziecki nie jest zwyczajnym państwem, lecz ze względu na swą wielkość jest raczej kontynentem. W latach 1950—1986 liczba ludności tego kraju wzrosła w granicach 55 procent.

WYSOKI PRZYROST NATURALNY

W latach 1980—1986 na 100 osób w wieku zdolności do pracy wzrosła liczba osób w wieku nieprodukcyjnym z 63,6 do 72,2. Poza tym w grupie produkcyjnej tylko niespełna 80 proc. faktycznie podejmuje pracę. Pojawia się więc pytanie, czy setka osób zdolnych do pracy (nominalnie) potrafi zarobić na rosnącą liczbę dzieci i młodzieży oraz ludzi w podeszłym wieku? Czy w przyszłości Polska znajdzie się w pułapce demograficznej? Może to nastąpić tylko wtedy, jeżeli nie nastąpi odpowiedni postęp techniczny. Już od drugiej połowy lat pięćdziesiątych nie potwierdza się prawidłowość, że wielkość dochodu narodowego zależy przede wszystkim od wzrostu zatrudnienia.

„Kto mówi, że polskie wyże, niże i zawirowania demograficzne utrudniają gospodarowanie — konkluduje Tomasz Mąt — ma rację. Nie pozostają też bez wpływu na procesy społeczne. To trzeba sobie uświadomić, co jednak nie znaczy polubić czy też zlekceważyć. Nie musimy się uciekać do radykalnych środków zwiększających przyrost naturalny czy też przyrost ten naruszających. Ale demograficzne uwarunkowania trzeba wliczać do społecznych i gospodarczych scenariuszy rozwoju. Ograniczać zjawiska niekorzystne, dyskontować demograficzne atuty".

CO NAS CZEKA?

Z najnowszego komunikatu Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w 1987 roku dochód narodowy Polski wzrósł zaledwie o 2 (słownie — dwa) procent. Tempo wzrostu było, niestety, niższe niż w 1986 roku i niższe od założonego w Centralnym Planie Rocznym.

Na temat sytuacji naszego kraju ukazała się ostatnio ciekawa książka w Stanach Zjednoczonych. Omawia ją w najnowszej „POLITYCE" (nr 5) Bogdan Góralczyk. Redaktorzy tomu — Paul Marer z Uniwersytetu Indiana i Włodzimierz Siwiński z Uniwersytetu Warszawskiego — piszą:

„Przez mniej więcej 35 ostatnich lat Polska wielokrotnie przechodziła przez cykle kryzysów, reform i stagnacji. Stąd władzom brakuje wiarygodności w kraju i na zewnątrz, gdy wychodzą z propozycjami reform. (...) Apatia społeczeństwa i pozycja istniejących interesów stanowią dwie najpoważniejsze przeszkody wobec reform. Tak więc, nawet jeśli tym razem władze są autentycznie przekonane co do konieczności zmian, ich wprowadzenie będzie hamowane poprzez opozycję ze strony zarządzających, którzy musieliby przyjąć większe ryzyko i odpowiedzialność; przez okopaną na swych pozycjach biurokrację, której władza będzie musiała być zmniejszona; a nawet przez niektórych robotników, którzy w mniejszym stopniu będą mieli zagwarantowane bezpieczeństwo stałej pracy".

Na podstawie istniejącej sytuacji można sądzić, że czekają nas ciężkie dni i miesiące. Zygmunt Szeliga stwierdza, że jest to rok szans, nadziei i obaw. Przy czym największą niewiadomą są postawy i zachowania społeczne. Te ostatnie — jak pisze w miesięczniku „ODRA" (nr 12) Maciej Iłowiecki — nie dadzą się przewidzieć w większej skali. Cechą systemów otwartych (na szczęście) jest nieprzewidywalność...

„Oznacza to zawsze istnienie nadziei: wbrew nawet najbardziej pesymistycznej ocenie realnej sytuacji, mogą się zdarzyć (i zdarzają się) rzeczy nierealne i nieprzewidywalne".

E.L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Pacjent po zabiegu

Pacjenci, jak wiadomo, dzielą się na tych, co w obliczu oczekującej ich operacji decydują się na zabieg bez wahania i niemal sami pchają się na stół (mówiąc brutalniej — idą pod nóż), oraz na tych, co wynajdują niezliczone wybiegi, pozwalające odwlec niemiłą decyzję. Jedni uważają, że im szybciej zliczone tym lepiej, inni, że nie są jeszcze gotowi, a którzy mają rację — nie ulega wątpliwości. Pominąłem kategorię tych, co nie potrafią prawdzie spojrzeć w oczy i giną bezapelacyjnie.

Wiem, proszę czytelników, że w każdym porównaniu tkwi ryzyko przynajmniej częściowego rozminięcia się z rzeczywistością, a operacja chirurgiczna nie pod każdym względem da się porównać do cenowo-płacowej, choć każda może być na swój sposób bolesna i niepewna, ale załóżmy, że w obu sytuacjach jedno będzie identyczne: nieuchronność zabiegu.

Nie tylko polscy ekonomiści, bo inni jeszcze wcześniej, doszli do wniosku, że do utrzymania porządku w gospodarce niezbędne jest doprowadzenie cen do takiego poziomu, który przynajmniej bliski jest faktycznym kosztom wytwarzania, a tym samym orientuje w prawdziwych relacjach między kosztami poszczególnych produktów czy usług. Starsi z nas pamiętają, jak przez szereg lat powojennych odnosiliśmy się krytycznie do zaledwie kilku czy kilkunastozłotowego czynszu za komfortowe mieszkanie (w cenie bodaj pary skarpetek), ponieważ nie mógł on zapewnić administracji budynków mieszkalnych i w ogóle gospodarce komunalnej środków na konserwacje i bieżące remonty, co doprowadziło do opłakanego stanu znacznej części substancji mieszkaniowej.

Podobne przykłady z różnych dziedzin gospodarki można by przytaczać bez liku aż po chwilę obecną, bo choć ceny ostatnimi laty odczuwalnie wzrosły, to jednak z powodu utrzymywania się dotacji dla niektórych dziedzin, większość z nich nadal nie pozostaje w rozsądnym stosunku do nakładu kosztów. Znana to rzecz, iż przemysłowi ciągle nie opłaca się oszczędzać na prądzie, gazie czy innych źródłach energii, (gdyż są one relatywnie za tanie), a za tę niegospodarność dopłacamy my, konsumenci wyrobów przemysłowych — albo płacąc za nie nadmiernie wysokie ceny, albo mając „urwane" z pensji na dotowanie ich wytwarzania.

Po cóż się tu dalej rozwodzić nad sprawami znanymi każdemu, kto chciał się nad nimi zastanowić idąc do referendum! Jedną wszakże okoliczność każdy z nas laików powinien sobie uświadamiać nieustannie, że cen nikt sobie nie wymysla „z sufitu" czy też nie wysysa z palca, lecz wynikają one w sposób nieubłagany ze stanu gospodarki, toteż jeśli nie płacimy w sklepie za towar, ile jest wart naprawdę, możemy być spokojni, że skarb państwa już zadba o to, żebyśmy tę sumę mieli nie dopłaconą do zarobków.

Owszem, można by u nas utrzymać ceny zachowując dotychczasowe dotacje, ale kosztem zaciągania dalszych pożyczek, bez których nie spłacone odsetki i tak zwiększają stale nasze zadłużenie. Na upartego można by więc powiedzieć, że ceny są kategorią niemal tak obiektywną, jak obroty Ziemi; pierwszych nie powinniśmy gwałcić pod groźbą ekonomicznej niewydolności, a na drugie na szczęście nie mamy wpływu, bo cóż byśmy za galimatias wytworzyli w kosmosie...

Słyszy się też, że jeśli wzrost cen usiłujemy uczciwie rekompensować w płacach, to czy nie prościej byłoby zahamować jedne i drugie. Nie będąc ekonomistą kapituluję przed argumentami, że ruch cen w górę wynika ze stałego wzrostu pozyskiwania surowców (np. coraz trudniej dostępnych kopalin) ze wzrostu kosztów wydajności rolnictwa (nawozy, maszyny, energia itp), i tak już się na świecie dzieje, że nawet za dolara kupuje się w jego ojczyźnie mniej niż dawniej. Cały „dowcip" więc w tym, żeby wzrost cen był co najmniej wyrównywany wzrostem płac, (a także emerytur i rent), a jeszcze lepiej, jeśli choć z minimalną nawiązką (jeśli stać na to gospodarkę kraju).

Daleko nam jeszcze do takiej zdrowej gospodarki, która na producentach wymusza oszczędną i konkurencyjną produkcję, ale właśnie ostatnie decyzje mają nam to przybliżyć. Oczywiście, nie dam głowy za ekonomistów i działaczy gospodarczych, że uwzględnili wszystkie konieczne okoliczności dokonanej operacji. Zresztą obecne posunięcia są wypadkową zarówno określonej interpretacji wyników referendum, jak i przetargów, a wreszcie zapewne nieuniknionych kompromisów pomiędzy rządem a związkami zawodowymi. Rozsądna wydaje mi się sugestia, aby w połowie roku ocenić czy stopień inflacji nie przekroczył założonego, a rekompensaty ewentualnie skorygować, aby nie dopuścić do sytuacji ze znanego powiedzonka: „Operacja się udała, ale pacjent zmarł"...

Ale poza tym wszystkim, o czym najczęściej mówimy, wydaje mi się, że bardzo ważny jest pewien zaczynający się proces w świadomości społecznej. Zaczyna chyba zmierzchać era, kiedy winę za niedomagania gospodarki i obniżanie poziomu życia można było składać na karb niewłaściwych postaw świata pracy, tj. jego niedostatecznej pracowitości i lekceważenia obowiązków. Wszyscy, zarówno rządzący, jak i rządzeni zaczynamy skupiać uwagę na strukturach i mechanizmach gospodarczych, a jeśli coś nie wypali, będzie to z reguły błąd tych, co za nie odpowiadają. A więc wina i odpowiedzialność konkretnych osób na wszystkich szczeblach!

I chyba niewiele nam da zastanawianie się, czy do drugiego etapu reformy nie trzeba było przystąpić o ileś miesięcy wcześniej i zdecydować się na wersję radykalniejszą, wprawdzie dotkliwszą, ale rokującą szybszą poprawę sytuacji, za czym ja bym się („na wyczucie") opowiadał. Ponadto ceny umowne, które powinny stać się dowolne, nie powinny podlegać ograniczeniom. Im bardziej reforma konsekwentna, tym lepiej zrozumiała dla wszystkich.

Na razie jesteśmy jakby oszołomieni, jak byśmy dochodzili do siebie po narkozie, a trzeźwiejąc zaczynamy liczyć, może też układać preliminarz domowych wydatków, co oby nam się stało nawykiem, jak to bywa nawet, a może zwłaszcza, w społeczeństwach zamożnych.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Paweł Cegielka z Bychlewa nie śnił nawet, że po z górą czterdziestu latach wokół młyna będą się rozgrywać sceny jakby żywcem wzięte z westernu i że kres temu położył komisarz w randze majora, a dziedzicami Sereczyna staną się późniejsi sąsiedzi Cegielki, mieszkający we wsi Jutrzkowice, którą w 1921 roku przyłączono do Pabianic i nazwano ulicą Jutrzkowicką — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Nie byłem pierwszym, ale jednym z pierwszych, którzy tworzyli czołówkę baletu. Było bardzo ciężko, ale robiliśmy wszystko z ogromnym zapałem i nie było czasu zastanawiać się, w jakich warunkach pracujemy — mówi znakomity tancerz i pedagog WITOLD GRUCA.

— Nie znając dobrze przepisów, bo i skąd, gdy się nie jest prawnikiem, zaufał Józef N. adwokatowi, choć wcale nie miał zamiaru stawać się właścicielem działki w Strobinie, ani nawet domku, który własnoręczne postawił. Po co? Chciał przecież tylko pomóc rodzinie... reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO.

— Wokół Kominternu narosło niemało mitów i legend. A jaka jest prawda o tej organizacji międzynarodowej? — artykuł PAWŁA SAMUSIA.

Uniwersytet w Bonn

Niewiele wspólnego z marksizmem ortodoksyjnym ma przekonanie, że można w pełni świadomie i planowo kształtować proces społeczno-historyczny

Błędny rycerz czy realista?

EDMUND LEWANDOWSKI **(2)**

W znanym liście do Józefa Weydemeyera z 5 marca 1852 roku Marks przyznaje, że na długo przed nim historycy burżuazyjni ukazali rozwój walki klas, a ekonomiści burżuazyjni przedstawili anatomię ekonomiczną klas. Natomiast on udowodnił, że istnienie klas związane jest tylko z określonymi fazami rozwoju produkcji; że walka klasowa prowadzi nieuchronnie do dyktatury proletariatu, która będzie przejściem do społeczeństwa bezklasowego.

Guizot, Thierry i Mignet byli więc blisko materializmu historycznego. W owych czasach istniała już bowiem dążność w tym kierunku. Warunki dojrzały do odkrycia.

Co odkrył Karol Marks?

W grudniu 1881 roku zmarła żona Marksa. Przeżyła 67 lat. Rok później umarła starsza córka — Jenny Longuet. Miała 38 lat, osierociła pięcioro dzieci. Wypadki te całkowicie załamały Karola Marksa. Zmarł w Londynie 14 marca 1883 roku w wieku 65 lat. Zaledwie o 15 miesięcy przeżył swą żonę, obok której pochowano go na cmentarzu w Highgate.

Po śmierci przyjaciela, Fryderyk Engels krótko podsumował jego dorobek. W artykule na łamach „Der Sozialdemokrat" wymienił dwa główne odkrycia Karola Marksa: zasadę materializmu i prawo wartości dodatkowej. W pierwszej kwestii czytamy:

„Podobnie jak Darwin odkrył prawo rozwoju świata organicznego, tak Marks odkrył prawo rozwoju dziejów ludzkich — ten prosty, przesłonięty dotychczas ideologicznymi nawarstwieniami fakt, że ludzie muszą przede wszystkim jeść, pić, mieszkać, zanim mają możność zajmować się polityką, nauką, sztuką, religią itd., że przeto produkcja bezpośrednich materialnych środków utrzymania, a więc każdorazowy szczebel ekonomiczny rozwoju danego narodu albo danego okresu, stanowi podstawę, z której rozwijają się instytucje państwowe, poglądy prawne, wyobrażenia estetyczne i nawet religijne danych ludzi i z której wychodzić należy przy tłumaczeniu tych zjawisk, nie zaś na odwrót, jak to dotąd robiono" (MED 19,373—374).

Jeśli ktoś chce wiedzieć, na czym polega istota marksizmu, powinien uważnie zapoznać się przynajmniej z tym cytatem. Jest to najlepsze wyjaśnienie sensu materializmu historycznego.

Z kolei drugie odkrycie Karola Marksa dotyczy kapitalistycznego sposobu produkcji. Stwierdził otóż, że właściwym źródłem zysku i akumulacji jest nie opłacona część pracy robotnika — wartość dodatkowa. Siła robocza wytwarza faktycznie więcej wartości niż sama jest warta. Jej wartość użytkowa różni się od wymiennej. Kapitalista kupuje pierwszą, a płaci za drugą. Przez to kapitalistyczny zysk jest **wyzyskiem** klasy robotniczej. Prywatne nabywanie siły roboczej rodzi nieuchronnie wyzysk i alienację.

Przez całe swe dojrzałe życie Karol Marks szukał odpowiedzi na jedno zasadnicze pytanie: dlaczego proces społeczno-historyczny ma charakter żywiołowy, skoro jest wytworem istot działających świadomie i celowo? Dlaczego ludzie nie mają kontroli nad tym, co sami tworzą? Co jest przyczyną tej alienacji?

Pamiętajmy, że nie uznawał on żadnego podmiotu pozaludzkiego: ani chrześcijańskiego Boga, ani heglowskiego Absolutu. Był przekonany, że sami ludzie tworzą historię, lecz krępują ich zastane okoliczności, czyli to, co stworzyły poprzednie pokolenia.

Optymizmu historiozoficznego Marksa nie podzielał wybitny historyk francuski, zmarły niedawno Fernand Braudel. Jego zdaniem, ludzie nie tworzą swej historii. W ostatnim wywiadzie mówił:

„Marks myli się twierdząc, że ludzie są twórcami historii; wydaje się natomiast pewne, że to historia tworzy ludzi, którzy jej ulegają"

Marks jednak rozumiał, że ludzie nie mogą działać dowolnie. Lecz wydawało mu się, że korzenie alienacji człowieka tkwią w systemie produkcji opartym na własności prywatnej. Kolejne ustroje społeczno-ekonomiczne traktował jako epoki postępowe i wierzył, że świat zmierza w kierunku społeczeństwa bezklasowego. Już w systemie kapitalistycznym dostrzegał proces uspołeczniania środków produkcji (spółdzielnie i spółki akcyjne). Kapitał akcyjny uważał za *„pomost do komunizmu"* (MED 29,370—371).

Naukowy obraz historii

W eseju, na który powoływałem się w poprzednim odcinku tego artykułu, Stanisław Vincenz pisze między innymi:

„Zgodnie z Marksem musimy być czujni odkrywając prawdziwe przyczyny, głęboko ukryte przed naszym poszukiwaniem. Zdaniem Marksa to właśnie filozofia powinna zajmować się tymi ukrytymi prawdami. Niestety, jak widzimy zwłaszcza dzisiaj, marksizm pretenduje do dialektycznego wyjaśniania przyczynowości historycznej, z możliwością zmiany status quo zgodnie z ludzkimi życzeniami".

Karol Marks rzeczywiście uważał, że ważniejszą sprawą od poznania świata jest kwestia jego przekształcenia. Podobną zresztą tezę (do jedenastej o Feuerbachu) znacznie wcześniej sformułował Voltaire. Już w 1756 roku napisał: *„Prawdziwy filozof myśli po to, by zmieniać".*

Czy to znaczy, że Karol Marks wierzył w możliwość zbudowania świata zgodnego z ludzkimi pragnieniami? Czy zakładał, że ludzie będą kiedyś świadomie i planowo kształtować cały proces historyczny? Gdyby tak sądził, byłby człowiekiem naiwnym i łatwowiernym jak Don Kichot.

W systemie Marksa istnieje dramatyczna sprzeczność między założeniami aksjologicznymi a wnioskami teoretycznymi. Pod względem aksjologicznym marksizm jest absolutnym humanizmem, ponieważ przyjmuje, że najwyższą dla człowieka istotą jest człowiek, a wszelka religia jest urojonym szczęściem i opium ludu. Natomiast w aspekcie ściśle teoretycznym (naukowym) marksizm — jak to określił Louis Althusser — jest antyhumanizmem. Odrzuca bowiem jakiekolwiek ideologiczne i moralistyczne interpretacje historii. Człowiek ujmuje jako mało ważący element w sieci struktury społecznej. Historia globalna jest procesem bezpodmiotowym.

W przedmowie do pierwszego wydania „Kapitału", chcąc uniknąć nieporozumień, Karol Marks zaznacza, że osoby stanowią w jego dziele tylko uosobienie kategorii ekonomicznych, interesów i stosunków klasowych. Pisze on:

„Mój punkt widzenia ujmuje rozwój ekonomicznej formacji społeczeństwa jako proces przyrodniczo-historyczny; dlatego też w mniejszym stopniu niż jakikolwiek inny punkt widzenia może on obarczać jednostkę odpowiedzialnością za stosunki, których sama, społecznie biorąc, pozostaje wytworem, choćby je subiektywnie przerastała" (MED 23,6)

Marks powiada, że każdy naród może i powinien uczyć się od innych, ale żaden nie jest w stanie przeskoczyć naturalnych faz rozwoju społecznego ani usunąć ich dekretami — nawet gdy wpadnie na właściwy trop swych dziejów. Można tylko skrócić i złagodzić męki porodowe nowego ustroju. W takim przypadku przemoc jest po prostu „akuszerką" (MED 23,392).

W posłowiu do drugiego wydania „Kapitału" Karol Marks z aprobatą cytuje wykład jego metody naukowej przedstawiony w „Wiestniku Ewropy" przez Illariona Kaufmana, profesora uniwersytetu petersburskiego. Ekonomista rosyjski tak charakteryzuje Marksowski punkt widzenia:

„Marks rozpatruje ruch społeczny jako proces przyrodniczo-historyczny, którym rządzą prawa nie tylko niezależne od woli, świadomości i zamiarów człowieka, lecz odwrotnie, określające jego wolę, świadomość i zamiary" (MED 23,17).

Według teorii Marksa wielkie wydarzenia historyczne przebiegają **nieświadomie**. To znaczy, że w danym kształcie nikt ich nie pragnął. Nawet wielcy ludzie albo chcieli czegoś innego, albo nie spodziewali się dalszych następstw.

Czy mając taką koncepcję historii, Marks mógł sądzić, że kiedykolwiek zostanie w pełni zniesiona alienacja? Czy mógł zakładać, że w komunizmie uda się całkowicie świadomie i planowo kształtować proces społeczno-historyczny? Musiałby przecież zaprzeczyć sobie samemu.

Byt a świadomość

Nie wiem, na jakiej podstawie Herbert Marcuse twierdzi, że Marksowska zasada materializmu odnosi się tylko do społeczeństw klasowych? Marks nie napisał przecież nigdzie, że w socjalizmie byt społeczny nie będzie już określał świadomości społecznej. Nie zapowiadał, że prawo materializmu historycznego doprowadzi do swego samozaprzeczenia.

Nawiasem mówiąc: pogląd, że w przyszłości zasada materializmu historycznego ulegnie odwróceniu i zapanuje miłość, wyznawał Pierre Teilhard de Chardin. Wynika to z pewnego schematu, który znaleziono w jego notatkach.

Karol Marks natomiast przewidywał zniesienie wyzysku kapitalistycznego i ustanowienie dyktatury proletariatu. W ten sposób bezpośredni wytwórcy mieli zapanować nad swym własnym bytem społecznym. Niewiele jednak wspólnego z marksizmem ortodoksyjnym ma przekonanie, że kiedyś można będzie całkowicie świadomie kierować historią. Jest to przecież marzenie o królestwie Bożym na ziemi.

Już młody Marks podkreślał, że w procesie rewolucyjnym nie wystarcza, aby myśl zmierzała do urzeczywistnienia się, trzeba jeszcze, żeby sama rzeczywistość narzucała myśl. Urzeczywistnić świadomie i planowo można tylko to, co już materialnie dojrzało do urzeczywistnienia.

„Żadna formacja społeczna nie ginie, zanim się nie rozwiną wszystkie te siły wytwórcze, którym daje ona dostateczne pole rozwoju, a nowe, wyższe stosunki produkcji nie zjawiają się nigdy na jej miejsce, zanim w łonie starego społeczeństwa nie dojrzeją materialne warunki ich istnienia. Toteż ludzkość stawia sobie zawsze tylko takie zadania, które może rozwiązać, bo gdy się bliżej przyjrzeć tej sprawie, okaże się zawsze, że samo zadanie wyłania się dopiero wówczas, kiedy materialne warunki rozwiązania go już istnieją lub co najmniej znajdują się w procesie stawania się" (MED 13,9—10).

W szkicu listu do Wiery Zasulicz, wypowiadając się na temat kolektywizacji rolnictwa, Marks zaznaczył, że do tego *„potrzeba dwóch rzeczy: ekonomicznej potrzeby takiego przekształcenia i materialnych warunków do jego realizacji"* (MED 19,438).

A tymczasem komuniści — zapominając o teorii Marksowskiej — działali zwykle według idealistycznej zasady, że na początku było Słowo, które **musi** stać się ciałem. Wymyślano ideały społeczno-moralne oderwane od rzeczywistości i próbowano je na siłę realizować. Jeśli idea nie odpowiadała rzeczywistemu światu, to tym gorzej było dla świata.

Wydumane idee rozbijały się wciąż o twarde rafy rzeczywistości. Byt społeczny przypominał nieraz brutalnie o swym prymacie. A błędni rycerze historii uczyli się bardzo powoli. Teraz chyba dopiero wyciągają prawidłowe wnioski? Po wielu przykrych doświadczeniach zrozumieli wreszcie — jak Don Kichot — że między światem „prawdziwym" a rzeczywistym istnieje przepaść nie dająca się dziś pokonać.

Już na łożu śmierci Alonzo Quijano Dobry, czyli Don Kichot z Manczy, mówił do swojej siostrzenicy:

„Mam już sąd swobodny i jasny, wolny od ciemnych oparów ignorancji, jakimi okryło go ustawiczne rozczytywanie się we wstrętnych księgach rycerskich. Widzę teraz ich brednie i kłamstwa i ciężko mi jeno, że to rozczarowanie przyszło tak późno i nie stanie mi czasu, aby zło odrobić czytając inne książki, które są światłem duszy".

Gdyby problem sprowadzał się rzeczywiście tylko do lektury odpowiednich książek, to myślę, że dzieła Karola Marksa w pełni zasługują na zaufanie. Można je bez wahania polecić nieuprzedzonym poszukiwaczom prawdy.

Córki Marksa: od lewej Jenny i Laura w latach 50. i Eleonora w latach 60.

Miasta polskie zamierają po zamknięciu sklepów i zapadnięciu zmroku.

Co z tym zrobić?

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

W rodzinie jak w soczewce skupiają się wszystkie problemy społeczne. Jeżeli jest chore społeczeństwo, następuje degradacja rodziny. Jak długo rodzina może bronić swoich członków przed skutkami upadku moralnego społeczeństwa, trudno powiedzieć, ale tendencję taką można zaobserwować a nawet poddać ją refleksji teoretycznej.

Właśnie problemom patologii społecznej widzianej przez pryzmat rodziny poświęcona jest nowa książka **Marii Jarosz** pt.: „Dezorganizacja w rodzinie i społeczeństwie", PTE 1987 r.

Rodzina w Polsce powojennej uległa przeobrażeniom choć nieco powolniejszym, aniżeli sfery życia społecznego, co wynika z jej właściwości historycznie i kulturowo ukształtowanych. Burze dziejowe i drobne potyczki, zmiany gospodarcze i polityczne nie omijają rodziny, ale jej nie zmieniają w sposób zasadniczy. Rodzina powstała na początku ludzkości i jako forma społeczna ostała się ulegając korektom. Zmieniały się formacje — a rodzina istnieje i istnieć będzie. Tym bardziej jest warte zastanowienia się, jakie negatywne tendencje narastają i czym są one spowodowane.

Używając języka technicznego należy wskazać, że mamy do czynienia ze sprzężeniem zwrotnym — procesy i zjawiska w skali makro — wpływają na rodzinę, a ona przez swych członków ma wpływ na życie społeczne.

Kryzysy gospodarcze lub może lepiej powiedzieć kryzys w różnym stopniu występujący od lat 42 z jego specyficzną formą braku towarów, produktów, usług, wpływa na funkcjonowanie rodziny, a zaangażowanie członków rodziny na rzecz jej obrony i utrzymania, wpływa na obniżenie aktywności zawodowej, społecznej, politycznej, kulturalnej, a więc wpływa i to bezpośrednio na stan gospodarki jako całości, na stan społeczeństwa.

Dla przykładu, **dom zabiera kobiecie pracującej** przeciętnie 6 godzin dziennie, ale angażuje także czas pozostałych uczestników gospodarstwa rodzinnego. Rodzina broni się przed degradacją mniej lub bardziej skutecznie. **Krystyna Zielińska** mówi:

„Jak wygląda dzień w przeciętnej polskiej rodzinie? Wydaje się setki poleceń, a rozmowy sprowadzają się do pytań: wykupiłeś? załatwiłeś? odebrałeś? byłeś? (...) Dom prowadzą dwie zaradne kobiety, z których jedna jest — biorąc pod uwagę płeć — mężczyzną"

Zdaniem badaczy **około 20—25 proc. rodzin w Polsce** żyje dostatnio, a drugie tyle poniżej minimum socjalnego, co oznacza postępującą od lat degradację poziomu zaspokajania potrzeb w rodzinie, co w moim przekonaniu ma także niemały wpływ na dezorganizację rodziny.

Maria Jarosz w omawianej książce wskazuje na wpływ na dezorganizację rodziny wielkich i historycznych już dziś procesów społecznych, jak urbanizacja, industrializacja, ruchliwość przestrzenna i towarzysząca mu zmiana struktury klasowo-warstwowej. Procesy te nazywam historycznymi, ponieważ odbudowa i intensywna industrializacja to okres, o którym w roku 1987 można mówić jako o przeszłości. Procesy ruchliwości przestrzennej bardzo znaczące ilościowo, wędrówki Polaków w różnych kierunkach uległy zahamowaniu, wcale nie dlatego, że staliśmy się mniej ruchliwi, ale dlatego, że postawione zostały mury nie do sforsowania nawet dla najbardziej dynamicznych jednostek. Wyjazdy na Zachód po roku 1980 i deklaracje o ewentualnej migracji zarobkowej nie są tak liczne, aby mogły wpływać na życie społeczne, na sytuację rodziny w Polsce, aby można je uznać za przyczyny patologii, bo nimi po prostu nie są. Porzucili rodziny ci, którzy i w Polsce nie chcieli dalej utrzymywać starych więzów rodzinnych, a przecież wielu migrantów sprowadziło lub chce sprowadzić do siebie bliskich pozostawionych w Polsce.

Procesy urbanizacyjne ograniczone stanem gospodarki także nie mogły aktualnie tłumaczyć skalę obserwowanej dezorganizacji rodziny, być przyczyną bezpośredniej patologii społecznej. Urbanizacja życia na wsi, wejście do rodzin wiejskich pewnych wzorów miejskich jest raczej zjawiskiem pozytywnym. A życie miejskie? Czy w ogóle w Polsce można mówić o życiu wielkomiejskim w zachodnim tego słowa znaczeniu, w światowym tego słowa znaczeniu? **Miasta polskie** zamierają po zamknięciu sklepów i zapadnięciu zmierzchu, to znaczy, że pora roku ma wpływ na kształt ruchu wielkomiejskiego, a nie cechy dla wielkomiejskości właściwe. Właśnie ta ruralizacja życia miejskiego jest cechą charakterystyczną dla współczesnej — powojennej Polski. Inaczej mówiąc — przyczyn dezintegracji rodziny i społeczeństwa polskiego w latach 80. należy szukać poza historycznie ukształtowanymi.

Czy wskaźnikami dezorganizacji rodziny i społeczeństwa są jedynie zjawiska patologiczne jak rozwody, alkoholizm, narkomania, przestępczość przeciw rodzinie i przestępstwa gospodarcze? Sądzę, że poza wymienionymi są i inne nie mniej ważne i nadające się do opracowań statystycznych zjawiska, jak **upadek ethosu pracy** — mierzony niską jakością, wydajnością, dyscypliną pracy, marnotrawstwem czasu, surowców, płodów rolnych, jak choroby i to nie tylko alkoholizm, ale i układu krążenia, trawienia, układu nerwowego. Wzrost zachorowań na choroby układu nerwowego, choroby psychiczne jest także wynikiem dewastacji środowiska naturalnego. A właśnie dewastacja środowiska naturalnego, brud, którego nie można wytłumaczyć tylko „okresowymi trudnościami" — jak to się ładnie pisze — ze zdobyciem „środków utrzymania czystości" — jest także zjawiskiem patologicznym.

Wreszcie sprawa **sytuacji ludzi starych**, emerytów. Poziom emerytur, istnienie tak zwanych starych portfeli to zjawisko patologiczne. Brak opieki nad ludźmi starymi, myślę, że jest w zakresie podobny rozmiarami do liczby dzieci porzuconych. **Dzieci i starcy są bezradni**, tylko jedni na początku a drudzy na końcu swego życia. Oczywiście łatwiej mówić i pisać o alkoholizmie. Niedawno (15 XI 1987 r.) w Warszawie na Torwarze odbywał się mityng przeciw alkoholizmowi. Pragnę przypomnieć, że także mityngi organizowane były w całej Polsce w roku 1986 — pt. Walki o zdrowie moralne społeczeństwa. Na posiedzeniu w Belwederze — w dniu 6 kwietnia 1986 roku mówiono o alkoholizmie, proponowano podjęcie walki poprzez stanowcze realizowanie ustawy o wychowaniu w trzeźwości, produkcję alkoholi niskoprocentowych, sprzedaż alkoholu w mniejszych opakowaniach. Okazało się, że nie ma małych butelek, sprzedaż alkoholu niskoprocentowego się nie opłaca. Komu się nie opłaca pakować alkoholu w 100-gramowe opakowania? Dlaczego opłaca się naszym sąsiadom w NRD? Póki co, spożycie alkoholu rośnie, wzrosło także od 1986 r., kiedy to tak dużo mówiono o zdrowiu moralnym Polaków.

Maria Jarosz podaje statystykę. W roku 1938 przeciętny Polak spożywał 1,5 l czystego alkoholu, a w 1987 r. szacuje się, że będzie tego około 10 litrów na głowę. Jak informuje „Polityka" (14. XI. 1987 r.) w pierwszym półroczu 1987 r. wykryto (a ile nie wykryto) 31 tys. przypadków picia alkoholu w zakładzie pracy, ale ukarano tylko 5 tys. osób!

W Polsce sprzedaje się alkohol za miliardy złotych i miliony dolarów. Przecież te miliony dolarów nie zostawiają obcokrajowcy. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, jakie sumy są przeznaczane na zakup bimbru, choć nie jest dla nikogo tajemnicą, że jest pędzony i sprzedawany.

Rodzina „integruje" się wokół butelki z wódką, bo jest ona łatwo dostępna, choć każdy uzna, że nie bardzo tania. Proszę nie mówić, że to demagogia, ale co można interesującego kupić za 1000 zł. Dobre wino, aperitif, czekoladę, czekoladki, dobre słodycze, owoce. W ZSRR kilo pomarańcz kosztuje 2 ruble, butelka wódki 9,5—10,5 rb, jak informują znawcy sprawy w „Polityce". U nas pomarańcz na ogół brak. Policzyłam (proszę nie mówić, że to demagogia — to jest liczebnie proste) — jeżeli 1 butelka wódki kosztuje 1000 zł, a Polak przeciętnie wypija około 20 butelek rocznie, to daje sumę 20 tys. zł. Kolorowy telewizor, który może mógłby być alternatywą dla alkoholu, kosztuje 250 tys. zł. Gdyby przeciętny Polak nie pił alkoholu, to po 12 latach odłożyłby na telewizor, a ile czasu musiałby oszczędzać na antenę satelitarną? Jeżeli ktoś powie, że należy podnosić ceny alkoholu, to popełni zbrodnię właśnie na rodzinie, bo i tak to niczego nie zmieni. Przykłady — cały powojenny okres podnoszenia cen alkoholu i rosnące równolegle jego spożycie. **Marek Kotański** nic tu nie pomoże, choć pełen jest dobrej woli. Sprawa jest trudniejsza i akcja na Torwarze, choć spektakularna, nie może być skuteczna.

Alkohol jest przyczyną wielu nieszczęść i tych dotyczących rodziny, na co wskazuje **Maria Jarosz**. Jest przyczyną znęcania się nad dziećmi i niedorozwoju psychicznego, umysłowego i fizycznego dzieci, przyczyną wypadków przy pracy i wypadków komunikacyjnych, śmierci i niejednokrotnie straszliwych cierpień i nieuleczalnego kalectwa niewinnych, przypadkowych ludzi.

Alkohol jako przyczyna rozbicia małżeństw, rozwodów, jest zjawiskiem bardzo częstym. Celowo używam określenia rozbicie małżeństwa, ponieważ rodzina, jeżeli dzieci pozostają z jednym z rodziców pozostaje choć niepełna, ale jak wykazuje to autorka niejednokrotnie jest to rodzina szczęśliwsza, a nawet mimo utrzymania przez jedną osobę zasobniejsza, bo nikt nie przepija zarobków, nie wykrada rzeczy, a przede wszystkim nie demoralizuje młodzieży.

Alkohol jest także przyczyną wielu przestępstw pospolitych przeciw mieniu i zdrowiu. Na alkohol i pod wpływem alkoholu dokonywane są kradzieże, napady, rabunki, a kary nieskuteczne.

Czytelnikowi chciałabym zwrócić uwagę na interesujące spostrzeżenia **Marii Jarosz** dotyczące zachowań rodzinnych ludzi w okresie wielkiego niepokoju społecznego **lat 1981—1982. Autorka odnotowała spadek liczby przeprowadzonych rozwodów, spadek ilości wypitego alkoholu, spadek konfliktów rodzinnych. Zjawisko to tłumaczy koncentracją ludzi wokół rodziny w sytuacjach niebezpiecznych, w okresach zagrożenia, jakie niosą wojny, rewolucje, kryzysy. Myślę, że jest to zatrzymanie, zablokowanie postaw i zachowań negatywnych w rodzinie, wobec ujścia ludzkiej agresywności na innych polach, jak również fakt sprzedaży alkoholu i cukru na kartki przez dość długi okres, wprowadzenie godziny milicyjnej, zaostrzonych rygorów karnych, jak i w wielu przypadkach zwykły ludzki strach przed działaniami przestępczymi. Czy rodzina rzeczywiście skonsolidowała się? Zapewne w jakimś zakresie tak, ale sytuacja polityczna, podziały polityczne, ideologiczne doprowadziły do skłócenia niemałej części społeczeństwa między sobą. Może zareagowała konsolidacją rodzina mała, dwupokoleniowa, ale podziały mogły przebiegać wokół innych spraw niż współżycie małżonków i w późniejszych sytuacjach ..ie były ujawniane.

Książka Marii Jarosz jest alarmem dla naszej współczesności. Autorka nie formułując zasadniczego pytania, co z tym zrobić, jak temu wszystkiemu zapobiegać, zapewne chciała pozostawić swobodę w szukaniu odpowiedzi i sposobów przeciwdziałania. Szkoda, że tak się stało! Oczywiście, aby znaleźć wszystkie źródła patologii i próbować szukać dróg wyjścia z nich, należałoby napisać nową książkę, mniej statystyczną, bardziej socjologiczną.

Książkę Marii Jarosz polecam szerokim rzeszom działaczy, nauczycieli, pedagogów; może w jakimś stopniu pomoże w prowadzeniu zajęć o współczesnych problemach rodziny i choć jednostronnie uzmysłowi, że do tego, aby żyć w rodzinie i społeczeństwie trzeba dysponować wiedzą naukową. Dzięki książce Marii Jarosz uświadamiamy sobie raz jeszcze rozmiar degradacji moralnej waszego społeczeństwa.

A przecież nie jeden raz dziwiłem się naiwnym.

Ludzie, jak ludzie

WŁADYSŁAW STRZELECKI

Znam takich, co to ideałem ich życia i pracy są równo poukładane w teczkach czy segregatorach dokumenty, czego nie neguję, sam lubię porządek. Ale oni poza tym nic nie widzą.

1.

Pewnego rana w drodze z Łodzi do Warszawy znalazłem się na przejeździe kolejowym w Łowiczu. Szlaban zamknięty. Po obu stronach torów na szosie sznury różnego rodzaju pojazdów. Minuty płyną. Czekający ludzie niecierpliwią się. Spoglądam na zegarek — raz, drugi, trzeci. Mija kwadrans od zatrzymania się. Żadnego pociągu. Ani w jedną, ani w drugą stronę. Na ogół cierpliwy, tym razem nie wytrzymałem. Biegnę do dróżnika.

— *Od ponad piętnastu minut żaden pociąg nie przechodzi, a pan trzyma drogę zamkniętą, powodując coraz dłuższe spóźnienia tych ludzi, a przez to i większe trudności. Ludzi o takich postawach społeczność nazywa małymi ludźmi. Czy pan rozumie sens tego, co powiedziałem?*

Nie powiedział nic. Poczerwieniał. Spojrzał na mnie od stóp do głów. Dał wolny przejazd oczekującym, a gdy przejechali znowu zastawił.

Było dwadzieścia minut od momentu zatrzymania się. Zaczekałem po przejeździe z drugiej strony torów. Chciałem się przekonać o sile mojej racji. Upłynęło kolejne pięć minut zanim przyszedł pociąg.

Myślę, że zrozumiał.

2.

W jednym z wydziałów Urzędu Miasta Łodzi czekałem w kolejności, aż wyjdzie z pokoju ktoś załatwiający sprawę przede mną. Obok do sąsiedniego pokoju czekał człowiek w podeszłym wieku wzięty się z oznakami początków paraliżu. Na korytarzu słychać było dobiegające z tego właśnie pokoju odgłosy rozmowy i wybuchy śmiechu kobiet. Po kilku minutach jedna wyszła. Nastała cisza. Podszedłem do oczekującego i zaproponowałem wejście do pokoju. Trzęsąc się i ledwo przesuwając stopy przy mojej pomocy stanął na progu.

Nagle, jak grom:

— *Proszę wyjść!*

Kaleki człowiek zawahał się.

— *Pan nie widzi, że jem?*

To pozostała w pokoju urzędniczka — żółtodziób, rozmawiająca przed chwilą i wrzaskliwie śmiejąca się, tak traktowała obywatela, potrzebującego pomocy.

Wtargnąłem do pokoju.

— *Pani tak z każdym?*

— *A bo co?* — odpowiedziała opryskliwie.

— *Pytam, czy pani tak z każdym postępuje.*

— *O, pan mnie tu nie będzie uczył.*

— *W takiej sytuacji zawsze. Jeżeli nie miał kto nauczyć pani wcześniej, ja podejmę tę rolę teraz. I nie tylko tę.*

Zlękniony starzec wycofał się z pokoju. Urzędniczka tymczasem trwała przy swoim.

— *Przecież najpierw muszę zjeść śniadanie.*

— *Zjeść pani powinna. Na pewno. Ale czy najpierw?*

Zastanawiała się przez chwilę.

— *Ja proszę.. Najpierw pani załatwi tego człowieka. I niech pani zwróci uwagę na formę, na sposób, na ton. Jutro w godzinach dyżurowania radnych potrudzi się pani do gabinetu radnego i złoży mi relację.*

Nie oponując, ani nie czekając wybiegła na korytarz, wprowadziła do pokoju kalekę, zaczęła słuchać i notować jego wynurzenia.

— *A i o śniadaniu niech pani nie zapomni. Do widzenia.*

Spojrzała na mnie z zawstydzeniem.

Co myślała?...

3.

Następnego dnia była spokojna. Nawet podziękowała.

Po godzinnej konferencji w sprawach kultury na co dzień wyszedłem zmęczony. Jeszcze mi w głowie postacie występujących, ich postawy, żądania.

Nagle usłyszałem przeciągłe, poufałe:

— *Dzień dobry...*

Podniosłem oczy. Przede mną stała szczupła, wysoka może pięćdziesiąt lat mająca kobieta o ostrych rysach twarzy.

— *Dzień dobry* — odpowiedziałem, usiłując przypomnieć sobie czy znam tę postać. Patrzyłem w nią przez chwilę znieruchomiały. W żadnej komórce mózgu nie odradzał się jej obraz. A ponieważ czasem zdarzało mi się nie poznać nawet serdecznych przyjaciół, nie chciałem zaprzeczyć naszej „znajomości". Trwało milczenie.

Tedy ona:

— *Pan dobrze wygląda. Pan taki rycerski.*

— *Gdzież tam...* — zaprzeczyłem z lekkim uśmiechem.

— *A co? Coś dolega?*

— *Ciśnienie mnie męczy* — palnąłem, tłumiąc rozdrażnienie.

— *O... to łatwo zapobiec.*

— *Ale gdzież. Lekarstwa nie skutkują.*

Wyciągnęła z torebki zawiniątko.

— *Wiele nie mam, nie wiedziałam, że się spotkamy. Dwie porcje po dziesięć pastylek każda. Zaraz przestanie dokuczać i pan odmłodnieje... Zachodnie.*

Kłopotów z ciśnieniem pragnąłem uniknąć, jak rozmowy z nią.

— *Po ile porcja?* — zapytałem.

— *500 złotych.*

Myśląc o zdrowiu i przywróceniu młodości wyjąłem z kieszeni dwie pięćsetki.

— *A gdzie pani teraz mieszka?* — chciałem jeszcze zdobyć bliższe dane o rozmówczyni.

— *Pabianicka, 111. Janiszewska* — odrzekła najdokładniej i zdecydowanie, patrząc na mnie z udanym zdziwieniem.

Nic mi nie mówiło to nazwisko i adres również. Ale lekarstwa już miałem w ręku, a pieniądze ona.

— *Pomyślności* — rzekła z uśmiechem na rozstanie.

Stałem chwilę zdębiały. Otworzyłem papierowe zawiniątko. Po dziesięć najzwyczajniejszych okrągłych pastylek bez napisu, bez podania firmy. Skierowałem się w lot za nią. Ale już jej nie znalazłem, ani wśród ludzi ani na Pabianickiej 111.

A przecież nie jeden raz dziwiłem się naiwnym.

4.

Na targowisku warzyw i owoców na jednym ze stoisk od dłuższego czasu były jabłka szczególnie czyste, aż błyszczące. Zaczęło mnie to dziwić, bo obok na wszystkich stoiskach miały wygląd matowy, naturalny.

Któregoś dnia rano byłem jednym z pierwszych na targowisku. Stanąłem z dala i zwróciłem uwagę na to właśnie stoisko ze szczególnie błyszczącymi jabłkami. Sprzedawca, w wieku może około lat czterdziestu, po jednym jabłku wyjmował ze skrzyni i trzymając każde w lewej ręce „pucował" je prawą, uzbrojoną w szmatę, którą sowicie opluwał. Po czym układał na stole do sprzedaży. Podszedłem, aby procesowi temu przyjrzeć się z bliska. Sprzedawca przestał pluć na szmatę. Była ona tak brudna i tak kiejąca się od plwocin, że nie użyłbym jej nawet do czyszczenia butów.

— *To ładnie pan sobie poczyna* — odezwałem się do sprzedawcy.

— *A co? Układam jabłka do sprzedaży.*

— *Widzę, widzę, ale mnie chodzi o tę dodatkową czynność.*

Zrozumiał widocznie, że jest schwytany na gorącym uczynku. Usiłował jednak udawać i bronić się.

— *Jak to? Ścieram stół, aby położyć na nim jabłka.*

— *A jabłek pan nie ociera?*

— *Panie! Ludzie i tak zjedzą.*

I to mnie najbardziej zabolało, tym mocniej, że przy wymianie zdań ze sprzedawcą właściciele sąsiednich stoisk jednomyślnie poparli kolegę po fachu a kupujący, których jeszcze było niewielu przechodzili w jedną i w drugą stronę lub zmykali obrzeża targowiska, aby z daleka popatrzeć, co z tego wyniknie.

Sprzedawca widocznie jednak poczuł się winnym, bo gdy za dziesięć minut wróciłem z człowiekiem, który miał prawo wylegitymować go, już go przy stole nie było. Zastępująca go kobieta drwiąco twierdziła, że „nic o niczym nie wie".

ze str. 1

szy dzień świąt. W ogóle większość przebywających w Zakopanem gości wyruszyła owego ślicznego ranka na narty, cóż może bowiem być lepszego niż aktywny wypoczynek na świeżym powietrzu. Samochody parkowaliśmy przy rondzie, tam, gdzie rozchodzą się drogi do Kuźnic i na Jaszczurówkę. Każde miejsce parkingowe kosztowało sto złotych, co nie jest znowu tak drogo, bo w Zakopanem nigdzie nie zrobisz siusiu taniej niż za dyche, a i tak zostaniesz zwymyślany przez kierownika ustępu za skąpstwo. Parkowaliśmy zatem: Polacy, których było najwięcej, a także trochę Czechów, Węgrów i Niemców, trochę Włochów, tu i ówdzie trafił się nawet Francuz i Hiszpan, a jeden pan mówił po angielsku.

Liczne pary nart zostały odczepione od samochodowych dachów, sportowcy (młodzi, starzy i dzieciarnia) zarzucili je na ramiona i ruszyli czym prędzej na rondo, żeby złapać taksówkę do Kuźnic. Kiedyś owa operacja była kwestią sekund, taksówki podjeżdżały jedna po drugiej — teraz płynęły długie minuty, nic nie podjeżdżało; zdenerwowani narciarze wiązali to z okresem świątecznym, było to jednak fałszywe podejrzenie, bo taksówkarze kursowali we wszystkich przeciwnych kierunkach.

Jakiemuś zdecydowanemu mężczyźnie udało się wreszcie zatrzymać taksiarza i tajemnica uległa wyjaśnieniu.

— *Do Kuźnic nie jadziem* — oświadczył „złotówa" w imieniu wszystkich innych zakopiańskich taksiarzy.

— *Czemu?*

— *Strajk. Władze nie chciały nam uznać drugiej strefy taxi od ronda w górę, żeby nam się od wysokich zarobków nie poprzewracało w głowie, więc nie jadziem, panie, do Kuźnic. Nie jadziem i już!*

Na to dictum młodzi i starzy narciarze, ci z Polski i ci z innych krajów Europy, dźwignęli swój ciężki sprzęt i pomaszerowali na autobusowy przystanek z nadzieją, iż kierowcy autobusów nie obwołali na razie strajku. Gdzie tam! Zniechęcony i zmęczony tłum odczekał godzinę, po czym ruszył do Kuźnic pieszo. Ledwo ruszył, a tu podjeżdża autobus zapchany okrutnie. Więc część ludzi wróciła i rozegrał się krwawy bój. Dzieci też nie szczędzono. Zagraniczna hołota walczyła o miejsca w autobusie z takim samym zacietrzewieniem jak Polacy. Niektóre rodziny zostały rozłączone. Powiadam: wrzask i zgrzytanie zębów!

Człowiek masywny, czterdziestoletni, który w trosce o żebra podjął trud pieszej wędrówki do Kuźnic mając u boku żonę i dwóch zmaltretowanych smyków z nartami, tak oto mówił do nich, tak oto bladolił na władzę ludową, ironista zatracony:

— *Cieszmy się, cieszmy, rebiata! We wojnę wiele rodzin zostało rozłączonych, syn szukał ojca, mąż żony, a my jesteśmy razem. Przed wojną, jak mawiał wasz dziadek Bolesław, Polska była narodem żądnym użycia, a dziś Polska jest narodem żądnym zażycia. Zażywajmy więc świeżego powietrza. Oddychajmy, oddychajmy! Przetrwajmy jakoś ten straszliwy urlop.*

Z prasy:

„Tatrzański Park Narodowy od dwóch lat prowadzi systematyczne badania zapylenia Zakopanego i obszaru parku. Są one prowadzone w dwustu punktach. Stwierdza się, że zapylenie w granicach do 14 mg na metr kwadratowy w skali dobowej obejmuje linię Wierchów Kominiarskiego i Kasprowego, w rejonie Giewontu sięga 19 mg na jeden metr, w pasie Regla — powyżej. W Zakopanem zapylenie w okresie między listopadem a kwietniem dochodzi do 90 mg na dobę, czyli tyle, ile na Górnym Śląsku. Oto trzy tego przyczyny: opalanie Zakopanego i rejonu tatrzańskiego węglem; spaliny samochodowe; nanoszone z wiatrem zapylenie pochodzenia przemysłowego, zarówno od nas jak i południowych sąsiadów".

3.

Kolejka linowa może zawieźć dziennie na Kasprowy maksimum tysiąc czterysta osób. Ogonek ogromny, ceny paskarskie, niektórzy konicy żądają opłaty w dolarach. Toteż nikogo nie dziwi, że po dojściu do Kuźnic wielu narciarzy rezygnuje z kolejki linowej na Kasprowy i udaje się pieszo na Kalatówki, gdzie również można było kiedyś godnie pojeździć.

Droga na Kalatówki jest długa, żmudna i stroma, lecz tego akurat dnia, w pierwsze święto, była naprawdę cudowna pogoda, no i świeciło słońce, a słońce ma to do siebie, że rozpala w ludzkich sercach otuchę. Dzielnie zatem szli narciarze, ja z nimi. Nikt nie zemdlał. Kiedyśmy osiągnęli Kalatówki, gruchnęła radosna wiadomość, że w ogromnym, wzniesionym za ciężkie miliony schronisku popuściły drzwi, czynny jest ustęp, a w bufecie można wypić herbatę. Polscy i zagraniczni narciarze rzucili się na te rarytasy chwaląc odnowę i ekonomiczne myślenie. Potem wyruszyli na stok, żeby się ujeździć i od razu dostali pałą między oczy, bo wyciąg, proszę państwa, nie działał. Sportowcy, spoceni jak perszerony, z nartami na ramionach i plecakami na grzbiecie, uderzyli w lament.

— *Skandal, skandal!*

— *Dlaczego nie napisali o tym w gazetach? Na próżno żeśmy szli taki kawał drogi z dzieciarnią!*

Ten gość, co cieszył się, że go nie rozłączyli w autobusie z rodziną i że może zażywać świeżego powietrza, podbiegł do stojącego obok wyciągu łachmyty i wrzasnął z żądzą mordu w oczach:

— *Czemu wyciąg nieczynny?*

Twarz łachmyty przybrała wyraz dostojny, a w oczkach nieprawych i chytrych pojawiła się inteligencja.

— *Bo nieczynny* — odparł ze stosowną dozą arogancji. — *Jak byłby czynny a zawiałby po naszemu halny, to tsa by niepotsebnie płacić za grudzień podatek. Te od podatków tylko cekają, żeby nas rypnąć.*

Rozpacz w Zakopanem

4.

W drugi dzień świąt narciarze zaatakowali gremialnie „Butorowy", tu jednakże również czekała ich klęska. Wyciąg krzesełkowy i cała w ogóle stacja były w remoncie, o czym także nie zawiadomiła ściągających do Zakopanego frajerów prasa. Zatem sportowcy zaczęli szukać innych wyciągów, pod Krokwią, pod Nosalem, wszystkie były nieczynne, działał tylko ten na oślej łączce przy hotelu Kasprowy zarezerwowany w gruncie rzeczy dla gości hotelowych.

Narciarze płakali, że nie mogą się ujeździć. Kto jednak sądził, że los jest niesprawiedliwy, popełnia błąd. Wieczorem wypogodziły się ludzkie oblicza, problem wyciągów przestał istnieć, bo zaczęła się wielka odwilż. Powiało od gór, temperatura z ośmiu stopni poniżej zera skoczyła do ośmiu powyżej, śnieg spłynął ze stoków i opadł z drzew, bulgotało w rynsztokach, cuchnęło ze śmietników, służby porządkowe znowu osłupiały ze zdziwienia, więc nikt oczywiście niczego nie sprzątał.

Wtedy to właśnie, owego drugiego dnia świąt, pojawił się w Zakopanem utalentowany fotoreporter „Odgłosów" Grzegorz Gałasiński. Stanął z kolegami w skromnej zakopiańskiej kwaterze na poboczu, nie zapłacił drogo, a gdzie indziej to pokój kosztuje nawet do trzech tysięcy za dobę. Patrząc jak wiosna bierze górę nad zimą ubolewał nasz kolega, że nie będzie mógł się ujeździć. Tu należy wspomnieć, że sportowcem Gałasiński jest zawołanym i że przywiózł ze sobą do Zakopanego zagraniczne narty i markerowskie wiązania, sprzęt wart w sumie na giełdzie sto dwadzieścia tysięcy złotych.

Skoro nie mogę się ujeździć, to muszę przynajmniej zażyć świeżego powietrza — dumał fotoreporter metodą owego masywnego mężczyzny, co cieszył się, że go nie rozłączono z rodziną. Poszedł na spacer, a jak wrócił, to nart i wiązań za sto dwadzieścia tysięcy już nie było, podwędziła je jakaś zakopiańska raczka. Dwudziestoparoletni Grzesio, pachole jeszcze, chodzi teraz po prawnikach i zapytuje, czy należy mu się z PZU jakieś odszkodowanie.

O to samo zapytała mnie w Zakopanem pewna niewiasta z Białegostoku, co wybrała się wraz z moją rodziną na wycieczkę do Doliny Strążyskiej. Było to już po świętach w sobotę, błocko jak cholera, ślizgawica, ciągle ktoś padał na pysk nie wyłączając biegających w te i z powrotem kulturystów. Zakłady robiliśmy idąc pod górę, czy bufet w Strążyskiej będzie czynny i czy będzie można podgrzać się trochę herbatą. Był nieczynny, ale za to wyszedł do nas z lasu jeleń i zaczęliśmy karmić go chlebem, wiodąc z nim takie mniej więcej dialogi:

— *Jesteś jeleń?*

— *Tak* — pomrukiwało zwierzę.

— *Ja też jestem jeleń.*

— *I ja jestem jeleń.*

— *Wszyscy, jak tu stoimy, jesteśmy jelenie i nigdy już do Zakopanego nie przyjedziemy, bo to najpaskudniejszy i najpodlejszy grajdoł na świecie.*

Jak schodziliśmy w dół, niewiasta z Białegostoku, kobiecina zaawansowana w latach i krucha, złapała się na śliskiej pochyłości poręczy, którą zainstalowała tam jakaś litościwa dusza. Gospodarny góral, co miał obok chałupę, postanowił wynalazek ulepszyć i obił chytrze poręcz od spodu kolczastym drutem z nadzieją, że jeśli nawet nie upoluje się na to zając lub dzik, to przynajmniej skaleczy się człowiek. Kobieta rozharatała sobie rękę do kości, a jak odzyskała przytomność, zaczęła straszliwie wrzeszczeć i przeklinać grożąc, że sprawa znajdzie epilog w sądzie.

5.

Wraz z odwilżą, kiedy już na dobre wiadomo było, że na nartach nikt się nie ujeździ, zmarkotniały, nielicznie wbrew wcześniejszym prognozom tłum turystów człapał w sięgających po kolana nieczystościach główną arterią Zakopanego, czyli Krupówkami. Była to jedyna dostępna rozrywka, ale już niedługo będzie lepiej, bo każdy, kto do Zakopanego przyjeżdża, musi płacić nie tylko taksę klimatyczną, lecz również dziesięć procent od rachunku za nocleg na rozwój województwa nowosądeckiego. Gdziekolwiek byś stanął, prywatnie, wczasowo czy hotelowo, musisz te dziesięć procent zapłacić, więc województwo nowosądeckie rozwinie się, na pewno będzie dobrze, ale na razie jest koszmarnie, jest złodziejsko, jest brudno, jest niesympatycznie, i nie zważając na surowe prawo prasowe powiem wprost, że wielu zakopiańskich urzędników państwowych powinno trafić bez rozprawy do więzienia na pięć lat.

Wieczorami, w święta, a także w każdy, najbardziej nawet powszedni dzień, na Krupówkach jest ponuro i ciemno jak w grobie. Bary i restauracje, których kiedyś było bez liku, do których kiedyś mogli wejść niezamożni studenci i które szumiały po głęboką noc, teraz zamykane są już o godzinie szóstej czy siódmej, a najdłużej, bo do dziewiątej czynna jest „Europejska".

Nawet prywatne lokale i kramy nie chcą pracować, nikt nie chce zarabiać, tu urlop, tam remanent, ówdzie znów przyjęcie towaru. Hiszpania zarabia rocznie na turystyce kilkanaście miliardów dolarów i w głupie dwa lata mogłaby spłacić cały nasz narodowy dług. Polska, kiedy patrzysz na Zakopane, nie jest w stanie zadowolić nawet turystów z Etiopii. Nawet sami, niewybredni ostatnimi czasy Polacy, twierdzą, że lepiej wydać parę groszy więcej (!) i wyjechać na narty do Bułgarii niż męczyć się i nudzić za ciężkie pieniądze w kraju. Za kilka lat nie przyjedzie nawet do Zakopanego mongolski parobek.

No, ale kwitnie za to w Zakopanem kultura. Teatr jakiś jest uduchowiony, od czasu do czasu zachałturzy w remizie jakiś wielkomiejski kabaret w Klubie Prasy dziesięć osób przymierza się do jednego tygodnika, a pod jedyną księgarnią sto osób czeka w długiej kolejce. Nigdzie nie widziałem takiego zainteresowania literatura, zapytałem przeto faceta z kolejki:

— Co dają?

— *Nic.*

— Jako to nic? Na pewno przywieźli „Dzieci Szakala", albo „Ojca chrzestnego", który jest tylko trochę mniej ciekawy od stenogramów sejmowych.

— *Nie zawracaj pan głowy! W Zakopanem obowiązuje drugi etap reformy, pierestrojka i ekonomiczne myślenie oraz wielka redukcja niepotrzebnych etatów, w związku z czym przekształcono księgarnię w magazyn samoobsługowy. Siedzi tylko jedna kobieta w kasie i pobiera pieniądze za dzieła, ale do środka można wejść jedynie z koszyczkiem, a ponieważ są tylko trzy koszyczki, więc trzeba czekać dwie godziny w deszczu albo i w mrozie, żeby kupić dzieciakowi komiks.*

Były natomiast w zakopiańskich sklepach, i to przez całych pięć dni (Wigilia, pierwszy i drugi dzień Bożego Narodzenia oraz sobota i niedziela) wszelkiego rodzaju owoce południowe, a to z tej przyczyny, że wyłożono je dopiero do sprzedaży w środę i to na godzinę dopiero przed zamknięciem sklepów. Przez cały więc okres świąteczny nieliczni zagraniczni goście mogli podziwiać zawalone grejpfrutami i pomarańczami wystawy. Gniły sobie w najlepsze, a Włoch mówił do Francuza: — *Ale dobrobyt! Co za dobrobyt!* — Tak się robi, szanowni obywatele, propagandę sukcesu.

6.

Jak nie wziąłeś ze sobą kremu do golenia, to się nie ogolisz. Zapomniałeś szczoteczki, to nie umyjesz zębów. Ale piękna zakopiańska architektura, cudowny zakopiański styl, który na dobrą sprawę jest pomieszaniem kiczowatej cepeliady z bałaganem rzuconych byle jak i byle gdzie domków, można podziwiać nawet z zarośniętą gębą. W żadnej góralskiej chacie nie spotkałem nigdy przyrządów do mycia, więc nie gadaj mi nawet, że nie możesz się ogolić przed sylwestrem. Kremu do golenia nie dostaniesz zresztą na terenie całej Polski. A Zakopane jest piękne i już! Na chałupie Sztaudyngera wyryto jego własne słowa: — *Od tylu już lat wszędzie czuję zapach Tatr*" — Ten sam poeta napisał z okazji szaleństwa wiosennych porządków: — *Uradziła babka z babką, gówno przykryjemy czapką.*

Telewizja Polska ma rację twierdząc, że Zakopane zawdzięcza swój haniebny los korupcji i partykularyzmowi tamtejszych interesów.

Piękne było także w Zakopanem zakończenie starego roku.

Z prasy:

TRZY OFIARY ŚMIERTELNE.

CZARNY SYLWESTER W TATRACH.

To tytuł, a dalej:

„W Tatrach w sylwestra oraz w Nowy Rok wydarzyło się sześć dramatycznych wypadków. Ich główną przyczyną były trudne warunki, które zapanowały w górach.

Na Kasprowym Wierchu po niedawnych opadach deszczu temperatura spadła do minus trzech stopni, co spowodowało niebezpieczne oblodzenie. Jego ofiarą stał się siedmioletni chłopiec, mieszkaniec Kołobrzegu, będący na Kasprowym z rodzicami. Poślizgnął się nieszczęśliwie i spadł do Żlebu pod Palcem w Dolinie Suchej Kasprowej. Upadek był śmiertelny.

W stanie krytycznym znajduje się dwudziestopięcioletni Waldemar K. z Kołobrzegu, który w czasie wyprawy na Czerwone Wierchy spadł z Małołączniaka do Świętówki; w stanie ciężkim przewieziony został helikopterem do szpitala Jacek C. z Opola, który spadł z Przełęczy Liliowej w drodze na Świnicę. Mniejsze obrażenia poniosła dziewiętnastoletnia Beata H. z Lublina, która uległa wypadkowi w Dolinie Pięciu Stawów".

„W czwartek 31 grudnia 1987 r. grupa turystów z Warszawy wybrała się, nie zważając na bardzo trudne warunki, na Mięguszowiecki Szczyt nad Morskim Okiem. W czasie drogi dwudziestoletni Adam O. spadł w przepaść i poniósł śmierć na miejscu".

„1 stycznia 1988 r. po południu na skutek nieszczęśliwego poślizgnięcia się na ścieżce w rejonie Karczmiska poniósł śmierć sześćdziesięciodwuletni Tadeusz D., pracownik TPN".

W góry, brachu! Przed nami zimowe ferie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Nie te czasy, nie te gazety

(1)

ADAM OCHOCKI wspomina jak się pracowało przed półwiekiem.

— O tym jak został pan dziennikarzem, jak się pracowało w dziennikarstwie przed wojną oraz inne swoje przygody opisał pan w książce „Reporter przed konfesjonałem". Potem drukował pan w „Odgłosach" o swojej pracy w dziennikarstwie po wojnie i to też ma się ukazać w książce. Pierwsze wydanie „Reportera przed konfesjonałem" nie do wszystkich dotarło. Drugie się dopiero szykuje. Proszę więc opowiedzieć, jak pan został dziennikarzem?

— Zacząłem w 1931 roku. Nie zrobiłem matury. Zrezygnowałem, bo wiadomo było, że nie dam rady. Poszedłem pracować do prywatnej agencji „Polpress". Mieściła się ona przy ul. Andrzeja 46 i należała do Nower-Jasińskiego którego brat był w Łodzi królem kurkowym. W agencji tej zbierałem informacje. Za każdą wydrukowaną przez gazety dostawałem po groszu lub po dwa. Dokładnie już nie pamiętam. Informacje te były drukowane w biuletynie, które „Polpress" rozsyłał do gazet. Taki ryczałt miała między innymi „Republika" i jak tam wydrukowali jakąś naszą informację, to już nam nie płacono, bo oni mieli ryczałt.

— Powiedział pan grosz. Dużo to było? Co można było kupić za grosz?

— Za grosz nic. Ale za 4 grosze bułeczkę, naprawdę chrupiącą. Grosz był też pieniądzem magicznym. Zawsze w piątek sklepy żydowskie odwiedzała czereda żebraków. W czwartek taki żydowski kupiec szedł do banku i rozmieniał dwa złote na dwieście groszy i każdemu żebrakowi w piątek dawał po groszu. Ale jeśli któryś przyszedł dwa razy po ten grosz, to go kupiec wyrzucał i już nigdy nie wolno mu było przyjść do tego sklepu.

— Długo pan pracował w tej agencji?

— Nie. Bo mi jakoś nie szło. Powiedziano mi, że najlepszym informatorem dla dziennikarza jest książka telefoniczna. Wynotowałem sobie różne adresy i chodziłem po Łodzi. Trochę pisałem o bibliotekach, trochę o grających na puzonach, co się w redakcji nie podobało, trochę innych informacji dawałem.

— Dużo pan zarabiał?

— Dziesięć, dwanaście złotych na miesiąc. Mało. Ale trafił mi się wreszcie znakomity temat. Akurat pisałem w domu o kominiarzach i usłyszałem, jak ojciec opowiada o niejakim Markusie, który wygrał żonę od przemysłowca Kleimana. Poprosiłem, żeby mi to dokładnie opowiedział. Było to tak. Kupiec Markus jechał do Karlsbadu na kurację i przemysłowiec Kleiman też tam jechał. W podróży im się nudziło. Zaczęli grać w karty. — Ten Markus — powiedział ojciec — to już w chederze oszukiwał.

— Przepraszam, ale co to jest cheder?

— Taka szkółka żydowska. Można więc było sądzić, że Markus i w kartach oszukiwał. W każdym razie Kleiman przegrał pieniądze jakie miał, przegrał fabrykę i na koniec postawił żonę i też przegrał. A trzeba wiedzieć, że ona podobała się od dawna Markusowi. Po powrocie z Karlsbadu kupiec Markus przyszedł do Kleimana i zażądał żony. Żona Kleimana w krzyk. Sprawa oparła się o prokuratora. Okazało się na dodatek, że w domu jest też zdjęcie Markusa z młodych lat. Wszystko to opisałem. Wziąłem zdjęcie...

— I pobiegł pan do „Polpressu"

— A właśnie że nie. To była szansa i chciałem aby była tylko moja. Do „Republiki" iść nie mogłem, bo tam pracował mój brat Ludwik Starski i kuzyn Stefan Kalus.

— Co to panu przeszkadzało?

— Gdyby mój artykuł odniósł sukces, to cały splendor spadłby na nich.

— Rozumiem. Gdzie więc pan poszedł?

— Do konkurencji. Do „Głosu Porannego". Tam mi dał 15 złotych za wiadomość, a 5 złotych za zdjęcie. Byłem szczęśliwy. Pobiegłem pod drukarnię i czekałem na gazetę. Jak się tylko ukazała, kupiłem i do domu. W domu szukałem mojej wiadomości na ostatnich stronach, gdzie do tej pory się ukazywały. Nie ma. Popłakałem się. Położyłem gazetę na stole i usnąłem. Budzę się. Patrzę, a na pierwszej stronie, na całą szerokość kolumny, tytuł o tym jak kupiec Markus wygrał żonę od przemysłowca Kleimana. Potem był telefon od redaktora Władysława Polaka z pretensjami, że cała rodzina w „Republice", a ja idę do konkurencji. Kazał mi przyjść do pracy w „Republice" i tak od 1931 roku do 1939 pracowałem przeważnie w popołudniowym „Expressie Ilustrowanym", pisywałem też w porannej „Republice".

— Dostał pan etat w „Republice"?

— Ale by się redaktor Polak uśmiał, gdyby mógł usłyszeć pani pytanie. Przed wojną w „Expressie" nie było — poza właśnie redaktorem Władysławem Polakiem — etatowych pracowników. Ja do 1939 roku nie miałem stałej pensji. Zarabiałem tyle, co napisałem i co mi wydrukowali. Bo to się tylko liczyło. Nie miałem żadnego przydziału tematów. Moim obowiązkiem było chodzić po mieście i łapać informacje. Jak któryś ze starszych kolegów zachorował a zajmował się sądami, policją lub magistratem, to mogłem dostąpić zaszczytu zastępowania go. I to wszystko.

— To nie było wesołe.

— Bywało bardzo smutno. Proszę sobie wyobrazić wielkie procesy sądowe. Gorgonowej we Lwowie, małżeństwa Maliszów, którzy w Krakowie zamordowali listonosza czy wampira Cybulskiego, który mordował prostytutki we Lwowie. Wtedy sprawozdania z tych procesów zajmowały kilka kolumn w „Expressie" i redaktor Władysław Polak wołał mnie i mówił: — Panie Kiepura, idź pan do domu i wróć pan do pracy za dwa tygodnie, jak się skończy proces.

— Dlaczego Kiepura?

— Kiedy przyszedłem do pracy w „Republice", Władysław Polak wziął mnie za rękę i zaprowadził do sekretarza redakcji Górskiego. — To jest brat Ludwika Starskiego — powiedział. — Chciałbym się z panem zamienić — powiedział do mnie Górski, a mnie duma rozpierała. — Od pasa w dół — dodał po chwili i zrobiło mi się głupio. Brat Kiepury — skomentował Górski, co miało oznaczać, że przez całe życie będę w cieniu Ludwika, który był filarem „Republiki", tak jak Ladis Kiepura był i pozostał w cieniu Jana Kiepury. Stąd przywarło do mnie przezwisko „Kiepura".

— Kiedy był pan wolny, bo szedł proces i dla pana nie było miejsca w gazecie, to redakcja płaciła za ten czas?

— Ale oni by się znów uśmiali. Nic nie płacili. Ojciec mnie utrzymywał.

— Z tego można wnosić, że przed wojną trudniej było być dziennikarzem.

— To były inne czasy, inne gazety, inni odbiorcy. Jedno dla mnie nie ulega wątpliwości. Dziś dziennikarstwo stoi na nieporównywalnie wyższym poziomie. Wówczas nie było żadnej odpowiedzialności za słowo. Pisało się, co się chciało i redakcja nie drukowała żadnych sprostowań. Było to — nie boję się tego słowa — czyste gangsterstwo. Taki przykład pani opowiem. Dostaję wiadomość, że Jan Kowalski popełnił samobójstwo. Wyskoczył z okna czwartego piętra i zabił się. Wiem tylko tyle. Depeszowiec powiada: — dajemy to do numeru na pierwszą stronę. Dopisz pan coś. Więc puszczam wodze fantazji. Samobójstwa ludzie popełniali najczęściej albo dlatego, że nie mieli pracy, albo z zawodu miłosnego. Wybieram zawód miłosny. Następnego dnia przychodzi rodzina z pretensjami. Okazuje się, że ów Jan Kowalski miał żonę i troje dzieci, był porządnym ojcem i mężem. Żądają sprostowania. Tłumaczyłem wówczas, że gazeta żyje jeden dzień. Ludzie już zapomnieli. Po co wracać do sprawy, po co ją rozgrzebywać. Tak będzie lepiej. I to jakoś skutkowało.

Powiem pani szczerze. Dziś się wstydzę, że wtedy pracowałem w prasie o tak niskim, zenująco niskim poziomie. Ale była w tym metoda. Pogoń za sensacją za wszelką cenę odwracała uwagę ludzi od istotnych problemów, z jakimi się wówczas borykali. Zapominali o tym. I o to chodziło.

— To było również ryzykowne. Mogli pana na przykład pobić.

— Raczej nie. „Express" był pod opieką Ślepego Maksa.

— Któż to był ten Ślepy Maks? Coś o nim słyszałam, ale myślę, że i nie wszyscy Czytelnicy wiedzą, kim był.

Nazywał się Maks Bornstein. Był szefem gangu, który kontrolował handel — pobierał od kupców haracz oraz kontrolował świat przestępczy. Miał konkurenta Balbermana. Na rogu ulicy Wschodniej i Pomorskiej — dziś Marcelego Nowotki — była knajpka, w której dokonywano różnych porachunków między przestępczym podziemiem. Tam też doszło do porachunków między obu — jak bysmy to dziś powiedzieli — gangsterami. Balberman poszedł na cmentarz, zapalił na grobie ojca czarne świece i poprzysiągł zemstę. Ślepy Maks dowiedział się o tym, bo miał kontakty z policją. Zaczął się na Balbermana i zastrzelił go. „Express" pisał, że uczynił to w obronie własnej. Odbył się wielki proces. Adwokat Wilhelm Lilker wybronił Ślepego Maksa. Sąd okręgowy mieścił się wówczas przy parku Józefa Poniatowskiego, gdzie dziś jest Zespół Szkół Włókienniczych. Sąd Ślepego Maksa uniewinnił. Przed budynkiem sądu zebrały się wszystkie łódzkie prostytutki i wyniosły Ślepego Maksa na ramionach.

Ślepy Maks przyszedł do „Expressu" i powiedział: — Panowie redaktorzy. Wyście mnie bronili, ja was też będę bronił. Jakby co, to przyjdźcie do mnie.

— Dotrzymał słowa?

— Tak. Mój starszy kolega, Jerzy Bolski szedł ulicą Więckowskiego i ktoś mu skradł portfel. Poszedł na policję. Ale policja nic mu nie pomogła. Rozpaczał, bo nie o pieniądze mu chodziło, a o listy miłosne, jakie miał w portfelu. Wtedy poradziłem mu, aby poszedł do Ślepego Maksa.

— I pomógł?

— Ślepy Maks najpierw wypytał, gdzie to było. Dokładnie, czy po stronie parzystej, czy nie, czy przed Wólczańską, czy za. — Co to ma za znaczenie? — denerwował się mój kolega. — Ma — powiedział Ślepy Maks i wykręcił numer telefonu. Coś powiedział po żydowsku i za 10 minut przybiegł zdyszany chłopak i przyniósł portfel. — Czy to ten? — zapytał Ślepy Maks. — Ten. — Proszę sprawdzić, czy coś brakuje! — Nic nie brakowało.

Okazało się, że miasto było podzielone na rewiry, w których operowali złodzieje i prostytutki. Każdy i każda mieli wyznaczony dla siebie teren. Dzięki temu Ślepy Maks mógł kontrolować „interes".

— Jakie mieliście wtedy warunki pracy?

— O magnetofonach do nagrywania rozmów nikt jeszcze nie słyszał. W koncernie „Republiki" były dwa samochody, ale jeździli nimi Maurycy Poznański, Marian Nusbaum-Ołtaszewski i Władysław Polak. Przez 9 lat pracy ani razu nie jechałem samochodem. Podobnie inni. Raz — pamiętam — wziąłem dorożkę na rachunek. Jeździło się tramwajem i biegało piechotą po mieście. Ale dzięki temu wykształciłem się na rasowego reportera.

— Co pan rozumie pod tym pojęciem?

— Umiejętność zdobycia maksimum informacji przy minimum wysiłku.

— Może pan podać jakiś przykład? Jak to się wówczas robiło?

— Na przykład. W pogotowiu dowiedziałem się, że na Bałutach postrzelono jakiegoś człowieka. Policja miała zakaz udzielania dziennikarzom informacji przed ukończeniem śledztwa. Dzwonię więc do policji i mówię im, że ten postrzelony to znany kieszonkowiec. — Skąd pan to wie — denerwuje się policjant przy telefonie. — To żaden kieszonkowiec, to bandyta taki i taki. — Teraz dzwonię do sędziego śledczego i mówię mu, co dowiedziałem się dorzucając kilka zmyślonych szczegółów. On mi na to, że wszystko bzdura, że owszem bandyta, ale... I znów kilka szczegółów prawdziwych. Po 10 minutach — posługując się tylko telefonem — miałem gotowy materiał. „Express" zamykano o godzinie 10.00, więc trzeba było się śpieszyć.

Inny przykład. Dzwonię do straży pożarnej i dowiaduję się, że 7 oddziałów wyjechało do pożaru. — Gdzie się pali? — pytam. Jest godzina 9.00. Czasu mało. — Na Suwalskiej 12 — odpowiada mi dyżurny w straży. Dzwonię do informacji i proszę o podanie mi numerów telefonów w pobliżu Suwalskiej 12. Gdy już mam te numery, dzwonię po kolei i dowiaduję się, co się dzieje wokół palącego się domu. Mam materiał do gazety i na 10.00 jest gotowy.

— Z tego mogę wyciągnąć tylko jeden wniosek. Wtedy lepiej działały telefony. Dziś nie by pan tą metodą nie zdziałał. Ale proszę mi powiedzieć, co się działo, jeśli w gazecie ukazała się wiadomość, z której władze nie były zadowolone?

— Następowała konfiskata, a redaktor odpowiedzialny szedł siedzieć.

— Kto pełnił funkcję redaktora odpowiedzialnego?

— Funkcja — to może za duże słowo. Była to raczej rola. W „Expressie" pełnił ją pan Grobelniak. Najpierw był u nas woźnym, a później giserem.

— A właściciele? Oni nie ponosili żadnej odpowiedzialności.

— Właścicieli było trzech: Maurycy Poznański, który miał 50 procent udziałów, ale zapisanych na żonę, nie na niego. Po 25 procent mieli Marian Ołtaszewski i Władysław Polak. Zresztą wtedy odchodziły takie kanty, że dziś aż wierzyć się nie chce.

— Na przykład?

— Jakiemuś zamożnemu człowiekowi zgwałconą córkę. To się przed wojną też zdarzało. Wiadomość szła już do gazety. Przybiega ojciec i prosi, aby nie publikować. — Ile pan da? — pada pytanie. — Trzy tysiące złotych. — Mało. — Pięć tysięcy. — Dobrze. — Panie Gienku proszę tego nie składać, to nie pójdzie do gazety.

Inny przykład. W sądzie odbywała się sprawa kupca. Była jakaś afera, jakiś skandal, jest wyrok. Do kupca zgłasza się facet i mówi mu, że gazety o tym napiszą. — Po co to panu? — A co się da zrobić? — pyta zrozpaczony kupiec. — Będzie to pana kosztowało trzy tysiące złotych. — Oczywiście tego nie robili dziennikarze. Najczęściej takimi „sprawami" zajmowały się agencje prywatne.

— Dużo było przed wojną gazet?

— Dużo, ale wychodziły krótko i miały mały nakład. Nie podam już pani tytułu jednej z gazet która miała tylko jedno wydanie. Wydawcy na ogół liczyli na ogłoszenia, z tego się utrzymywali. Ale ogłoszenia zabierały na ogół te gazety, które mocno siedziały na rynku. Były gazety, które wychodziły po kilka dni. Myślę, że naliczyłoby się w sumie około 50 tytułów. Większość z nich po prostu bankrutowała.

W „Reporterze przed konfesjonałem" opisałem taką nieprawdopodobną wręcz historię. Wychodził w Łodzi „Głos Polski". Wydawał go dr Marceli Sachs. Pracowali u niego między innymi Gustaw Wassercug, Stefan Nirnstein, Eugeniusz Kroniewicz, który wówczas nazywał się Kronman. Pismo opierało się przede wszystkim na prenumeracie. Już się ukazywała „Republika", zaczęła ona wychodzić 6 stycznia 1923 roku, w kilka miesięcy po niej zaczął ukazywać się „Express Ilustrowany". Marceli Sachs pojechał leczyć się za granicę. Jego współpracownicy zorientowali się w sytuacji, napisali listy do prenumeratorów, że zamiast „Głosu Polskiego" będą otrzymywali „Głos Poranny". Przejęli po prostu gazetę pod nieobecność właściciela. Gdy Marceli Sachs wrócił i zapytał w kiosku o „Głos Polski", dowiedział się ku swemu zaskoczeniu, że już od kilku tygodni nie wychodzi. Zaproponowano mu natomiast „Głos Poranny".

— I co on na to?

— Próbował reaktywować gazetę, ale nie dał rady. Potencjalnych czytelników zabrał „Głos Poranny".

— Jaki był nakład „Republiki"?

— „Republika" miała trzy kolejne wydania — od rana do wieczora. Szacuje się, że łącznie miała nakład od 20 do 30 tysięcy egzemplarzy. W ogóle wtedy gazety miały po kilka wydań. Były one uzupełniane w stosunku do porannego o najnowsze wiadomości. Na przykład łódzki „Express Ilustrowany" był popołudniówką „Republiki", a „Kuriera Łódzkiego" — „Echo".

— Jakie były objętości tych gazet?

— „Express Ilustrowany" miał codziennie 8 stron, a w niedzielę 12. Ale miał też liczne mutacje. Docierał na przykład do Wilna i na Polesie. W poszczególnych województwach byli nasi korespondenci, oni telefonicznie przekazywali lokalne wiadomości, którymi zadrukowywano 1 kolumnę (stronę). I taką mutację szybko ekspediowano do danego rejonu. Takich mutacji było 18.

— Jaki był ich łączny nakład?

— Według szacunków z 1938 roku łączny nakład wynosił 140 tysięcy egzemplarzy, a w niedzielę 175 tysięcy. W Łodzi z tego pozostawało od 27 do 41 tysięcy egzemplarzy. Reszta szła w kraj. W Krakowie na przykład, w 1931 roku „Express" miał własny oddział i zatrudniał blisko 100 gazeciarzy.

„Republika" to był koncern, który wydawał wszystko, co mogło tylko przynieść zysk. W 1931 roku zaczęto wydawać „Gazetę 5 groszy dla Wszystkich". Były to wiadomości z „Republiki" bez ogłoszeń. Gazeta była przeznaczona głównie dla Łodzi. W latach trzydziestych wydawano stałe dodatki i samodzielne czasopisma: „Karuzelę", „Wędrowca", „Tarzana", „Buffalo Billa", „Co Tydzień Powieść", „Lord Lister", „7 Nowel", dwutygodnik „Gazetę Przemysłu i Handlu Włókienniczego".

— Ile to kosztowało?

— „Express Ilustrowany" kosztował 10 groszy. W niedzielę drożej, ale i stron było więcej. „Republika" 25, potem 15 gr, w niedzielę była droższa, ale miała wtedy 32 strony. Z tego połowa ogłoszeń.

— Ilu było pracowników?

— W całym wydawnictwie było około 30 osób.

— Ile w tym kobiet?

— Jedna dziennikarka — Irena Weiss i stenotypistka Zina Mandels. W „Głosie Porannym" była kuzynka naczelnego redaktora Gustawa Wassercuga, która zajmowała się twórczością dla dzieci.

— O czym pisała Irena Weiss?

— To była piękna kobieta. Ja miałem wtedy 18 lat, a ona już 24 i mówiłem na nią „stara baba". Była moją konkurentką. Też nie miała stałej pensji. Siedzieliśmy w pokoju naprzeciw siebie i mieliśmy jeden telefon. Jak się ona dorwała do telefonu, to gadała pół godziny bez przerwy. Kiedyś nie wytrzymałem i przerwałem jej rozmowę. Podrapała mnie i pobiegła na skargę do Władysława Polaka. Ten nas rozsądził: każde ma mieć pół godziny dostępu do telefonu. Prosiłem, aby mnie przenieśli do innego pokoju, ale on się nie zgodził. Irena była bardzo dobrą dziennikarką. Była lepsza ode mnie. Nazywałem ją Horpyną. Ciągle walczyliśmy z sobą. Była to — jak powiedziałem — piękna kobieta. Miała ogromny temperament. Jej mąż zupełnie do niej nie pasował. Wystarczy powiedzieć, że noc poślubną spędził w redakcji, śpiąc na zszywkach gazet. Irena Weiss mawiała do mnie, że między nimi jest za duża różnica płci.

— Co się z nią stało?

— Gdy wybuchła wojna, poszedłem do niej i powiedziałem: — Pani Ireno, uciekam z Łodzi, bo Niemcy grożą nam śmiercią, proszę uciekać ze mną. Podziękowała, ale powiedziała, że nie może opuścić matki. Była w getcie, była przyjaciółką miejscowego kacyka, starszego w getcie. Popełniła samobójstwo.

— Jak pan podpisywał się pod swoimi materiałami w tamtym czasie?

— Skarżyłem się Marianowi Ołtaszewskiemu, że mało zarabiam, to on mi zlecił dodatkowo akwizycję ogłoszeń.

— To nie było zabronione dziennikarzom?

— Syndykat Dziennikarzy zabraniał, ale ja nie byłem członkiem Syndykatu, więc zamiast dać mi stałą pensję, dano mi akwizycję. Poza tym dostawałem matryce z rysunkami z filmu rysunkowego, do których miałem robić żartobliwe wierszyki. Kiedyś napisałem: „Były to upojne nocki, z poważaniem..." i tu się „zacukałem". Nie wiedziałem, co dalej. Stojący za mną Adam Grunfeld dopowiedział: — A. Ochocki. I tak powstał mój pseudonim, który następnie stał się moim nazwiskiem.

Kiedyś w „Halamie" w Zakopanem Jerzy Jurandot zapytał mnie, czy ja i mój brat świadomie zmieniliśmy nazwiska na bohaterów „Lalki" Bolesława Prusa. No, bo mój brat Starski, a ja Ochocki. Odpowiedziałem mu na to żartobliwie, że to przypadek, bo nie czytałem „Lalki".

— A co by pan chciał przenieść z tamtych czasów — gdyby można było — do naszych czasów?

— Zapał do pracy, którego dziś nie widzę. Nie chcę generalizować, ale w takich rozmiarach, jak to było wówczas, tego zapału dziś nie widzę. Co innego, że ten zapał nie służył najlepszym celom. Nie było takiego dnia, abym nie napisał dwóch, trzech, czterech informacji. Inni robili tak samo. Nie wszystkie się ukazywały. To inna sprawa. Ale właśnie, aby coś się ukazało, trzeba ich było napisać więcej.

Depeszowiec, gdy przychodził do pracy musiał przeczytać wszystkie poranne łódzkie gazety. Nie wolno było powtórzyć informacji, która się już ukazała w innej gazecie. To było niewybaczalne. Można było, ale pod warunkiem, że myśmy ustalili nowe szczegóły albo stwierdzili że inni popełnili błąd. Na przykład — oczywiście trochę przesadzam — że to nie Jana K. zabili, ale on zabił, że to nie dom Jana K. spalił się, ale on ten dom podpalił. I tak dalej. To było nie tylko dopuszczalne, ale niezbędne.

Gdy w Hiszpanii toczyła się wojna domowa, PAT (ówczesny PAP) nadawał komunikaty, gdzie toczyły się walki. Brało się encyklopedię, podręcznik geografii i szukało się szczegółów o danej miejscowości i pisało się korespondencję własną z Hiszpanii, w której prawdziwa była tylko nazwa miejscowości i dane z encyklopedii lub podręcznika. Reszta była tylko fantazją. Dziś jest to nie do pomyślenia. Panuje nieporównywalnie większa odpowiedzialność. Wówczas takie były żelazne wymagania konkurencji.

— Czy to znaczy, że gazety podkupywały innych dziennikarzy?

— Nie. Było niespotykane dziś przywiązanie do gazety. Jeśli ktoś zaczął w danej gazecie, to się jej trzymał i nie zdarzały się przypadki przechodzenia z redakcji do redakcji. Chyba że gazeta upadała, wtedy to było zrozumiałe.

Jeszcze może dodałbym, że nam w „Expressie Ilustrowanym" nie wolno było powtarzać wiadomości za „Republiką". Często nasze informacje posyłano do „Republiki", aby sprawdzić, czy się nie powtarzają z ich informacjami. A jak były dobre i oni tego nie mieli, to przerabiali nasze i dawali jako swoje.

— I oni brali za to pieniądze?

— A jak pani myślała?

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

(Dokończenie w następnym numerze)

Foto: Grzegorz Galasiński

O brakujących kredkach, wietnamskich kapeluszach i nieosiągalnym papierze toaletowym.

Co może handel

Rozmowa ze SŁAWOMIERZEM JABŁOŃSKIM — naczelnym dyrektorem Przedsiębiorstwa Handlu Artykułami Papierniczymi i Sportowymi ARPIS w Łodzi.

— Zacznijmy nietypowo, od życzeń. Czegóż więc u progu nowego roku życzyć tak prężnej firmie, jaką jest ARPIS i jej dyrektorowi naczelnemu?

— Firmie? Dalszego rozwoju, lepszego zaopatrzenia. A mnie? Przyziemne marzenia: lepszych zarobków, tak abym nie musiał zazdrościć niektórym pracownikom.

— Z tym zaopatrzeniem nie jest chyba najgorzej. U was nigdy nie było pustych półek, nawet w czasie grudniowych przedświątecznych zakupów. Choć złośliwi mogliby stwierdzić, iż to tylko pozory dużej różnorodności grup towarów...

— Cóż, jest tego, nie licząc rozmiarów i kolorów, około 15 tysięcy tak zwanych asortymentów. Znam i kolejny argument handlowych malkontentów: to nie są towary pierwszej potrzeby. To też zgoda. Ale to przede wszystkim zasługa zdolnych, inteligentnych zaopatrzeniowców, to efekt inwencji kierowników sklepów, ajentów...

— Abyśmy się nie zagalopowali z tymi sukcesami, to mogę zaraz wymienić długą listę artykułów, których w sklepach ARPiS-u nie uświadczę, ot, choćby papier...

— Przecież nie o to chodzi, dziś w całym handlu istnieją luki, niedobory, braki, opóźnienia. Ale nie można tylko narzekać. Zaś dynamika sprzedaży w naszych sklepach, sięgająca w 1987 roku 40 procent, a myślę że i w tym nie będzie mniejsza, chyba dobrze o naszej działalności jako handlowców świadczy?

— Oczywiście, tyle że ta dynamika zapewne z podwyżek cen wynika...

— Nie tylko, to także prozaiczny wzrost ilości sprzedanych artykułów.

— No ładnie, a cóż nam zdrożeje w pańskim królestwie w 1988 roku i kiedy?

— Nie wiem „co" i nie wiem „kiedy". To nie są przecież chęci handlu, tylko wzrost kosztów u producentów. Mnie przy 15 tysiącach propozycji trudno byłoby to kontrolować na bieżąco, a przecież zmiany cen następują permanentnie. Zresztą nie tylko w górę.

— Czyżby coś w tym kraju staniało?...

— W 1986 roku — srebro, i to dość poważnie.

— A w 1987?

— Dokonaliśmy całego szeregu przecen. To się ładnie nazywa – urealniono ceny. W sumie obniżyliśmy ceny różnych artykułów o około 60 milionów złotych i tyle też mniej wpłynęło grosza do naszej kasy.

— No dobrze, ale rok 1988 będzie stał pod znakiem procesu urealniania cen w przeciwnym kierunku. W jakiej branży obawia się pan podwyżek najbardziej?

— Ależ się pan uparł! Muszę liczyć się z podwyżką cen. Ja się ich w żadnej z „arpiskowskich" branż nie obawiam jakoś specjalnie. Po prostu cena musi być adekwatna do jakości towaru, a on sam musi być po prostu potrzebny na rynku. Ja go wówczas sprzedam, raczej bez większych kłopotów.

— Mówił pan, że nie są to towary tak zwanej pierwszej potrzeby. A przybory szkolne?

— To prawda, że w tym przypadku, podobnie jak jeszcze w kilku innych grupach towarów, a dotyczy to między innymi papieru toaletowego, chusteczek, pieluch — upierać się będziemy w handlowych rozmowach przy cenach najniższych z możliwych. Ale są, powiedzmy sobie, grupy towarów, które nie muszą być znów takie tanie...

— No i sam pan ten temat wywołał! Naród woła o papier toaletowy...

— Cóż, papieru toaletowego nie jesteśmy w stanie sprzedać więcej niż zdobędziemy. To w ogóle ciekawe zjawisko. W latach 1977—1978 sprzedawaliśmy w granicach 7 milionów rolek...

— I wystarczało...

— A nawet był nadmiar. Rok później zaczęły się kłopoty i — trwają do dziś. W 1987 roku sprzedaliśmy około 5 milionów rolek, a drugie tyle też by rynek spokojnie wchłonął.

— Jednak mniej niż dziesięć lat wcześniej...

— Nastąpiły pewne przesunięcia, dużo więcej sprzedaje „Wtórpol", Spółdzielnia „Surowiec", trochę „Ruch", a także tak zacne firmy jak „Central" i „Uniwersal". W sumie będzie około 13 milionów rolek i — wciąż to mało.

— Ale to nie wszystkie braki w branży papierniczej...

— Ale znów nie ma ich tak wiele, nie przesadzajmy. Choć przyznaję, że w 1987 roku były kłopoty między innymi z kredkami w oprawie i blokami rysunkowymi.

— Dobrze, że chociaż szczerze. W lipcu minie sześć lat, od chwili, gdy ze starego, skostniałego WPHW wydzieliły się i szybko rozwinęły — DOMAR, OTEX i właśnie ARPiS. Czy rzeczywiście zysk firmy był od początku odczuwalny?

— Oczywiście. Już w 1982 roku wypracowaliśmy 60 milionów zysku, rok później — podwoiliśmy go, a w roku 1987 — zysk osiągnął wartość trzykrotnie większą niż w roku 1983. Przybyło sporo nowych sklepów.

— Ile ich pan posiada i w jakich specjalnościach?

— Ze 128 sklepów chyba połowę stanowią placówki branży papierniczej i zabawkarskiej. Pozostałe to sklepy sportowo-turystyczne, foto-optyczne, jubilerskie i pamiątkarskie. Od niedawna doszła nam także nowa, bardzo prężnie się rozwijająca branża. Nazywamy ją „sobieradkową", a są to sklepy z artykułami do majsterkowania w domu.

— Wiem, że macie również sieć punktów usługowych...

— Tak, około 40 punktów. Świadczymy usługi zegarmistrzowskie, jubilerskie, naprawiamy sprzęt fotograficzny, wypożyczamy sprzęt sportowy i turystyczny, tapetujemy mieszkania. Z ciekawostek: mamy wydzielony zakład usług socjalnych, który dla środowiska handlowego miasta organizuje wczasy, kolonie, prowadzi międzyzakładową przychodnię lekarską.

— Powiedzmy jeszcze dwa słowa o „sobieradkowej" ofercie ARPiS-u.

— Praktycznie prowadzimy tego typu działalność w czterech placówkach: przy ul. 1 Maja 28, Narutowicza 6, Gorkiego 16 (Widzew-Wschód), Dąbrowskiego 93 i planujemy w tym roku podobny na osiedlu Radogoszcz. Wciąż rosnące obroty tych placówek świadczą, że trzeba tego typu ofertę rozwijać, choć orientuje się pan zapewne, iż trudno jest zagwarantować cały czas pełen zestaw towarów. A chcemy by były tam i tapety, i proste wyroby z drewna, by nie zabrakło narzędzi, gwoździ, okuć czy wkrętów do drewna. Ten widzewski sklep ma ponad 600 metrów powierzchni, a tylko po obrotach sądząc — przydałoby się jeszcze więcej miejsca na ekspozycję i sprzedaż.

— W branży sportowej i turystycznej tych „kłopotów" nie ma...

— Zgadzam się, te sklepy należą do nieco gorzej zaopatrzonych. Uprzedzę pańskie zarzuty i sam się przyznam, że brakuje przede wszystkim nart i wyposażenia narciarskiego, namiotów, sprzętu turystycznego, przede wszystkim fotelików i stoliczków. Butli gazowych sprzedajemy niby więcej, ale to też wciąż mało. Kłopot jest z materacami dmuchanymi, chyba tylko śpiworów jest wystarczająco dużo. Pod dostatkiem jest zasadniczo obuwia typu „adidas", nie brakuje sanek, sprzętu do gry w ping-ponga czy badmintona.

— Wiele z tych „dziur" załatałby zapewne import?

— Ja jestem zdania, że zakupy z importu powinny jedynie wzbogacać krajową ofertę, a nie ją zastępować. My korzystamy oczywiście z zakupów dokonywanych przez „Torimex", a także z zakupów dokonywanych centralnie w krajach socjalistycznych i klasycznych wymian, choćby z domami towarowymi w Karl-Marks-Stadt.

— A cóż my takiego możemy wymieniać?

— Zawsze można znaleźć towary, których mamy pod dostatkiem i których braku rynek wcale nie odczuje. Toteż zamieniliśmy nasze zabawki, upominki, niektóre artykuły sportowe i turystyczne na, między innymi, wykładziny podłogowe, wiertarki, narty biegowe, dostaliśmy też trochę innego sprzętu turystycznego.

— W sklepach firmy znalazło się w 1987 roku sporo wyrobów „Made in Vietnam", a jak wieść gminna głosi, w tym oferta ta ma być znacznie bogatsza.

— To prawda, propozycje naszych kontrahentów chwyciły i przygotowujemy się do sprzedaży około 1 tysiąca różnych pozycji pochodzących z Wietnamu. Będzie sporo narzędzi do majsterkowania, spory wybór kapeluszy, rozmaitych mat, koszy i koszyczków, będą nawet drobne meble, dużo wyrobów z laki i kości.

— Większość tych wyrobów znajdzie się zapewne w specjalistycznym sklepie „wietnamskim"?

— Owszem, planujemy taki uruchomić przy Piotrkowskiej 42, przed tegorocznymi targami Interfashion.

— Wspomnieliśmy o brakach. Brakuje ładnych zabawek. Żadnych nowych pomysłów, szarobure kolorki, stare wzory; choć wydawałoby się, że jeszcze miejsca na półkach brakuje...

— Niestety, taka jest prawda; mogę jeszcze od siebie dodać, że brakuje przede wszystkim ładnych, nowocześnie wykonanych, niechby nawet nie tak tanich, zabawek mechanicznych. Ale z drugiej strony: jeśli jakieś beczki czy kontenery wykonuje się z surowca pierwszej jakości, a zabawki — z odpadów, to jakiej one mogą być jakości...

— A sprzęt fotograficzny i optyczny?

— To złożona dość działalność, bowiem samodzielna firma „Foto-Optyka" zajmuje się zakupami z importu, przede wszystkim z NRD i ZSRR, a my towar od nich odkupujemy i sprzedajemy, dokładając cały towar krajowy. A brakuje rzeczywiście aparatów fotograficznych wyższej klasy, materiałów barwnych, filmów.

— Łódzki ARPiS szczyci się jedną z najwyższych w kraju wydajności przeliczając obrót na jednego zatrudnionego. Obrót obrotem, ale czy miasto nie traci na tym, że pan zaopatruje... województwo skierniewickie?

— W najmniejszym stopniu nie traci. Mogę się natomiast przyznać, że w branży oftalmicznej (produkcja okularów) i foto zaopatrujemy także stosowne placówki handlowe w pięciu innych jeszcze województwach, między innymi w płockim, kieleckim, radomskim.

— Pod szyldem pańskiej firmy funkcjonują także placówki działające na zasadach ajencyjnych. Dużo ich jest?

— Sporo, na wspomniane już 128 placówek, w systemie ajencyjnym działa około 50, głównie w branży papierniczej i zabawkarskiej.

— Będąc sam sobie „sterem, żeglarzem, okrętem", ajent tak organizuje swoją pracę, by mieć z niej określone, wymierne korzyści. A jakie korzyści ma z tej formy działalności placówki ARPiS?

— Najkrócej: prosperują mi sklepy małe, zmniejsza się szereg kosztów, odpada sporo spraw papierkowych, bo ajent ma nieco mniej biurokratycznej dłubaniny niż inne nasze placówki.

— Panuje opinia, iż najzdolniejsi pracownicy szybko zamieniają się w ajentów.

— To niezupełnie tak jest: zdolnych to ja mam wielu, tylko że dotychczas ten nieszczęsny 12-procentowy próg podatkowy skutecznie hamował ich przedsiębiorczość. Miejmy nadzieję, że teraz się to zmieni.

— Miejmy... Ale naprawdę, dyrektorze, mógłby pan zdradzić, które z pańskich towarów zdrożeją w pierwszej kolejności i kiedy. Może zdążyłbym wzorem wielu innych „zapobiegliwych" kupić jakiś śpiwór po starej cenie.

— Ale ja naprawdę nie wiem, co pójdzie na pierwszy ogień. A stać to się może przy okazji każdej, kolejnej dostawy...

— Ano, trudno, poczekamy.

Rozmawiał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Mówi: Hieronim Nawrocki

— Proszę pana, jak to się dzieje, że człowiek mający wszelkie szanse na zrobienie kariery naukowej, nagle porzuca pracę na Uniwersytecie Łódzkim i jedzie budować ośrodek wypoczynkowy?

— Zadecydowały o tym dwa czynniki: pierwszy — skierowano do Katedry Socjologii Kultury UŁ propozycję podjęcia badań na temat modelu wypoczynku w ramach aglomeracji łódzkiej. Była to propozycja Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki UM Łodzi. Wytypowano mnie uważając, że jestem właściwym kandydatem ze względu na moje przygotowanie socjologiczne i ekonomiczne.

— I pan się zgodził?

— Zgodziłem się. Wkrótce jednak okazało się, że obowiązki związane z administracyjną dyscypliną trudno pogodzić z pracą badawczą. Po 2—3 miesiącach pracy ówczesny szef postanowił „rzucić mnie na głęboką wodę", tzn. wypróbować w działalności organizacyjnej i powierzył mi poprowadzenie od początku do końca budowy ośrodka sportów zimowych „Malinka".

— A jaki był drugi powód?

— Po roku zaproponowano mi objęcie powstającego ośrodka sportu i rekreacji nad Zalewem Sulejowskim w Borkach. Był to rok 1978. Natomiast co do drugiego powodu: musiałem w pewnym momencie dokonać wyboru: albo pozostać w Łodzi i kontynuować pracę naukową, albo wyjechać na wieś. Wybrałem to drugie. Zawsze bowiem czułem silną potrzebę obcowania z przyrodą, a więc była to sprawa wyboru pewnych wartości i miejsca do życia. A praca od podstaw odpowiada mojemu temperamentowi.

— Kiedy po raz pierwszy zobaczył pan Borki?

— W 1977 r. Był to okres żniw i obecny teren ośrodka przemierzali kosiarze. Ale widać już było pierwsze wykopy pod przyszłą kanalizację...

— A kiedy na stałe przeniósł się pan do Borek?

— W kwietniu 1978 r. Pracę rozpocząłem od wyremontowania rozsypującego się baraku. To było moje biuro i miejsce zamieszkania.

— I wtedy urwały się kontakty z UŁ?

— Jeszcze przez 3 lata pracowałem na pół etatu w Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu. Na dłuższą metę okazało się to nie do pogodzenia...

— Wiem, czym są Borki dla Łodzi: 4 pawilony, 50 domków turystycznych, camping, parking na 600 samochodów, wspaniała plaża, możliwość uprawiania sportów wodnych, ale czy ten ośrodek zaspokaja potrzeby łodzian?

— Stanowczo nie. Należałoby powiększyć ośrodek w Borkach i wybudować kilka innych. Lecz żeby to zrealizować, należałoby zmienić zasady zagospodarowania turystycznego obszaru tego zbiornika, tzn. zachowując rygory sanitarne umożliwić zainteresowanym instytucjom budowę własnych ośrodków w oparciu o zintegrowany plan zagospodarowania przestrzennego i partycypację w budowie infrastruktury, np. w ramach spółki wodnej.

— Czy pan, naukowiec, humanista, nie czuje potrzeby ściślejszych kontaktów z szeroko pojętą kulturą?

— Dostęp do podstawowych dóbr kultury w mieście i na wsi jest podobny: książka, film, telewizja. 6 km od Borek jest Tomaszów Mazowiecki, a do Łodzi jest zaledwie 60 km, a dziś to przecież żadna odległość.

— Czy pan dojeżdża do Łodzi?

— Samochodem marki Volkswagen KdF rocznik 1942, pod warunkiem, że jest na chodzie, co mu się zdarza niezwykle rzadko. Zresztą nie wypada starca za bardzo eksploatować, więc z reguły jeżdżę do Łodzi autobusem i okazjami. Średnio bywam tam raz w tygodniu.

— Czy samochody stanowią pańskie hobby?

— Ten właśnie samochód jest moim hobby. Bywa wypożyczany do filmów, a także interesują się nim muzea techniki i to nie tylko polskie.

— Czym jeszcze się pan zajmuje w wolnym czasie?

— Lubię czytać, ale literaturę klasyczną.

— A film?

— Przeważnie obrazy starych mistrzów: Kurosawa, Fellini, Bunuel, Bergman... Ale tak naprawdę, to przede wszystkim uwielbiam spacer po lesie.

— A jaki jest pana stosunek do sportu?

— Był on mi zawsze bliski, ale od czasu wybudowania w Borkach kortów tenisowych, pasjonuję się tą grą. Najczęściej partneruję jednemu z redaktorów łódzkiej tv i... przegrywam. Liczę, że w tym roku na pewno mu solidnie dołożę.

— Z kim jeszcze pan grał?

— Z Jerzym Kawalerowiczem, którego uczyłem stawiać pierwsze kroki na korcie, choć, jak powiedziałem, sam gram jeszcze dość słabo i ciągle się uczę.

— Czyżby Jerzy Kawalerowicz przyjeżdżał do Borek na wypoczynek?

— Od czasu realizacji „Austerii" nad Pilicą filmowcy zjawiają się u nas dość często.

— Chce pan powiedzieć, że w Borkach są kręcone filmy?

— Oczywiście. Tu realizowano „Anioła", „Wakacje w Amsterdamie", serial dla dzieci „Klementynka"... Ekipy filmowe bardzo często mieszkają w naszym ośrodku, a aktorzy jak i obsługa techniczna chętnie korzystają z kortów tenisowych, z przystani jachtowej, z plaży...

— Proszę powiedzieć, dlaczego w ośrodku sportów wodnych jest nietypowy wystrój stołówki? Chodzi mi o to, że jest ona całkowicie „hippiczna", czyli związana z końmi.

— Zaprojektowałem taki wystrój, bowiem chciałbym zorganizować w Borkach ministadninę we współpracy ze stadniną ogierów w Bogusławicach.

— Uda się?

— Niezłomnie w to wierzę.

— Czym jeszcze się pan interesuje?

— Fotografiką. Szczególnie portretem. Moje prace zostały dość przychylnie ocenione przez fotografików profesjonalistów.

— Czy fotografuje pan również te wszystkie piękne dziewczyny, które przyjeżdżają nad Zalew Sulejowski?

— Przy tak dużej liczbie pięknych dziewcząt odwiedzających Borki, musiałbym zajmować się wyłącznie fotografiką. To po pierwsze. Po drugie: ja robię zdjęcia, ale ich obróbką zajmuje się moja żona. Więc pan sam rozumie...

— Rozumiem i współczuję.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

★ ★

Jedzie jedzie śmierć jedzie
Droga na przestrzał prosta
Po rzece której nie ma
Po tych co nie ma mostach

Nie ma echa ni drzewa
żeby echo uwięzić
Nie ma ptaka a kląska
spośród drzewa gałęzi

Jedzie jedzie śmierć jedzie
Droga na przestrzał prosta
Rzeką z ultrafioletu
Po nadczerwiennych mostach

Przejechała pół mil!
Przejechała trzy ćwierci
Cicho O mnie nic nie wie

Jak i ja nic o śmierci

★ ★

Stojącej wody mądrość
Zielonych oczu światło
swe ciemnie ciernie promienie
zdołało przejrzeć na wskroś

Jest stąd dotąd i tutaj
i tam I nigdzie więcej
W mądrej stojącej wodzie
chłodzę łaknące ręce

Nie dla niej Oceanu
bezmiar bezkres i wieczność
Trwa mądra zielona woda
skazana na doczesność

Szuwary szumią jedwabnie
i mgła się mgliście mgli
W stojącej mądrej wodzie
spłukuje swoje łzy

Niewiarygodnie doczesne
Doczesna niewiarygodnie

Między Absolutem a bałaganem

Wybór wierszy stwarza zawsze okazję do pewnych korekt odbiorczych zmierzających bądź to do utrwalenia obrazu poety — jego Persony, jaką wytworzyliśmy sobie przy odbiorze jego pierwszych tomów, bądź też — przeciwnie — do poszukiwania inności, zmiany literackiego paradygmatu, niespodzianych zmian „warsztatu" literackiego, które bardzo często nie są niczym innym jak tylko doganianiem zmieniającej się literackiej mody. Niezależnie wszakże od tego, czy ową zmianę odnajdziemy, skłonni jesteśmy w twórczości poety odczytywać i utrwalać osobowy ton przynależny tylko jego twórczości, swoiste nacechowanie, obszary tematyczne i stylistyczne swoistości będące znakiem poety, często jego etykietką, mnemotechnicznym „przeżwaniem" nie dopuszczającym do rozmycia konturów osobowej poetyki w wielogłosowej, tworzącej się na naszych oczach poetyce współczesnej — jakiegoś „okresu literackiego" in statu nascendi.

Dorota Chróścielewska jest wierna swojej poetyce. Oczywiście ta wierność nie jest jedyną zakrzepłą formą, widać przecież przemiany od debiutanckich **„Epitalamiów"** po wiersze najnowsze, znamienne jest i to, że w każdym z tomów wprowadza na zasadzie „dialogowego" nawiązania do tradycji literackiej rozpoznawalne, kanoniczne już poetyki. Niekiedy jest to „rozmowa" z Leśmianem, często z Liebertem, nie unika też Chróścielewska rozmów-replik, komentarzy czy przekomarzania się z Szymborską, czy szerzej — z tzw. nurtem poezji kobiecej. Proponowałem kiedyś żartobliwie usytuować twórczość piszących pań między biegunami „kobiecości" i „babskości". „Kobiecość" — to owe charakterystyczne ironiczne zdystansowanie wobec poetyckiego „ja", gra z kulturą; „babskość" — to zdominowanie poetyckiego światopoglądu przez elementy biologii, ale też ułamkowe, metonimiczne realistyczne obserwacje życia, z jego niedomogami: życia, które uwiera najczęściej nasze żony, matki i siostry — święte od siatek z zakupami. D. Chróścielewska w tej przestrzeni poezji wytwarzanej przez kobiety znalazła miejsce swoiste — obszar mediacji łączący babskość z kobiecością. Nie unika „biologii", ale jest to biologia stonowana, wprowadza „kobiecość" — ale jest to ciepła ludzka mądrość niewolna od trosk codziennych, [illegible] pocieszenia, unika zaś poetka owego ironicznego dystansowania się wobec rzeczywistości. Gdyby imiona własne potraktować tu jako krytycznoliteracką metaforę, rzec by można, że Chróścielewska częściej „pisze Achmatową" niż Wisławą Szymborską. Autorka **„Nocy polarnej"** pragnie jakoś oswoić świat projektując porządkujące i poszukujące sensów „ja" na rozsypane, zdezintegrowane i oporne w swej materialności rzeczowisko.

Ilustruje tę postawę charakterystyczny fragment wiersza: **„Mój Boże jaki tu bałagan / Absolut obok pończoch i wody kolońskiej Lewiatan"**. Chróścielewska pragnie się odnaleźć między Absolutem i bałaganem świata, tajemnicą transcendencji i kruchością poetyckich wytworów (**„Jest od piorunów Twoja ręka / a ręka moja jest od róży"**) codziennych doświadczeń a świadomością incydentalności istnienia. W jej wierszach pojawiają się umarli — wprowadzając paradoksalnie w wieczne koło czasu element stabilny (**„moi Umarli Bogu dzięki nigdy nie będą już umierać"**), a nieuchronność zmian — powtarzania radości, a przede wszystkim cierpienia dyktuje poetce wiersze-modlitwy, wiersze-zaklęcia mające na celu oddalenie trosk wpisanych nieuchronnie w matrycę istnienia. Owa ciemna tonacja — nie wydumanych a wiążących się z realnym zagrożeniem — lęków egzystencjalnych, cierpienia, obecności śmierci jest najuchwytniejsza w tomie **„Górą, doliną"**. Rzadko pojawia się w poezji polskiej Liebertowski ton — a do tej poetyki wyraźnie nawiązuje D. Chróścielewska w przywołanym wyżej (i najbardziej dojrzałym w wyborze) cyklu. Od radosnych „Epitalamiów" do ciemnych, metafizycznych wierszy z „Górą, doliną" wiedzie poetycki trakt naszej poetki. Nie zmieniła ona w sposób rewolucyjny swej poetyki, ale przemieszczenie doświadczeń od „radości" do „troski" jest w jej poezji wyraźne. Są to wiersze piękne, bowiem jak pisała wcześniej Chróścielewska: **„To są wiersze kobiety, a więc muszą być piękne"**, ale to piękno nie chroni poezji od „rozproszenia" zatracenia się w obojętnej i okrutnej często rzeczywistości. Dlatego w wierszach nowych pojawi się gorzka refleksja: **„To nie są czasy dla poezji Dom / tego wiersza jest kruchy / Nikt w nim nie zamieszka / Lada oddech go zdmuchnie / Lada łzy zatopi"**. Jedno jest wszakże pewne: w tym poetyckim domu, jaki buduje Dorota Chróścielewska, wielu czytelników może się zadomowić na stałe.

PuH

Dorota Chróścielewska — „Noc polarna". Wybór wierszy. W-wa, 1987, s. 180, cena 150 zł.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

PO KWEŚCIE

Przed 12 czy 15 laty kwestarki w Paryżu stosownie do stanu ubierały się w suknie dworskie lub balowe. Młode damy przychodziły do kościoła lub do tańca wygorsowane, w tiulowej sukni z krótkimi rękawami, z kwiatami na głowie, z diademami, często nawet z wachlarzem w jednej ręce i z workiem kwestarskim w drugiej. Pewnego dnia roku 1817 margrabina F., zbierając jałmużnę w kościele, otworzyła worek kwestarski hrabiemu Artois; ten dopiero w kościele spostrzegł wdzięki tej damy, a dając złotą monetę, szepnął jej po cichu:

— To dla twoich pięknych oczu, pani.

Kwestarka zarumieniła się, lecz ukłoniwszy się nisko, rzecze drugi raz, otwierając worek:

— A dla ubogich, mości książę?

„Kurier Warszawski" 1837 nr 221

UCZONY DOKTOR

Doktor Skryberiusz mając katar tęgi,
Zmarł wczoraj w wiosny swej trzydziestej kwiecie.
Był on autorem znakomitej księgi:
„Sztuka długiego życia na tym świecie".
Księga dowcipu i humoru. T. 1. Cieszyn br.

NEKROLOG

Za czasów istnienia krzemienieckiego liceum, w liczbie uczni był niejaki Sławek, wielki kiep, ale strasznie zarozumiały. Żył on w przyjaźni z jakimś garbatym kolegą, który zmarł i na pogrzebie jego Sławek miał mowę tak głupią, że weszła nie tylko w Krzemieńcu, ale i w okolicy tamtej w przysłowie. Na krzyżu wystawionym na grobie garbusa ktoś napisał wiersz taki:

Tu leży garbus, z garbu sławny a nie z głowy,
Sławę jego sławnymi sławił Sławek słowy.
Zrzekłbym się chętnie życia mojego połowy,
Byleby na mym pogrzebie Sławek nie miał mowy.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

„Cytryna", „Cytryna"...

Rodzice dzisiejszych dwudziestokilkulatków pamiętają „Cytrynę" — Studencki Teatr Akademii Medycznej przy ulicy Zachodniej. W posępnych latach pięćdziesiątych i trochę lepszych sześćdziesiątych w tym właśnie budynku skupiała się niecierpliwa młodzież. Owczesni studenci spotykający się w „Cytrynie" byli awangardą kulturalnego ruchu młodych. Tutaj refleksja mieszała się z dobrym dowcipem i perlistym śmiechem przepięknych studentek medycyny i nie tylko. Na scenie Teatru zawiązało się wiele do dzisiaj szczęśliwych małżeństw. Czas mijał, pokolenie z spoki bikmiarzy ludzie niespokojni kończyli studia, rozjeżdżali się po Polsce, po świecie. Mimo doskonałych wzorów „Cytryna" powoli upadała. Nie było już szałowych dziewczyn w rozkloszowanych kieckach i wspaniałych, prawdziwych mężczyzn, którzy dzisiaj są szpakowatymi, a czasami siwiejącymi panami. Później na długie lata Studencki Teatr „Cytryna" został zamknięty. Remont trwał, trwał... i może trwałby jeszcze, gdyby nie ludzie, młodzi, ambitni, których rodzice kiedyś tworzyli „Cytrynę". Staraniem **Andrzeja Czekana** — pracownika naukowego AM i **Andrzeja Jerzego Kowalskiego** dziś absolwenta medycyny, a kiedyś przewodniczącego Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich AM remont szczęśliwie ukończono. Wszystko pachniało nowością. Przyzwoicie wyposażona reżyserka, automatyczne oświetlenie, estetyczny wystrój pomieszczeń, scena — wszystko to aż prosiło się o intensywną eksploatację. Ale żeby to wszystko „zagrało" musiało się spełnić misterium spotkania minionych dni z nowym czasem.

Na spotkanie dawnych „cytryniarzy" z dzisiejszymi, młodymi pasjonatami „Cytryny" wyznaczono dzień 25 października 1985 roku. Lista zaproszonych na Wielki Zjazd „Cytryniarzy" zamknęła się liczbą 51 osób. Starzy „cytryniarze" ciągnęli do Teatru bez mała z całej Europy. Specjalnie na ten jeden dzień przyjechali goście (czy „cytryniarz" może być gościem w „Cytrynie"?) z Wielkiej Brytanii i Francji. Wśród zaproszonych widać było sławy medyczne znane w całym kraju. Był doc. dr hab. med. **Tomasz Pertyński** — kierownik jednego z kilku zaledwie w Polsce Zakładu Diagnostyki Obrazowej, prof. **Janusz Wara-Wasowski**, było dwóch znanych pediatrów: panowie **Jerzy Bodalski** i **Andrzej Sysa**. **Ryszard Marek Groński** właśnie w „Cytrynie" literacko terminował, zaś na zjeździe, choć po koleżeńsku, to czule całował dłonie swoich koleżanek „jeszcze młodszych niż przed laty". Były powitania po wielu latach rozłąki, nostalgiczne wspomnienia, łzy radości i wzruszenia. Strzeliły korki szampana i gromkie sto lat. Okolicznościowe medale wręczył zaproszonym dyrektor „Cytryny" A.J. Kowalski. Ci, którzy nie mogli przybyć, przysyłali pozdrowienia, życzenia, wyjaśnienia... ciepłe, pełne tęsknoty do dawnych lat. Noc wspomnień zostawiła w młodych ślad nostalgicznej tęsknoty za tym, co jeszcze nigdy nie było ich udziałem i postanowienie, że po dwudziestu latach też będą się tak wspaniale bawić.

Od Wielkiego Zjazdu „Cytryniarzy" minęło już sporo czasu, pora więc spojrzeć za siebie.

Pierwszy „młody" dyrektor — ambitny, pełen inicjatywy, doskonały organizator marzy o „Cytrynie" takiej jak przed laty. W Teatrze rozbrzmiewała muzyka zespołów, które wziął pod swoje skrzydła. Zaczęto przygotowywać premiery. Na podstawie **Mrożka** zrealizowano dwa spektakle: **„Lis aspirant"** i **„Lis filozof"**. Były i są nadal plany stworzenia kabaretu. Teatr „Cytryna" wydawał własne pismo — Magazyn Kulturalny Medyków „LEMONIADA". Gościnne progi „Cytryny" witały wielu „pięknych i wspaniałych": teatr **„LEVO"** (Jugosławia), **Adam Hanuszkiewicz**, **Peter Scherhaufer** (teatr **„Divadlo na provazku"** z Pragi), **Maja Komorowska**, **Jan Machulski**, **Olgierd Łukaszewicz**, **Jerzy Stuhr**... W pamiątkowej księdze różne wpisy, serdeczne i takie zwykłe — **„... trudno się z Wami rozstać. Cudowni ludzie"** (Jan Machulski), **„Dziękuję za spotkanie. Było cudownie"** (Maja Komorowska), są rysowane serca i kwiaty. Na deskach „Cytryny" utwory **Stachury** śpiewał **Marek Gałązka**, zafascynowany piosenką francuską swoim potem scenę zrosił młodziutki **Jan Jakub Należyty**. W hallu Teatru kilkakrotnie wisiały prace młodych twórców — wspomnę choćby **Conrada Kuzyszyna** i jego akwarele oraz fotogramy **Jarka Krocheckiego**. Gościł w „Cytrynie" teatr **„Audiencja III"**, mimo przeszkód zorganizowano **Festiwal Piosenki Żeglarskiej „Kubryk"**. Od roku 1984 „Cytryna" do spółki z Akademickim Klubem Turystycznym „Do celu" organizuje **MIXTURĘ** — festiwal piosenki turystycznej. Do współpracy zaproszono Teatr Studyjny i gdyby nie pewne zadrażnienia i cały czas nie unormowane sprawy wynajmu sali, to byłaby symbioza. Dzięki ogromnej operatywności **Marioli Wiktor** udało się w „Cytrynie" kilka przeglądów filmowych np. filmy **Herzoga**. Zespół Teatru „Cytryna" przygotował dwie następne premiery: **„Cubus Twardowski"** na podstawie **Kraszewskiego** i **„Sytuacja bez wyjścia"** — spektakl oparty na prozie **Sławomira Mrożka**, między innymi na fragmentach nigdy nie drukowanych w Polsce.

Po odejściu pierwszego „młodego" dyrektora jego następca został **Ireneusz Gulewicz**. Również duże ambicje, ale inna forma kierowania, inny autorytet. Nastał inny duch w Teatrze. Choć to teatr studencki, najmniej bywa w nim studentów, zarówno na scenie jak i na widowni. Tak naprawdę, to niewiele osób interesuje się tym co dzieje się na Zachodniej 81/83, a szkoda.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

NIC, POZA WARSZAWĄ?

— Co przyniesie rok 1988? — pyta dziennikarz PAP dyrektora „Pasażu", **Włodzimierza Sandeckiego**, który odpowiada:

— Przede wszystkim, utrzymanie więzi z naszymi europejskimi i innymi partnerami. Zaliczam do nich nie tylko kraje sąsiedzkie, lecz również dalsze, takie jak Grecja czy Hiszpania. Główne kierunki pozaeuropejskie to Japonia (wspólnym dziełem **Teatru Wielkiego** i **Japan Opera Foundation** będzie warszawska premiera opery **„Kesa i Morito"**), Ameryka Łacińska, Bliski Wschód, Australia. W praktyce oznacza to m.in. wyjazd **Filharmonii Narodowej do Chińskiej Republiki Ludowej**, **Japonii i Hongkongu** czy występy teatru z **Tel-Avivu** w Polsce. Rezultatem paryskiego sukcesu jest zaproszenie stołecznego Teatru Wielkiego z **„Borysem Godunowem"** do kilku krajów Europy Zachodniej, a z **„Manekinami"** i spektaklem **„Ludus Danielis"** do **RFN**. (...) Działania komercyjne i promocyjne uważam za nierozłączne. Dobrze pomyślany handel w sferze kultury wręcz musi służyć promocji i w dzisiejszym świecie jest to powszechna praktyka...

Czyż dobrze pomyślany „handel kulturą" — dodajmy od siebie — nie powinien zauważać co nieco poza czubkiem własnego nosa, czyli Warszawą?

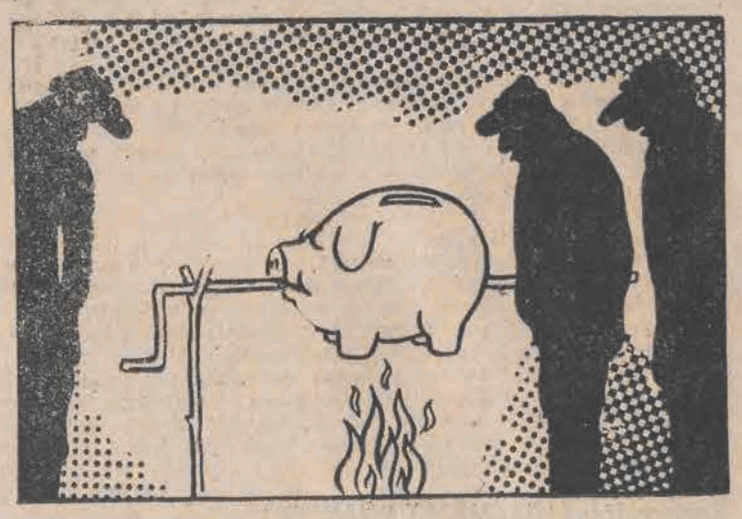

Rys. Sławomir Łuczyński

ZAPROSZENIE DLA MŁODYCH TWÓRCÓW

Galeria i Ośrodek Plastycznej Twórczości Dziecka w Toruniu ogłosiły kolejną, już edycję **Międzynarodowego Biennale Grafiki Dziecięcej — Toruń '88**. Do konkursu, którego tematami tym razem są: historia rodziny, życie i obyczaje, dorobek ogniska lub pracowni młodego twórcy, zaprasza się artystów w wieku od 5 do 16 lat z całego świata. Międzynarodowe jury przyzna nagrody zbiorowe, indywidualne i specjalne, ponadto najlepsze prace wzbogacą zbiory galerii, która obecnie dysponuje dziesiątkami tysięcy dziecięcych grafik z całego świata. Na poprzedni konkurs wpłynęło 8,5 tys. rysunków i obrazów z 32 krajów.

PAMIĘĆ O NASZYCH RODAKACH

Zafascynowany twórczością naszego wielkiego rodaka — **Josepha Conrada-Korzeniowskiego**, sędziwy już dziś **Mykoła Szepieluk** zaczął gromadzić 40 lat temu wszelkie pamiątki po pisarzu i zbierać wszystko, co było z nim związane. Kolekcja jest dziś imponująca, Conradianów starczyło na wypełnienie dwóch sal otwartego niedawno (o czym donosiliśmy) muzeum w **Terechowej** pod Berdyczowem, gdzie 130 lat temu urodził się Conrad. Na otwarcie ekspozycji przyjechali poloniści, tłumacze, Conradolodzy, pisarze z Moskwy i Kijowa. Przypominano przy tej okazji, że na ziemi Żytomierskiej i w Berdyczowie przebywało wielu polskich pisarzy, w tym **Ignacy Kraszewski**, **Tadeusz Borowski**, **Jarosław Iwaszkiewicz**, że w Berdyczowie właśnie... **Balzak poślubił panią Hańską**, a w Żytomierzu zaś urodził się przywódca Komuny Paryskiej, **gen. Jarosław Dąbrowski**, którego zachowany do dziś dom rodzinny został odrestaurowany i umieszczono na nim tablicę pamiątkową, a obok wzniesiono popiersie wielkiego Polaka.

JUŻ STAROŻYTNI RZYMIANIE

Jak opisał **Plinjusz Starszy** już starożytni Rzymianie znali sztukę konserwacji zabytków architektury i potrafili chronić wrażliwe marmurowe elementy przed zniszczeniem. Marmury pokrywano mieszanką roztworu wapna i... zsiadłego mleka. Tak zabezpieczone marmury nie boją się korozji, szkodliwych zanieczyszczeń atmosfery, ani kwaśnych deszczy. Rzymianie stosowali ten sposób ochrony zabytków — budowli i rzeźb — w bardzo szerokim zakresie. Badania wskazują, że najlepiej do dziś zachowane marmurowe rzeźby i kolumny były kilkakrotnie pokrywane tą mieszanką, która niezwykle skutecznie konserwowała marmur i przedłużała jego trwałość.

Przeprowadzone analizy wskazują, że stary rzymski sposób jest najprostszy i najskuteczniejszy ze wszystkich znanych metod zabezpieczania marmuru. Stosowane obecnie substancje syntetyczne, głównie polimery, mają dużo wad. Pokryty substancjami syntetycznymi marmur nie oddycha i ulega zniszczeniu w wyniku wewnętrznych procesów chemicznych, dlatego też współcześni konserwatorzy zamierzają wrócić do starej rzymskiej receptury sprzed 2 tys. lat.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Odwieczny paradoks

W marcu br. kończy się **Rok Schillerowski — wydarzenie międzynarodowe, wpisane do kalendarza UNESCO.** Leon Schiller — człowiek-instytucja, legenda, jeden z największych twórców polskiego teatru, inscenizator i reżyser, pisarz i krytyk, historyk i pedagog, wreszcie działacz wielkiego formatu, którego imię noszą instytucje artystyczne, m.in. łódzka Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna. 14 marca minie Rok Schillerowski. Odbyło się w tym czasie szereg uroczystości, przedstawień w teatrach, wydarzeń o charakterze naukowym i poznawczym, jak: łódzka sesja naukowa poświęcona 100-leciu urodzin Leona Schillera z udziałem teatrologów i ludzi sztuki, na początku grudnia ub. r. — krajowa sesja naukowa poświęcona Schillerowi i międzynarodowe sympozjum w Teatrze Polskim w Warszawie. Czy dzięki tym wydarzeniom Leon Schiller pełniej zaistniał w świadomości społecznej w kraju i za granicą? Cóż wiemy ponad to, co przy okazji wprowadzania do repertuaru teatralnego „Kramu z piosenkami" możemy wyczytać w programach?

„Na początku 1987 r., gdy ukonstytuował się Honorowy Komitet Obchodów 100 Rocznicy Urodzin Leona Schillera, w księgarniach nie było ani jednej pozycji o nim — źródłowej, specjalistycznej, ani też przybliżającej jego postać w formie bardziej popularnej, a w planach wydawniczych nic, poza III tomem Pism wydawanych cyklicznie przez PWN" — powiedział sekretarz Komitetu **Grzegorz Wiśniewski.** A dziś, u schyłku obchodów? Owszem, ukazała się (nakładem **Teatru Polskiego** w Warszawie!) praca **Edwarda Krasińskiego „Leon Schiller w Teatrze Polskim (1917—1952)".** Reszta to bogate zapowiedzi Wydawnictwa Literackiego, PWN, Wydawnictwa Artystycznego i Filmowego, Wydawnictwa Łódzkiego, PAX-u.

I znów powtórzył się nasz odwieczny paradoks. Na całym świecie wydarzenie tej miary (pod tak wysokim patronatem międzynarodowym), poprzedzone byłoby licznymi wydawnictwami, u nas zaś — jest okazją, aby coś wydać. Z czym więc wyjechali z Polski goście uczestniczący w sesjach i sympozjach?

I jeszcze jedno: Łódź szczyci się jedynym pomnikiem Schillera w kraju. Była więc okazja, aby odsłonić popiersie Leona Schillera przed Teatrem Polskim w Warszawie. Odsłonięcie popiersia, dłuta **Mariana Wnuka,** jest zapowiedziane. Na bieżący rok. Także i tablicy pamiątkowej w miejscu, gdzie kiedyś mieścił się Teatr im. Bogusławskiego.

Dobre i to.

M.B.

„Wymagania stawiam najpierw samemu sobie..."

Rozmowa z doc. HENRYKIEM BLACHĄ z Akademii Muzycznej w Łodzi.

— Mówi się, że wyrastają nam kolejne pokolenia głuchych.

— Tak na pewno nie jest, a przekonuje mnie o tym właśnie moje doświadczenie zawodowe. Przepracowałem 30 lat i mogę stwierdzić, że młodzież jest muzykalna i chce śpiewać. I to nieraz muzykę trudną.

— Ciekawe, dlaczego wybrał pan jako zawód dyrygenturę chóralną?

— W czasie studiów na Wydziale Wychowania Muzycznego w łódzkiej PWSM „zaraziłem się" umiłowaniem chóralistyki od mojego wykładowcy, **prof. Zygmunta Gzella.** Notabene prawdziwą szkołą zawodu stało się dla mnie kierowanie w latach sześćdziesiątych **Chórem Dziecięcym Rozgłośni PR w Łodzi.** Dokonywane nagrania — a było ich około pięciuset — umożliwiały dokładną analizę wykonania i wychwycenie ewentualnych, najdrobniejszych nawet błędów.

— Zatem od początku pracował pan z zespołami amatorskimi a także jeśli nie zawodowymi, to przynajmniej związanymi z profesjonalnym kształceniem muzycznym?

— Owszem, ale od razu chciałbym zrobić tu pewne zastrzeżenie. Otóż podział na chóry amatorskie i zawodowe dokonywany może być dzisiaj tylko w oparciu o kryterium finansowe. Natomiast podział z punktu widzenia artystycznego jest sztuczny, bo też często chór amatorski śpiewa lepiej, na wyższym poziomie artystycznym, niż zawodowy.

— Dlaczego tak się dzieje?

— Przyczyna tkwi w sposobie pracy. Zespoły ze środowisk pozamuzycznych mogą sobie pozwolić na korzystniejszy z punktu widzenia potrzeb chóru reżim. Swoje sukcesy zawdzięczają dużej ilości prób i zwiększonemu wysiłkowi. Np. chór **Politechniki Szczecińskiej** ma próby 6 razy w tygodniu, zatrudnia też odrębnych specjalistów do głosów wysokich i niskich. Natomiast w każdej szkole muzycznej występuje deficyt czasu. Jest go wciąż za mało na systematyczną pracę nad repertuarem. Jeśli jednak dyrygent stworzy sensowny reżim — i tu może się powieść.

— Przykładem chyba prowadzony przez pana chór łódzkiego Liceum Muzycznego?

— Praca z tym zespołem dała mi wiele satysfakcji. Zdobyliśmy liczne nagrody: pierwszą na **„Legnica Cantat"** w r. 1983, **złoty medal na XI Festiwalu Pieśni Chóralnej** w Katowicach w r. 1986, **nagrody na wszystkich Festiwalach Do-Re-Mi.** Przywieźliśmy również laury z zagranicy — z NRD, Włoch, Holandii i Hiszpanii, a w kraju nagraliśmy 4 płyty, wśród nich jedną wraz z orkiestrą Filharmonii Narodowej (oratorium Blecha **„Ajelet, córka Jeftego").**

— Jaki jest zatem pański „przepis" na efektywną pracę z chórem?

— Trudno mi naturalnie udzielać niezawodnych rad, ale wspomnę przede wszystkim że w czasie prób nie powinno być tak, iż np. część chórzystów ćwiczy a inni czekają na swą kolej. To się, niestety, często zdarza. Podstawową sprawą jest, aby czynni byli zawsze wszyscy. Najpierw należy więc pracować w grupach a moment łączenia głosów może nastąpić dopiero po dokładnym opanowaniu przez wszystkich potrzebnych fragmentów utworu. Natomiast w szkołach muzycznych, szczególnie w akademiach, wszyscy winni śpiewać wszystkie głosy. W ten sposób można najlepiej poznać całą partyturę.

— Ma pan też na pewno jakąś koncepcję długofalowej pracy z zespołem.

— Zaczynając pracę z chórem biorę w początkowej fazie na warsztat muzykę dawną. Nie stwarza ona większych problemów intonacyjnych a daje możliwość poznania określonych struktur tonalnych, nauczenia się frazowania, artykulacji itd. Dopiero później przechodzę do muzyki klasycznej, romantycznej i wreszcie współczesnej.

— Niektórzy twierdzą, że jeśli idzie o muzykę XX wieku, to nie bardzo jest co śpiewać. To chyba absurd?

— Z pewnością. Repertuar współczesny jest bardzo szeroki, obejmuje przynajmniej około połowy tysiąca pozycji. Taka „porcja" dla każdego chóru wystarczyć może na... 50 lat. Warto podkreślić, że są i w naszym kraju kompozytorzy wspaniali, wyspecjalizowani w twórczości chóralnej. W pierwszej kolejności wymieniłbym **Koszewskiego, Świdra, Twardowskiego i Blocha.** Wspomnę też o autorach łódzkich nie zapominających o chóralistyce: **o Bauerze, Przybylskim, Pietrzaku, Mroszczyku, Hundziaku.**

— Jest opinia, że Henryk Blacha stawia zespołom wyjątkowo duże wymagania...

— W pierwszej kolejności stawiam te wymagania samemu sobie. Gdy chórzyści widzą, że znam dobrze partyturę, że jestem punktualny, dbam o odpowiednie przygotowanie sali, materiałów nutowych, krótko mówiąc, że traktuję pracę poważnie, wtedy i oni postępują podobnie.

— Dyrygował pan — jak wiem — wieloma łódzkimi chórami. Jakimi jeszcze, poza już wcześniej wymienionymi?

— Pracowałem także **z Chórem Dziecięcym ŁTM, chórem UŁ, Chórem Łódzkich Włókniarzy** i przez prawie 20 lat — **z** zespołem wokalnym **„Harnama".** Z „Harnamowcami" odwiedziłem zresztą wiele krajów i kilka kontynentów. Obecnie, poza żeńskim chórem **Liceum Muzycznego,** kieruję chórem **Stowarzyszenia Śpiewaczego „Harmonia"** i współpracuję z chórem **Akademii Muzycznej,** prowadzonym przez **prof. Gzella.**

— Z działalnością chórmistrza łączy pan pracę dydaktyczną jako docent w Akademii Muzycznej...

— Prowadzę zajęcia z dyrygowania, metodyki prowadzenia zespołów chóralnych i instrumentalnych, praktyki pedagogiczne. Mam ponadto pół etatu w PLM i wykładam w Podyplomowym Studium Chórmistrzowskim w AM w Bydgoszczy.

— Może zechciałby pan na koniec powiedzieć coś na temat aktualnego stanu rodzimej chóralistyki?

— W Polsce działa wiele świetnych chórów, np. akademickich. Gorszy niż w innych krajach jest wszakże poziom zespołów szkół ogólnokształcących — jest to wynikiem niedoboru kwalifikowanych nauczycieli wychowania muzycznego. Jeśli chodzi o nasze miasto, trzeba niestety stwierdzić, że ostatnio poziom odtwórstwa chóralnego wyraźnie spada. Wiele zespołów też się rozlatuje. Ludzie, zaabsorbowani sprawami bytowymi, nie mają czasu i ochoty na śpiewanie. Miejmy jednak nadzieję, że to się zmieni.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Henryk Blacha

Kronika

NA PIERWSZYM PLENARNYM POSIEDZENIU NOWO WYBRANEGO ZARZĄDU TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ŁODZI, odbytym w ubiegłym miesiącu, **ukonstytuowały się władze tego towarzystwa.**

Członkowie zarządu zaaprobowali propozycje przedstawione przez **prezesa TPŁ, Józefa Niewiadomskiego,** dotyczące spraw organizacyjnych, i **powołali na wiceprezesów: Krystynę Bobrowską, Antoniego Binasiaka, Krystynę Kondratiukową. Funkcję sekretarza powierzono Zofii Strzałkowskiej; skarbnika — Stanisławowi Kowalskiemu. Członkami prezydium zarządu zostali: Kazimierz Mamełko, Adam Nonas i Zofia Pawłowska.**

Nowym władzom TPŁ przekazujemy **serdeczne gratulacje od naszego zespołu redakcyjnego.**

W NAJBLIŻSZYM CZASIE POJAWI SIĘ W KSIĘGARNIACH, uznana za bestseller w wielu krajach świata, **książka Michaiła Gorbaczowa pt. „Przebudowa i nowe myślenie".**

Druk jej, **na zlecenie Państwowego Instytutu Wydawniczego, ukończyła** w ubiegłym miesiącu **Łódzka Drukarnia Dziełowa.**

TEGOROCZNY FESTIWAL FILMÓW SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH, który odbędzie się **w Łodzi od 17 do 21. X.** br., będzie jubileuszowym — **dziesiątym z kolei.**

W tym roku rozszerzona zostanie jego formuła. Obok pozycji dokumentalnych, **prezentowane będą również na pokazach filmy pełnometrażowe.** Tym samym wzrasta jeszcze bardziej jego ranga.

Komitet organizacyjny — działający pod przewodnictwem sekretarza KL PZPR Grzegorza Misiewicza — podjął też **starania o nadanie w przyszłości tej imprezie charakteru międzynarodowego.**

POD KONIEC MARCA powinien dotrzeć do subskrybentów **drugi tom „Ilustrowanej Historii Świata" J. M. Robertsa** (drukowanej w RFN).

Wydawnictwo Łódzkie nosi się również **z zamiarem wydania w roku 1990 tomu trzeciego,** obejmującego czasy współczesne (nie przewidzianego w subskrypcji). Ponieważ decyzje o jego wydaniu zapadły później, WŁ podjęło starania o zapewnienie go subskrybentom.

Przewidywane w przyszłości wznowienie „Ilustrowanej Historii Świata" — jak poinformował prasę dyrektor WŁ, **dr. Jacek Zaorski — będzie dostępne w wolnej sprzedaży.**

SZYKUJE SIĘ WIELKA UCZTA DUCHOWA dla miłośników opery.

W premierowym bowiem przedstawieniu „Toski" na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi wystąpi 20 lutego (oraz dodatkowo 24 bm.) **Teresa Wojtaszek-Kubiak.**

Opromieniona sukcesami na deskach nowojorskiej **Metropolitan Opera** — po raz pierwszy od 1971 r. zaśpiewa w macierzystym teatrze.

DO NAJCZĘŚCIEJ GINĄCYCH KSIĄŻEK W BIBLIOTEKACH NALEŻĄ: „Raz w roku w Skirolawkach" — Zbigniewa Nienackiego, **„Sztuka kochania"** — Michaliny Wisłockiej, **„Polska Piastów"** Pawła Jasienicy, **„Milionerzy"** — Stanisławy Fleszarowej-Muskat, **„Konopielka"** Edwarda Redlińskiego i **„Seks partnerski"** Zbigniewa Lwa-Starowicza.

Mamy więc przyczynek do rodzimej „socjologii" czytelnictwa.

SYLWESTER MARCZAK (lat 50, kawaler), **absolwent mikrobiologii UŁ, nauczyciel Liceum Medycznego w Otwocku — naczelnik Polskiej Federacji Naturystów** (tak brzmi nazwa tego odłamu naturystów), **organizuje po raz siódmy w warszawskiej restauracji „Gastronomia" bal naturystów.**

Główną atrakcją będzie wybór „Miss Balu" oraz godzina naturystyczna!

Hobby S. Marczaka — to biologia. W przeszłości interesował się filmem i chciał zostać reżyserem.

W TYM ROKU nasze oficyny wydawnicze zamierzają opublikować 6,5 tys. tytułów książek, w łącznym **nakładzie 253 mln. egzemplarzy.**

Oby tylko... odpukać... przy realizacji tych planów dopisały moce poligraficzne i nie zabrakło na te publikacje papieru!

„ESTRADA ŁÓDZKA" ma wyraźnego pecha z naborem kandydatek na striptizerki — pomimo atrakcyjnych stawek za występy.

Po zamieszczonych ogłoszeniach w prasie łódzkiej, 30 dziewcząt wyraziło chęć nawiązania współpracy z „Estradą". Eliminacyjny przegląd w wyznaczonym terminie nie doszedł jednak do skutku. Zgłosiła się bowiem tylko jedna, najbardziej odważna kandydatka. Inne najprawdopodobniej się rozmyśliły. Być może odstraszyła je zawarta w ogłoszeniach informacja iż **„zgłoszenia kandydatek przyjmuje Dział Eksploatacji** (sic!) **Estrady Łódzkiej".**

Opracował: JAK

MŁODZI O SOBIE

Dlaczego?

— Geolog — wybór intrygujący, przypadkowy czy przemyślany?

— Zaczęło się od wycieczek krajoznawczych, rozmów z geologami i skorup ślimaków trzeciorzędowych w Korytnicy. To było pasjonujące i zaważyło na wyborze studiów.

— Jak oceniasz studia? Czy wybór był trafny?

— Tak, to nie tylko niezwykle interesujące wykłady, fascynująca wiedza, ale, może to zabrzmi patetycznie, geologia pomogła mi spojrzeć na świat, człowieka z pewnego dystansu — dała zrozumienie i swoiste „wtajemniczenie". Duża ilość praktyk bardzo pomogła w zdobyciu wiedzy, ale też uatrakcyjniła studia, przyczyniła się do stworzenia świetnej atmosfery i dobrych przyjacielskich układów, nie tylko między studentami, również między nami a prowadzącymi zajęcia. Studia są naprawdę ciężkie, dużo materiału, myślę, że powinny trwać rok dłużej.

— Czy miałeś jakieś plany związane z pracą?

— Nie, chciałem jedynie pracować w Warszawie, w swoim zawodzie z możliwością wyjazdów w teren. Jak zdawałem na studia poszukiwano absolwentów geologii, jak skończyłem, ja musiałem szukać pracy.

— Na zlecenie Instytutu Geologicznego podjąłeś nowatorski temat pracy magisterskiej. Wywiązałeś się bardzo dobrze, jest ona przydatna i wykorzystana. Czy w związku z tym miałeś jakieś propozycje pracy?

— Dostałem propozycję zgodną z pracą magisterską, rozwijałbym temat, ale praca w instytucie naukowym byłaby absurdem ze względu na wynagrodzenia. Podjąłem pracę w instytucie przemysłowym. Pierwsza propozycja pozwoliłaby mi wykorzystać wiedzę i dałaby większą satysfakcję, tutaj muszę się w pewien sposób przekwalifikować, może nawet skończyć studium podyplomowe.

— Czy obecna praca daje ci zadowolenie?

— Tak, fascynuje mnie i dlatego zamierzam tu zostać. Ale z... pasji nie utrzymałbym siebie, co dopiero mówić o rodzinie. Dlatego pracuję gdzie indziej (do piętnastej) i zarabiam gdzie indziej (po piętnastej), wciąż stawiając sobie pytanie: dlaczego nie opłaca się naszemu państwu zatrudnić mnie za 20 tysięcy, a prywatnie opłaca się za 60 i... więcej?

(nazwisko autora do wiadomości redakcji)

Rozmawiała:
JOLANTA POL

ODKRYWCA NASZYCH LĘKÓW

22 września 1912 roku, skromny urzędnik praskiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego odkrył zjawisko nazwane przez siebie „najwyższą siłą podświadomości". Wtenczas, ponoć, postanowił pisać wyłącznie nocą, w celu uniknięcia drażniących go odgłosów... I tak powstało dzieło **Franza Kafki** w tygodniku **„Panorama"** czołowy włoski krytyk, **Pietro Citati,** autor książki o Kafce, która stała się obiektem zainteresowania wielu wydawnictw na świecie. W udzielonym wywiadzie Citati stwierdza, że los Kafki, człowieka cierpiącego na liczne neurozy, należy do najbardziej tragicznych w historii literatury. Neurotyczne przeżycia Kafki związane z jego klaustrofobią wyrażają słowa pisarza, który w swych listach i pamiętnikach używa m.in. określenia „moje więzienie — moją fortecą". Citati wskazuje, że nad atmosferą utworów autora **„Procesu"** i **„Zamku"** zaciążył kompleks żydowski, konflikty z ojcem oraz długoletnia choroba. W swych książkach utożsamia się często z ich bohaterami, wyalienowanymi we wrogim, obcym świecie i odczuwającymi stale niepokoje związane z własną egzystencją.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

„Słownik języka polskiego" (3 tomowy, PWN) — 15.000 zł (w ostatnich miesiącach wzrosła znacznie jego cena antykwaryczna z 9500 zł do 16000 zł); **Józef Beck** „Ostatni raport" — 800 zł (hit giełdowy ubiegłego tygodnia, cena nominalna 400 zł); **Robert Graves,** „Ja, Klaudiusz" — 1600 zł; **Andrzej Paczkowski,** „Mount Everest" (album) — 2800 zł; **Stanisław Mackiewicz,** „Zielone oczy" — 600 zł (cena nominalna 460 zł); **Emil Zegadłowicz,** „Motory" — 560 zł; **Stefan Żeromski,** „Popioły" — 700 zł; **Robert Graves,** „Klaudiusz i Messalina" — 2500 zł; **Jerzy Kumaniecki,** „Pokój polsko-radziecki 1921 r." (wyd. Biblioteka Narodowa na zlecenie Instytutu Krajów Socjalistycznych PAN — 1200 zł (cena nominalna 360 zł); **Dorothy Uhnak** — „Śledztwo" — 2400 zł; **Julian Tuwim,** „Wiersze dla dzieci" — 400 zł (cena nominalna 270 zł); **V.A. Novak,** „Wielki atlas roślin" — 4500; **Jan Brzechwa** „Akademia pana Kleksa" — 800 zł (cena nominalna 450 zł); **„Wielki słownik niemiecko-polski"** (2 t.) — 5.000 zł; **Olgierd Terlecki** — „Pułkownik Beck" — 1200 zł; **Władysław Steblik,** Armia „Kraków" — 4500 zł; **„Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu"** (Pallottinum 1980 r.) — 3000 zł; **Tadeusz Konwicki** „Bohiń" — 600 zł (cena nominalna 350 zł); **Michał Fijałka,** „27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK" — 1800 zł (cena nominalna 650 zł).

Fraszki

ROMAN GORZELSKI

O INDYWIDUALNOŚCI

Nie z każdą damą
Należy tak samo...

O NIEJ

Ona —
Przypomina mi embriona

NA KŁÓTLIWĄ ŻONĘ

Zawdzięczam tylko tobie
To, co z innymi robię.

ZDUMIENIE „KOCHLIWEJ"

Dlaczego mi ulega
Każdy kolega?

TRZECIA PŁEĆ

Będę wierny ci
Do utraty... pic!!

ANATOLIJ RYBAKOW (33)

Dzieci Arbatu

Boris machnął ręką.

— Wszystko przepadło! Ach, jaki ze mnie dureń, jaki dureń!

Saszy żal było Borisa, przykro się z nim rozstawać: dobry kolega, wesoły, pogodny towarzysz podróży. Objęli się i pocałowali. W oczach Borisa błyszczały łzy.

Sasza wszedł do łodzi. Przewoźnik odepchnął ją od brzegu i zawisnąwszy na burcie wszedł sam. Przez pewien czas płynęli na wiosłach — łodzie i sieci przeszkadzały ciągnąć łódź. Sasza widział smutną postać Borisa. Patrzył za nimi, potem podniósł walizkę i zaczął się wspinać po zboczu.

20.

Samotny na pustej rzece, szedł Sasza na spotkanie swojego losu. Dobrze albo źle, ale wszystkim już naznaczono miejsca, a on nie wie, dokąd go skierują. Nie zobaczy nigdy więcej Wołodi, Iwaszkina, zesłańców, których spotykał po wsiach, nie zobaczy, na pewno, Borisa, chociaż będą mieszkać w tym samym rejonie. Gorycz musnęła jego serce, utracił ludzi, z którymi przeszedł pierwsze setki kilometrów swej drogi.

Na rufie siedział przewoźnik, nierozmowny mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, o surowej twarzy feldfebla. Sasza i spółdzielca szli w pasach na przemian, a na bystrzynach ciągnęli łódkę razem.

Pracownik spółdzielni miał na imię Fiedia, był zdemobilizowanym czerwonoarmistą, towarzyskim chłopakiem, pracował jako sprzedawca w Mozgowie, wsi koło Kieżmy, tytułował się kierownikiem sklepu wiejskiego, skierowali go na jakieś kursy do Krasnojarska, zimą pojedzie się uczyć. Fiedia z komiczną powagą perorował o roli sprzedawcy wiejskiego jako propagatora polityki państwa na wsi. Nowy typ wiejskiego aktywisty, rozgarniety, przyjmujący wszystko na wiarę, z radosną gotowością, bez wątpliwości i dyskusji, do tego śpiewak i harmonista. To, że Sasza jest zesłańcem, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Tak, wiadomo, jest urządzone, że są zesłańcy, zawsze byli, od wieków, tacy sami ludzie, jak wszyscy. A jakby służył Fiedia w plutonie egzekucyjnym i kazano mu rozstrzelać Sasze, to by rozstrzelał. Znowu dlatego, że tak jest urządzony świat.

Fiedia wypytywał Saszę o Moskwę, na jakiej ulicy mieszkał, czy to ładna ulica, jakie jeszcze są ulice, czym zajmują się jego rodzice, czy był kiedy na Kremlu, czy widział towarzysza Stalina i innych przywódców i jakie ceny są w sklepach. Wszystkiemu się dziwił, wszystkim się zachwycał. Moskwa była ostatecznym celem jego marzeń. Sasza też się zachwycał — rdzenny moskwianin. Częstował go papierosami „Lux", przeznaczonymi dla władz rejonowych.

— Czasem śpiewał „Zapomniany — porzucony", pieśń przyniesiona przez zesłańców i popularna nad Angarą. Pięknie śpiewał. „Na moją mogiłkę nie przyjdzie już nikt, tylko słowik na wiosnę zaśpiewa, zaśpiewał, odleciał i znikł, nad mogiłą ma, szumią drzewa!

Fiedia nie chodził na poszukiwanie złota, teraz nie ma takiego zwyczaju. Za to przed wojskiem był dwa miesiące z ekspedycją profesora Kulika, szukali meteorytu tunguskiego, ale nie znaleźli, zapadł się, widać, pod ziemię. Na tym miejscu wystąpiły jeziora, potem zaczęły błotnieć, owady chcą zjeść, nie ma ratunku, wszyscy uciekają. I Fiedia też uciekł, tym bardziej że wzięli do czynnej. Do wojska zaczęli tu brać od dwudziestego szóstego roku, szkołę też otworzyli w dwudziestym szóstym, przedtem szkół nie było, z chłopaków tylko on był piśmienny, ojciec go nauczył, ojciec jego pracował w faktorii, z Tunguzami handlował.

— Naród niewykształcony, dziki — dobrodusznie opowiadał Fiedia o Tunguzach — ale tego u nich nie ma, żeby kto co ukradł. Rosjan nazywają Pietruszka, Iwaszka, Pawłuszka, Korniłka. „Mąka mój dawaj", „Patrzeć małomało trzeba", „Sprzedaj dwa bułka"... Tytoń lubią, piją i palą i chłopy i baby, i odziewają się tak samo i chłop i baba. Dzieci to odróżnić można: chłopcy mają jeden warkoczyk, dziewczynki dwa. Paciorki lubią i na futro ponaszywają, i na kamasyny.

„Kamus" oznacza po tungusku pończochę z nogi jelenia albo łosia, i z niej robią buty — kamasyny. Słowo to zaskoczyło Saszę podobieństwem do indiańskiego słowa „mokasyny". Fakt, potwierdzający, że Tunguzi są spokrewnieni z północnoamerykańskimi Indianami.

Przyjechać by tu z ekspedycją, studiować miejscowe dialekty albo przybyć z geologami, w tej ziemi są nieprzeliczone bogactwa. A jemu przypadło zesłanie na głuchej wsi, bez prawa wyjazdu, trzy lata kopcić niebo bez pożytku dla siebie, bez pożytku dla innych.

Dlaczego to na niego spadło? Czy on sam nie jest winny? Gdyby opowiedział o Kriworuczce, byłby teraz na wolności. A on nie opowiedział, uważał za niemoralne. A co to jest moralność? Lenin mówił: moralne jest to, co leży w interesie proletariatu.

Ale proletariat — to ludzie i moralność proletariacka jest moralnością ludzką. A zostawianie dzieci w śniegu jest nieludzkie, a zatem niemoralne. I ratowanie własnego życia kosztem cudzego też jest niemoralne.

Ostatni nocleg we wsi Osada, na wyspie o nieoczekiwanej nazwie Turgieniew. Miała długość dwudziestu dwóch kilometrów, na dolnym cyplu była wieś Aleszkino, na górnym Osada.

Chata, do której wprowadzono Sasze, była duża, przestronna, z przybudówkami, wymoszczonym deskami podwórzem. Gospodyni była dorodna, okazała starsza kobieta, w przeszłości, widać, piękność, gospodarz był połamanym ryżawym staruszkiem, synowie — ognistymi brunetami, o garbatych nosach, gęstych brwiach, prawdziwi mieszkańcy Kaukazu, najstarszy pod czterdziestkę, najmłodszy koło trzydziestki, ich żony i dzieci.

— Zaraz przyjdzie ojciec Wasilij — powiedziała gospodyni — zjecie razem kolację.

Przyszedł duchowny z jasną bródką, dobrą jak na ikonie twarzą, w płaszczu deszczowym i butach z cholewami, przebrał się w domową sutannę. Gospodyni podała na stół suszoną rybę, jajecznicę i mleko. Ojciec Wasilij jadł i wypytywał Sasze, skąd pochodzi i dokąd idzie, gdzie się urodził i kim są jego rodzice. Powiedział, że sam też jest zesłańcem. Ale za co Sasze skazali nie pytał i o sobie też nie opowiadał.

Po kolacji poszli do komory, w której stało łóżko ojca Wasilija i malutki stolik. Był tu trochę mdlący, cerkiewny zapach.

— Rozbierzcie się, nogi wyparzcie — lżej będzie — zaproponował ojciec Wasilij i przyniósł kocioł gorącej wody, rondel, dał mydło i ręcznik. Sasza włożył nogi do gorącej wody i odczuł momentalną słabość i rozkoszne uczucie wyzbywania się zmęczenia.

Ojciec Wasilij stał oparłszy się o drzwi, patrzył na Saszę dobrymi oczyma. Teraz, kiedy Sasza mu się przyjrzał, wydawał mu się całkiem młody, w pierwszej chwili wydał mu się starszy z powodu brody, z powodu sutanny, przez to, że był duchownym, a w pojęciu Saszy każdy duchowny powinien być starcem. Zdawało mu się, że wszyscy duchowni są jeszcze sprzed rewolucji.

— Można w łaźni napalić — powiedział ojciec Wasilij — tylko że jest na brzegu, jak byście wracali, moglibyście się przeziębić, a przed wami droga.

— I tak jest wspaniale, dziękuję — odparł Sasza.

— Tutaj się po chłopsku myją — ciągnął ojciec Wasilij — w Moskwie na pewno macie wannę?

— Tak, mam wannę.

— W moich stronach — rzekł ojciec Wasilij — też są takie wiejskie łaźnie, albo tak — do pieca wejdą i myją się. Tutaj ludzie są dużo schludniejsi.

— Skąd jesteście? — spytał Sasza.

— Z obwodu riazańskiego, z korablińskiego rejonu, słyszeliście?

— O riazańskim obwodzie słyszałem, a o korablińskim rejonie nie.

— Południowe są nasze strony — uśmiechając się opowiadał ojciec Wasilij — jabłoniowe. Tutaj nie zobaczycie ani jabłuszka ani gruszeczki, będziecie za nimi tęsknić. Borówka, czernica, łochynia — i to wszystkie owoce, no, jeszcze moroszka, czarna porzeczka, drobna, leśna. Owoców żadnych nie ma.

— Trzeba się będzie obejść bez owoców — powiedział Sasza, z rozkoszą przebierając palcami w gorącej wodzie.

— Mydłem trzeba, mydłem, ja wam namydlę — ojciec Wasilij wziął mydło i ściereczkę.

— Co wy, nie trzeba, ja sam! — przestraszył się Sasza.

Ale ojciec Wasilij już zamoczył ściereczkę w wodzie, namydlił ją i zaczął myć Saszy nogę.

— Nie trzeba! No co też wy, słowo daję! — wykrzyknął Sasza próbując wyrwać nogi i jednocześnie bojąc się, że porozlewa wodę.

— To nic, to nic takiego — łagodnym głosem mówił ojciec Wasilij, myjąc Saszy nogę — wam jest niewygodnie, a mnie wygodnie.

— Nie, nie, dziękuję — w końcu Sasza wyrwał mu ścierkę.

— No, to myjcie — ojciec Wasilij wytarł ręce ręcznikiem.

— Czym się tu zajmujecie? — spytał Sasza.

— Pracuję, gospodarzom pomagam, jeść dają — dziękuję. Lud tu dobry, życzliwy lud. Wy do nich z dobrym, i oni wam odpłacą. Ale zesłańców na pewno stąd zabiorą.

— Dlaczego?

— Z powodu kołchozu. Prywatnych gospodarstw nie ma, zarobić nie ma gdzie, a do kołchozu zesłańców nie przyjmują. Są tu kołchozy przesiedleńców specjalnych, rozkułaczonych, i tam nie biorą....

— Oryginalnych synów mają gospodarze, podobnych do Czerkiesów.

Ojciec Wasilij uśmiechnął się.

— Zgrzeszyła gospodyni w młodości. Żył u nich na kwaterze zesłaniec z Kaukazu, przystojny, jak mówią. No i zdarzył się grzech.

— Nie raz widać się zdarzył — zauważył Sasza — synów jest trzech.

— Żył u nich dziewięć lat — chętnie wyjaśniał ojciec Wasilij — potem wyjechał. Dzieci zostały, Gospodarz uważa je za swoje, a one jego za ojca. Tu zesłańcy byli od wieków, przemieszał się naród. Żyją dobrze, zgodnie, no i wzięli mnie do siebie. Wiary szczególnej nie mają, w tych stronach nigdy nie było prawdziwej wiary. Choć to Sybir, ale sumienie potrzebuje czegoś dla siebie.

— Mszę odprawiacie?

— Cerkiew jest zamknięta... Tak, porozmawiam, pocieszę...

Saszy wytarł nogi, włożył skarpetki.

— Połóżcie się spać, odpocznijcie — powiedział ojciec Wasilij.

— Wyniosę rondel, to się położę — odparł Sasza.

— Ja wyniosę — ojciec Wasilij podniósł rondel. — Nie wiecie, gdzie.

Potem wrócił ze szmatą, wytarł podłogę i wyniósł kocioł.

Znowu wrócił, rozłożył pościel.

— Proszę.

— Jak to? A wy?

— Znajdę sobie miejsce do spania, jestem u siebie, kładźcie się.

— Za nic na świecie. Położę się na podłodze.

— Podłoga zimna, przeziębicie się. A ja lubię spać na piecu.

— Ja też lubię spać na piecu — powiedział Sasza.

— Gospodarze już się położyli — będziemy im przeszkadzać — odrzekł ojciec Wasilij — a ja położę się cichutko, nikogo nie obudzę.

Łagodnie przekonywał Saszę, ale w jego łagodności była twardość człowieka, któremu nic nie jest w stanie przeszkodzić w spełnieniu obowiązku. Obowiązkiem jest oddawanie innym tego, co ma, a nie ma nic oprócz rondla z wodą i wąskiego łóżka.

Sasza położył się do łóżka, poczuł chłód prześcieradła, dawno nie spał na prześcieradle, dawno nie okrywał się ciepłą kołdrą, przeciągnął się, odwrócił do ściany i zasnął.

W więzieniu jego sen stał się czujny, zbudził go poranny szmer. To ojciec Wasilij wstał z podłogi, gdzie spał, zawinięty w futro.

— No tak — Sasza usiadł na łóżku — a mówiliście, że położycie się na piecu.

— Chciałem iść na piec — wesoło odrzekł ojciec Wasilij — a tam już wszystko zajęte. I tu się całkiem dobrze urządziłem, wyspałem się świetnie.

— Nie powinniście ustępować swojej pościeli każdemu przyjezdnemu, ich jest wielu, a wy jeden.

— Gdzie tam wielu? — zaprzeczył ojciec Wasilij, czesząc się przed wiszącym na ścianie kieszonkowym lusterkiem, i zawiązując warkoczyk. — Trzy miesiące wcale nie było. I tacy, którzy w drogę idą, nie co dzień bywają, i rozsyłają ich po domach po kolei. Na rok, być może, z jeden albo dwóch trafi do nas. Ja na tym łóżku śpię co noc, mnie jest wszystko jedno, a dla was choć lada jaki, ale zawsze to odpoczynek. Śpijcie, jest jeszcze czas.

Wyszedł. Sasza obrócił się na drugi bok i zasnął.

I znowu obudził go ojciec Wasilij; wrócił, zdjął brudne buty, włożył domową sutannę.

— Teraz możecie wstać, umyć się, ziemy śniadanie.

Na śniadanie znów jajecznica, gorące placki i prasowana herbata. Wszyscy poszli do pracy, tylko stara gospodyni krzątała się koło kuchni.

— Ile macie lat? — spytał ojciec Wasilij.

— Dwadzieścia dwa. A wy?

— Ja? — uśmiechnął się ojciec Wasilij — Ja dwadzieścia siedem.

— I jaki macie wyrok?

Ojciec Wasilij znów się uśmiechnął.

— Wyrok mam nieduży — trzy lata. Dwa już odbyłem, rok pozostał. Ciągnie w rodzinne strony i wyjeżdżać szkoda — przywykłem.

— I zostańcie — powiedziała gospodyni — ożeńcie się. Dokąd macie jechać? Nie dadzą wam w Rosji Bogu służyć.

— Bogu można wszędzie służyć — odrzekł ojciec Wasilij.

Odwrócił się do Saszy.

— Na początku będzie wam ciężko, potem się przyzwyczaicie.

Nie upadajcie na duchu, niech serce wam nie stwardnieje, po złym zawsze dobre przychodzi. Pamiętam, czytałem Aleksandra Dumasa. Powiedziano tam że niedole są to paciorki różańca, nanizane na nić naszego losu, medrzec spokojnie je przesuwa. Pisarz świecki, powieści przygodowe pisał, a jak mądrze i dobrze się wyraził.

Zastukano do okna, wołając Sasze w drogę.

— Ile jestem winien? — spytał gospodynię.

— Nic pan nie jest winien — machnęła ręką.

Ojciec Wasilij dotknął jego łokcia.

— Nie obrażajcie jej.

Odprowadził Sasze, pomógł ułożyć walizkę. Przewoźnik rozmotał linę; odepchnął łódź, i usiadł do wiosła rufowego. Fiedia przełożył pas przez ramię i ruszając naprzód, powoli naciągnął linę, oglądając się na łódź i obserwując, jak wydaje ją przewoźnik. Upewniwszy się, że łódź idzie dobrze, powiedział:

— Jak pójdziemy na sam cypel, dojdziemy do brzegu.

Sasza podał rękę ojcu Wasilijowi.

— Do widzenia, dziękuję wam za wszystko

Fiedia krzyknął wesoło:

— Ruszamy.

Pochylając się i naciągając linę, Sasza ruszył naprzód.

— Niech Bóg ma was w opiece — powiedział ojciec Wasilij.

CZĘŚĆ TRZECIA

Jako miejsce zesłania wyznaczono Saszy wieś Mozgową, o dwanaście kilometrów od Kieżmy w górę Angary.

Kwatera trafiła mu się dobra. Duży dostatni dom, gospodyni — wdowa, dwóch dorosłych synów i kochanek gospodyni, nie-Angarczyk, obcy, z żołnierzy. W swoim czasie synowie nie pozwolili matce wyjść za niego za mąż, nie chcieli współwłaściciela w gospodarstwie. Teraz gospodarstwo weszło w skład kołchozu, ale, kiedy żołnierz się upijał, budziło się w nim poczucie dawnej krzywdy, biegał po wsi, czerwony, z potarganymi siwiejącymi włosami, odgrażał się, że zabije pasierbów, ci go łapali, zamykali w komorze, póki się nie wyśpi.

Młodszy syn, Wasilij, zgrabny chłopak o ciosanej twarzy przespał się, na pewno, ze wszystkimi dziewczynami we wsi — obyczaje są tam swobodne... Pojawiał się w domu nad ranem, albo i wcale się nie pojawiał. Sasza prawie go nie widywał, a kiedy go spotykał, Wasilij uśmiechał się do niego milcząc, był nierozmowny, ale przyjazny.

Starszy, Timofiej, dziewczynami się nie interesował, wieczorami po ulicy nie spacerował, nocował tylko w domu. Nie pytając, zachodził do pokoju Saszy, oglądał jego rzeczy: na co to jest, a to?... Patrzył nieufnie, milczał. Jego bezceremonialność raziła Saszę, ale odpowiadał na wszystkie pytania Timofieja. Lud! Wielki, potężny, ale jeszcze ciemny, prymitywny, przed nim Sasza, jak i każdy inteligent rosyjski, zawsze miał poczucie winy.

Złożyło się, że Sasza pojechał z Timofiejem na wyspę na sianokosy. Kosić nie umiał, ale postanowił spróbować. Sasza siedział przy wiosłach, Timofiej na rufie, sterował. Na dnie łodzi leżały dwie kosy, osełka do ostrzenia, maski przeciw owadom: gruba, z końskiego włosia — Timofieja i jedwabna siatka — Saszy, krupiona w Kańsku za radą Sołowiejczika. Oglądając siatkę Saszy, Timofiej powiedział:

— Wy, miastowe, to wszystko mata, a my, chłopy, nic nie mamy, nic my nie widziały, a przecież to na naszym karku siedzicie.

W prymitywnej formie Timofiej wykładał teorię wartości dodatkowej: dobra materialne tworzy Timofiej, tworzą chłopi, a Sasza i tacy, jak Sasza, nic nie produkują.

Tak myślał Sasza, naciskając ze wszystkich sił na wiosła, żeby nie zniosło ich poniżej wyspy — w odnodze nurt był silny.

— Zwalają was nam na głowę — ciągnął Timofiej — naszym potem i krwią żyjecie.

Sasza nie odpowiedział. Cóż mógł odpowiedzieć? Gdyby Timofiej chciał pomyśleć... On nad niczym nie chce pomyśleć. Ma przed sobą z e s ł a n e g o, pozbawionego praw, można z niego poszydzić.

— Pękasz? Boisz się? — uśmiechnął się Timofiej. — Trącę cię kosą, wrzucę do wody, przepadniesz, jak kamień! I nic mi za to nie będzie, uciekł, powiem, do tajgi. Kontrakt wy, trokcysty, kto za wami się wstawi? A widziszi!

Sasza podpłynął do brzegu, wszedł do wody, podciągnął łódź, Timofiej nie wstał, nie pomógł, siedział na rufie, uśmiechał się i tylko kiedy Sasza zupełnie wyciągnął łódź i rzucił łańcuch, wyszedł na brzeg.

— I czegoś mnie nie utopił? — spytał Sasza.

— Ciskać się będziesz, jak nic utopię — przygroził Timofiej.

— Szkoda, żeś nie utopił.

— A to niby czemu?

— A dlatego, że zaraz cię zabiję — rzekł Sasza.

Timofiej zrobił krok do tyłu.

— No, no, bez takich!

Pusta wysepka na końcu świata. Gdzieś w jej głębi pracują kosiarze. Kłębią się i bzyczą owady i żaden inny dźwięk nie dochodzi znad rzeki. Nie ma świata, nie ma ludzi, jest tylko ich dwóch i oto w końcu Abel odda Kainowi za grzechy jego, za wszystkie łotrostwa jego.

Nie spuszczając z Saszy bacznego spojrzenia, Timofiej odsuwał się powoli, potem odwrócił się i rzucił się do łodzi, do kos. Sasza dogonił go, uderzył pięścią w plecy. Timofiej upadł w wodę, podniósł się, odwrócił, Sasza z siłą uderzył go w twarz, Timofiej znowu upadł i chlapiąc wodę, poczołgał się do brzegu.

Nie, nie zabije Timofieja, nie będzie ginął przez gówno. Timofiej nie podnosił się, leżał na brzegu, ze strachem patrzył na Saszę. Obmierzła morda!

Smutek... Smutek...

Sasza poszedł do łodzi, wyrzucił kosy, osełkę, siatkę Timofieja, chwycił za wiosła i powiosłował w stronę wsi.

Przy kolacji Sasza poinformował, że przeprowadza się na inną kwaterę.

— Źle ci u nas? — spytał żołnierz. — Timoszce naukę daleś, dobrześ zrobił. Draczny jest, tylko by groził każdemu, zawzięty taki, nikomu nie przepuści. A z ciebie też jaki hak niezły! Idź z Waśką, wszystkie dziewczyny jego, ustąpi ci którą.

— Na niego uczycielka popatruje — roześmiał się Wasilij.

Timofiej milczał, nie patrzył na nikogo.

Dom jest w porządku. Ale mieszkać w zagrożeniu czyjąś mściwością byłoby okropnie, przy tym w jego sytuacji byłoby to ryzykowne. Rano Sasza przeniósł rzeczy na nowe miejsce.

W chacie oprócz kuchni był jeszcze pokoik, i ten właśnie wynajęto. Gospodarze, staruszkowie, byli ubożsi niż poprzedni, ale karmili znośnie. W kołchozie pracowali niewiele, cały dzień byli w domu, nie kłócili się między sobą, staruszka nazywała męża „mój krzywulek", był trochę garbaty, małego wzrostu. W domu panowała cisza: staruszka pobrzękiwała przy kuchni uchwytem do garnków i postukiwał siekierą na podwórzu staruszek, coś naprawiał. W izbie pachniało świeżo wymytą podłogą, na poczerniałych od upływu czasu ścianach z belek wisiały portrety Lenina i Kalinina i obok wycięte z „Niwy" zdjęcia rodziny carskiej w odkrytym powozie.

Niekiedy staruszek wychodził na cały dzień, wracał pod wieczór, na pytanie, co robił w kołchozie, odpowiadał:

— A co kazali, to i robiłem.

Tutaj kołchoz jest pojęciem umownym. Kolektywizacja zaczęła się później niż w innych regionach, a po artykule Stalina „Zawrót głowy od sukcesów" kołchozy rozpadły się całkiem, zorganizowano je na nowo także z opóźnieniem gdzieś półtorarocznym — dwuletnim. No ale co tu kolektywizować? Krótki okres wegetacji pozwalał na zebranie zboża w ilości ledwie wystarczającej do wyżywienia rodziny. Ale jeśli zabrać to zboże, to i tak nie ma żadnej możliwości przewiezienia go sześćset kilometrów sanną lub spławiania Angarą przez progi i wiry. Bydło? Każdy miał do dziesięciu krów, dwa tysiące łbów na wieś, i koni około tysiąca. Uspołecznili, zapędzili do zagród wysiedlonych kułaków, wymorzyli więcej jak połowę stada, zimy są tu surowe. Z powrotem porozdzielali było po gospodarstwach, ale nie jako własne, jako kołchozowe, a mleko gdzie odstawiać, komu? Maślarni nie ma, mleczarni nie ma. Wozić do Kieżmy dla władz? A one mnożyły się w przeciwieństwie do bydła, którego ubywało w oczach. Pozostało łowiectwo jako główne zajęcie. Właśnie stąd, z Mozgowej, biegł główny szlak do Tunguzów, do Wanarawy. Przed kolektywizacją wiewiórki odstawiano do „Skupu Futer", do spółdzielni. A teraz odstawiaj przez kołchoz, a kołchoz zatrzymuje połowę ceny. Co robić? Myśliwi ukrywali skóry, odstępowali Tunguzom, w faktoriach płacono im pełną cenę.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

ze str. 1

Tak też było: za każdym razem gdy nas aresztowano, on nas uwalniał. Niestety, Feliks Dzierżyński żył niedługo...

Mama zawsze gorąco wymawiała dwa słowa, gdy wspominała Dzierżyńskiego: *„Rycerz... Dżentelmen!"* A ja zapamiętałam spojrzenie jego badawczych, poważnych oczu, powściągliwą mowę i lekki, ale zauważalny polski akcent.

Myślę sobie teraz, że dopóki istnieje Ziemia, dopóki istnieje Rosja, Moskwa i jej muzea, w których każdy eksponat ma swoją metryczkę, imię matki mojej nieodłącznie jest związane z płótnem Botticellego, wielką relikwią cywilizacji światowej.

Wszyscy Mieszczierscy po mieczu, którzy pozostali w Piotrogrodzie i Moskwie — zginęli. Matka i ja, pozbawione dachu nad głową i meldunku, miałyśmy obowiązek wyjechania na sto pierwszy kilometr od Moskwy, ale nie wyjeżdżałyśmy. W dzień mama znikała na giełdzie pracy, ale mimo że znała francuski, niemiecki i włoski — nie mogła znaleźć pracy. *„Nie ma pracy dla księżnych"* — tak jej odpowiadano. Mama domyśliła się, że powinna spróbować pracy fizycznej i wtedy od razu zaproponowano jej posadę kucharki przy wodociągu Rublowskim. Rozpoczął się mamy i mój *„pracowniczy chrzest"*.

Władza radziecka odrodziła przepiękną tradycję: równania na najlepszego, na najbardziej godnego w rodzinie. Pokolenia stalowników, kombajnistów, tkaczy, nie mówiąc już o „gwiezdnych rodzinach kosmonautów" — czyż to nie wspaniałe? Uważam, nie zapominając co prawda o słowach mądrego dziadka Kryłowa, że *„przodkowie nasi Rzym uratowali"*, iż sława przodków moich w żadnej mierze nie rozciąga się na mnie. Nie z tego jestem dumna, że wśród Mieszczierskich byli bohaterowie, lecz z tego, że wśród bohaterów mojej Ojczyzny byli również Mieszczierscy. Jest ich wielu. Wspomnę tutaj o tych, których szczególnie podziwiam i kocham.

Dowódca młodego Suworowa był Iwan Mieszczierskij, a syn jego — Aleksiej, był adiutantem Suworowa. Opowiadanie „Bażant" Leontija Rakowskiego, jemu właśnie zostało poświęcone. Cytuję:

„Gdy 14 września roku 1799 mocarze Suworowa przechodzili przez straszny Diabelski most, książę major Aleksiej Mieszczierskij przeszedł jako pierwszy po jego rozchwierutanych deskach!"

O bohaterze Szipki, księciu Emanuelu Mieszczierskim, ojciec mój we wspomnieniach pisał:

„Żołnierze tak kochali swojego dowódcę, że za jego troskę o nich wznieśli mu wspólnie z pozostałymi przy życiu oficerami pomnik z granitu, w tym samym miejscu na Szipce, gdzie bohater ten został powalony".

Magister matematyki wyższej, Iwan Mieszczierskij, stworzył *„teorię zmiennej masy ciał"*. Oto fragmenty artykułu M. Leonowa, zamieszczonego w Dużym Kalendarzu na rok 1959 (str. 135), poświęconego setnej rocznicy urodzin I. Mieszczierskiego:

„...Bywały takie przypadki, że współcześni uczeni i inżynierowie z Europy i Ameryki, na przykład Włoch Levi Civita, Amerykanin Goddard, Niemiec Obert „odkrywali", równania, będące szczególnymi przypadkami równania ogólnego, dawno już odkrytego przez Mieszczierskiego.

„Równania Mieszczierskiego wykorzystywane były do sporządzania tabel strzelań miotaczy min „Katiusza" ponieważ ruch ich pocisków-rakiet jest szczególnym zadaniem z mechaniki ciała o zmiennej masie.

„Najlepszym pomnikiem ku czci stulecia urodzin Mieszczierskiego były radzieckie sztuczne satelity Ziemi, których pojawienie się byłoby zupełnie niemożliwe bez teorii, stworzonej przez znakomitego uczonego rosyjskiego".

Stulecie urodzin I. Mieszczierskiego było obchodzone w wielu krajach, a ja dostałam kilka jego podręczników przetłumaczonych na języki obce.

Muszę powiedzieć, że przez całe życie pomagało mi poczucie humoru. Na przykład uśmiecham się, gdy czytam niezliczone doniesienia prasowe o Nessie, mieszkance jeziora w Szkocji. Dlaczego nasza prasa tak się nią interesuje, a nie interesuje się mną?! Wydaje mi się, że sama jestem rosyjskim, moskiewskim Jekatierinozaurem. Ojciec mój urodził się w epoce Aleksandra I (1822 r.), zaś zmarł za Mikołaja II. A więc życie moje — to... dwa wieki rosyjskiej historii. Ojciec był zapalonym sportowcem, doskonałym pływakiem, ujeżdżał też dzikie konie. Konie były jego namiętnością.

Stworzył mnie, gdy miał 83 lata, matka moja była o 48 lat młodsza od ojca i przez całe życie była wierna jego pamięci. Ożenek ojca w tym, bardziej niż podeszłym wieku, postawił do góry nogami całą naszą rodową hierarchię: gdy włożono mnie do kołyski, byłam już babcią. I to nie po raz pierwszy. Mój siostrzeniec, książe generał A. Ignatjew (autor książki „40 lat w szeregu") był ode mnie, swojej ciotki, starszy o 25 lat. Wnuczka moja, księżna Jelizawieta (Weta) Mieszczierskaja, ma 96 lat, mieszka w USA, w stanie Illinois. Co prawda, nie pisze już ostatnio, możliwe, że umarła. Mam duże archiwum: albumy, fotografie, wycinki z gazet, książki. Losza (A. Ignatjew) był moim krewnym, gdyż jego matka — księżna Sofja Mieszczierskaja była córką brata mojego ojca — mając 60 lat była moją siostrą stryjeczną, podczas gdy ja miałam 10 lat. Losza był człowiekiem zadziwiającej przyzwoitości. Mieszkając w Paryżu i przebywając na stanowisku attaché wojskowego Rosji carskiej, miał w paryskim banku na swoim koncie około 200 mln rubli.

— *Są to pieniądze Rosji należą one do narodu rosyjskiego* — mówił hrabia Ignatjew, przesyłając całe 200 mln przez towarzysza Krasina do Moskwy. Za czyn ten, jego ukochany młodszy brat strzelał doń, ale kula, nie drasnąwszy nawet czaszki, łatwo przechodzi przez szczyt pokrytego włosiem kapelusza pilśniowego koloru ciemnozielonego szkła butelkowego.

Ignatjew przywiózł przestrzelony przez brata kapelusz z Paryża do Moskwy. Losza lubił go demonstrować gościom, siedząc w wygodnym gabinecie swojego mieszkania przy ulicy Sierowa, oddając się bardzo interesującym wspomnieniom.

Mimo iż Losza uratował i przekazał narodowi radzieckiemu carski skarb, różne instancje długo jeszcze go sprawdzały i nie zezwalały na powrót do Ojczyzny. Za granicą dawno już ochrzczono go mianem „agenta Łubianki". Prasa pastwiła się od jego karykatur. Na każdym występie jego żony, słynnej artystki Nataszy Truchanowej, na scenę leciały zgniłe owoce i teraz, aby zarobić na życie, Ignatjewowie hodowali w piwnicy swojego domu pieczarki i sprzedawali je.

Żona Loszy była córką Francuzki Bergonier (która nie opanowała jednak rosyjskiego), właścicielki niedużego sklepiku z rękawiczkami. Ojcem jej był rosyjski aktor Bostunow, który rzucił żonę i wyjechał do Rosji. Natasza Truchanowa (nazwisko po pierwszym mężu) była tą siedemnastoletnią, bosonogą pięknością, która swoim tańcem podbiła cały zblażowany i na wszystko obojętny Paryż. Cała galeria postaci historycznych była u stóp tej legendarnej piękności, królowej brylantów wieku dwudziestego — poczynając od siwego, wściekłego czarnosecińca carskiego ministra Purysz kiewicza, na miliarderze „rudym" Rotszyldzie, który kupił dla Nataszy malutki pałac królów francuskich pod Paryżem — kończąc. Najbardziej niezwykłe były w Nataszy jej diabelski rozum i wykształcenie Truchanowa poznała Ignatjewa jako attaché rosyjskiego w Paryżu, gdy miała 30 lat. Zostawiła swój pałac, wyszła za mąż za Losze i nie rozstawała się z nim aż do samej jego śmierci. Jedynie niezwykłe oddanie łączyło tych dwoje ludzi w dni prześladowań i niedostatku, gdy żyli wśród wrogów, na obcej ziemi, a Ojczyzna nie chciała ich przyjąć.

Czasami, wieczorem, gdy Ignatjew siadał do fortepianu, aby pograć uwielbianego przez siebie Beethovena, Natalia z lampą w ręku, godzinami klęczała nad grządkami warzyw, zbierając z nich szkodniki. Losza chciwie poszukiwał kontaktu z Ojczyzną i spotkań z Rosjanami. Gdy tylko zaczęto przywozić ze Związku Radzieckiego do Paryża wystawy przemysłowe i kulturalne — proponował organizatorom każdej z nich swoje usługi w charakterze tłumacza. Wkrótce ambasada rosyjska zaprosiła go do pracy przy deportacji „skruszonych" białych emigrantów. Znał on przecież dobrze każdego z nich.

Gdy Ignatjew dostał wraz z żoną wizę wjazdową do ZSRR, pozwolono mu załadować do wagonów towarowych wszystkie meble i cały majątek, jaki posiadał, mieszkając przez wiele lat w Paryżu. Dlatego też, jego mieszkanie w Moskwie przy ulicy Sierowa było najprawdziwszym małym muzeum, pełnym cennych zbiorów, zarówno rodzinnych, jak i historycznych.

— *Jesteś samotna, nie masz komu zostawić* — mówił często do mnie — *a po mojej i Nataszy śmierci będzie tutaj muzeum, dlatego wszystko, co ma wartość, przynieś tutaj, do nas...*

Przynosiłam. W tych dniach wykwaterowali mnie z naszego byłego mieszkania do tego domu, w którym jesteśmy, do dozorcówki z piecem i z brudną umywalką. Później zdołałam obok dozorcówki zbudować ściane nośną, założyłam centralne ogrzewanie i bojler na ciepłą wodę. Zbudowałam też sobie toaletę i dzisiaj uważam, że na całym świecie nie ma lepszego mieszkania od mojego, dwupokojowego, wybudowanego przeze mnie własnoręcznie, na *„drogich mi, starych kamieniach"*.

W listopadzie roku pięćdziesiątego czwartego umarł Losza, a później Natasza, która przeżyła go o rok i dziewięć miesięcy. Ale w czasie, gdy leżała w kostnicy, osoby do dzisiaj nieustalone rozgrabiły mieszkanie Ignatjewów, mieszkanie muzeum, które on chciał przekazać narodowi. Napisałam do przyjaciela Loszy — K. Woroszyłowa. Później do marszałka G. Żukowa. Ale nie odpowiedzieli mi. Wezwano mnie natomiast do prokuratury, grożono sądem za oszczerstwo. Przechowywałam spis najcenniejszych rzeczy Ignatjewa i prosiłam tylko o jedno: aby przynajmniej zrobiono gablotkę w Domu Armii Radzieckiej na pamiątkę o A. Ignatjewie.

Szczególnie żałuję zaginięcia cennych rękopisów Loszy: jego trylogii: *„Sankt Petersburg — Piotrogród — Leningrad"* oraz nagranych na taśmę magnetofonową pieśni żołnierskich z lat wojny mandżurskiej.

Jakby tego było jeszcze za mało, nie wiadomo przez kogo zorganizowana została skierowana przeciwko mnie kampania prześladowcza. W „Komsomolskiej Prawdzie" zamieścili druzgocący, oszczerczy artykuł. Zbieram teczkę dokumentów i wyrywam się do wysokich władz. Uspokajają mnie, mówią, że zdarzyła się pomyłka, że już komuś udzielono nagany, ale zabójstwo za pomocą słowa już się stało. Nie witano się ze mną, unikano spojrzenia, na ulicy przechodzili na drugą stronę. Była to cywilna śmierć... Do dozorcówki często stukano. Zaczęły się nie oparte na niczym wezwania.

Dostałam w tym czasie z Paryża „Filiżankę dziennikarza", ogromną, z białej porcelany. Były na niej tytuły wszystkich prawie gazet świata, a wśród nich naszej gazety „Trud". Filiżanka ta była podziękowaniem komunistycznej prasy Francji za moje artykuły publicystyczne pt. „Jak został schwytany Eichmann?", „Noc długich noży" — o spisku Röhma przeciw Hitlerowi. Pobudzona tym do działania zaczynam organizować wieczór, poświęcony pamięci pisarza, generała lejtnanta A. Ignatjewa. Dziesięć lat minęło od jego śmierci i zaczęli już o nim zapominać. Sama zrobiłam 165 zaproszeń dla tych przyjaciół Ignatjewa, których znałam osobiście. Dyrektor Centralnego Domu Literatów, B. Filippow wydał dyspozycję, aby na wieczór została przeznaczona Duża Sala. Przewodniczył wieczorowi pisarz W. Lidin, występowali A. Surkow, W. Fink, I. Kozłowskij, J. Smolenskij...

Na chleb zaczęłam zarabiać będąc jeszcze podrostkiem i chyba dlatego, jak też po przeżyciu wielu trudnych lat nie było mi znane pożądanie cudzych rzeczy. Chyba tylko ten dzień ciężko przeżywałyśmy z mamą, w którym nam zarekwirowano i wywieziono portret ojca pędzla Kurla Briullowa.

(Fragment wspomnień opublikowanych w „Ogońku").

JEKATIERINA MIESZCZIERSKA

Tłumaczył: HENRYK B. TYMIŃSKI

Feliks Dzierżyński

Przez całe życie pomagało mi poczucie humoru

Panorama

CSRS

W styczniu 1968 roku obradowało plenum KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji, na którym odwołano z funkcji I sekretarza KC KPCz. Antonina Novotnego a na tę funkcję wybrało Alexandra Dubczeka. Wydarzenia 1968 roku w Czechosłowacji są dziś szeroko komentowane i dyskutowane nie tylko w Czechosłowacji. „Rude Pravo" w Pradze a „Pravda" w Bratysławie opublikowały jednocześnie artykuł Ladislava Skalicky'go pt. *„Styczeń a dzień dzisiejszy"* z nadtytułem: *„Refleksje na temat plenum KC KPCz. sprzed 20 lat"*. Autor w tym artykule usiłuje odpowiedzieć na podstawowe pytanie: czy to, co stało się na styczniowym plenum KC KPCz. w 1968 roku było konieczne?

„Styczeń — pisze Ladislav Skalicky — *przy czym symbolicznie mamy na myśli właśnie obiektywnie pozytywne rezultaty plenum styczniowego KC KPCz z 1968 r. — nie zrodził się wszakże sam z siebie, przypadkowo, ani z woli sił kontrrewolucyjnych, wrogich socjalizmowi. Przeciwnie, był kulminacją zrozumienia, że ówczesny stan partii i społeczeństwa oraz interes dalszego pomyślnego rozwoju socjalizmu w naszej ojczyźnie wymagał takich zmian, które stworzą możliwość twórczego stosowania nauki marksistowsko-leninowskiej, umocnią i spotęgują siły socjalizmu. Takiego biegu spraw oczekiwała i pragnęła większość członków partii i wszystkich uczciwych ludzi naszego społeczeństwa"*.

Styczniowe plenum KC KPCz. z 1968 roku było kontynuacją plenum KC KPCz., które obradowało 19—21 grudnia 1967 roku. Na tym posiedzeniu plenarnym KC KPCz. poddano krytyce dotychczasowe metody pracy partii, popełnione błędy oraz poddano krytyce stanowisko i poglądy Antonina Novotnego. Ówczesne kierownictwo KC KPCz. — przypomina Ladislav Skalicky — głosiło błędne, nierealistyczne hasła: *„Jeszcze nasze pokolenie będzie żyło w komunizmie"*, *„Do 1980 roku rozwiązać kwestię mieszkaniową"*, *„Wykonać trzecią pięciolatkę w rolnictwie w cztery lata"*, *„Rolnictwo do poziomu przemysłu"*, *„Proklamowanie podobnych haseł* — pisze Ladislav Skalicky — *dyskredytowało partię w oczach opinii publicznej, osłabiało jej więź z ludźmi pracy i zaufania do jej polityki"*.

Dalej przypomina Ladislav Skalicky, że ówczesne kierownictwo partii z Antoninem Novotnym na czele nie potrafiło uporać się z narastającymi trudnościami. *„Odkładało rozwiązywania poważnych problemów, podejmowało kroki niekonsekwentne, połowiczne. Na uzasadnioną krytykę niedociągnięć, która narastała, reagowało alergicznie, negatywnie. Ignorowało konieczność stałego rozwijania demokracji socjalistycznej"*. Również Antonin Novotny nie zrozumiał sytuacji, która zaistniała wówczas w CSRS.

„A Novotny — pisze Ladislav Skalicky — *nie miał dostatecznego wyczucia pracy koncepcyjnej, nie był w stanie odróżnić dobrze pojmowanej krytyki od ataków prawicy, wiele posunięć osłabiał w wyniku niekonsekwencji bądź jednostronnej interpretacji itp. Do poważnych jego wad należało również niedocenianie kwestii narodowościowej, uproszczone spojrzenie na kształtowanie się jedności naszych narodów i narodowości"*.

Rezultatem takiej postawy Antonina Novotnego był wniosek o jego odejście z kierowniczych funkcji. Stało się to na styczniowym posiedzeniu KC KPCz.

W licznych wypowiedziach na temat „Praskiej wiosny" — jak zwykło się nazywać wydarzenia czechosłowackie z 1968 roku — porównuje się je do radzieckiej „pieriestrojki". Takie stanowisko zajął też Alexander Dubczek, który po 20 latach milczenia, udzielił wywiadu dziennikowi Włoskiej Partii Komunistycznej „L'Unita". W wywiadzie tym wystąpił w obronie „Programu działania", który został uchwalony w kwietniu 1968 roku na plenarnym posiedzeniu KC KPCz., jak też wysunął zarzut, że na jego temat i *„na temat oficjalnej polityki w 1968 roku powiedziano i napisano wiele rzeczy nieprawdziwych. Wyciągnięto sztuczne, oparte na fałszu wnioski. Miały miejsce demagogiczne oświadczenia. Zostały rozpowszechnione informacje nieprawdziwe i nieobiektywne, przekazywane również do państw sojuszniczych"*. Alexander Dubczek oświadczył też, że wysyłał listy zarówno do KC KPCz., jak i do partii państw sojuszniczych, a w tym i do ZSRR. Przekazał pozdrowienia z okazji 70-lecia Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej. Na listy te nie otrzymał odpowiedzi.

Po przerwaniu wydarzeń czechosłowackich wkroczeniem wojsk Układu Warszawskiego do CSRS w sierpniu 1968 roku Alexander Dubczek został aresztowany, a następnie powrócił do pracy w swoim zawodzie, pracował jako ślusarz. Dziś uważa, że znajduje *„głęboki związek z tym, co wydarzyło się u nas 20 lat temu, biorąc jednak pod uwagę czas i odmienność miejsca"*. Uważa, że między tym, co dziś dzieje się w ZSRR a tym, co 20 lat temu działo się w CSRS istnieją podobieństwa *„w podstawach, w źródłach będących inspiracją procesów jakie zaszły. Jedno z tych źródeł wynika z potrzeby globalnego zwiększenia wydolności ustroju socjalistycznego i jego społeczeństw, by sprostać wymaganiom światowej rewolucji naukowo-technicznej"*. Rozumie jednak, że „pieriestrojka" i „Praska wiosna" miały miejsce w różnym czasie i różnych warunkach.

Na tę okoliczność, czyli na różnicę warunków zwrócił też uwagę Roy Miedwiediew, który opublikował list po wywiadzie Alexandra Dubczeka. List ukazał się na łamach „L'Unity". Roy Miedwiediew zarzuca Alexandrowi Dubczekowi niedialektyczne widzenie historii. Pisze on między innymi:

„Historia zna setki przykładów, wcale nie silnych partii, które na koniec zwyciężają dzięki umiejętności opracowania odpowiednio przemyślanej taktyki i strategii. Dzięki temu zwyciężyli bolszewicy pod kierownictwem Włodzimierza Lenina w 1917 roku i partyzanci Mao Tse-tunga. Lecz tak jak Nikita Chruszczow nie był w stanie zmienić społeczeństwa radzieckiego w latach sześćdziesiątych, tak Alexander Dubczek nie potrafił przeobrazić społeczeństwa czechosłowackiego".

Alexander Dubczek uważa, że gdyby w 1968 roku w ZSRR był u władzy Michaił Gorbaczow, to dzieje „Praskiej wiosny" wyglądałyby zupełnie inaczej. I właśnie ten pogląd Roy Miedwiediew uważa za adialektyczny.

W dyskusji o wydarzeniach 1968 roku w CSRS zabrał też głos na łamach tygodnika „Hospodarzske Noviny" zastępca członka prezydium i sekretarz KC KPCz. — Jan Fojtik. Zaprzecza on podobieństwom w tym, co dzieje się dziś w CSRS i w tym, co działo się przed 20 laty. Pisze on między innymi:

„Kompleksowa reforma i przebudowa oparta jest na głębokich, trudnych doświadczeniach i fakt ten stanowi swoistą gwarancję bezpieczeństwa, powodzenia przedsięwzięć, uniknięcia błędów, jakie nastąpiły po styczniowym plenum w 1968 roku (m.in. ówczesna fetyszyzacja wolnego rynku i odrzucanie zasady centralizmu). Zdobyte doświadczenia i sposób przeprowadzania procesu przebudowy sprawia, że jakiekolwiek paralele między tym co dziś a tym co przed dwudziestu laty, są absurdalne — nie tylko w wypadku CSRS".

Wydarzeniom sprzed 20 laty w CSRS komentarz poświęciła Agencja TASS. Oto fragment z tego komentarza:

„Istotnie „demokratyzacja", „odnowa" i inne hasła i nawoływania, które pojawiły się w CSRS po plenum styczniowym z 1968 r., są pod wieloma względami zbieżne z tymi, które rozbrzmiewają dziś szeroko w ZSRR. Samo plenum styczniowe, którego decyzje mówiły o trwałej jedności z ZSRR i dalszym rozwoju demokracji socjalistycznej, o konsekwentnym usuwaniu niedociągnięć w gospodarce i życiu społeczeństwa, o umocnieniu sojuszu Czechów i Słowaków na zasadzie leninowskich pryncypiów polityki narodowościowej, było obiektywnie wydarzeniem koniecznym w życiu kraju i spotkało się z pełnym poparciem większości komunistów i obywateli CSRS. Rzecz w tym, co nastąpiło po nim? I czy można mówić o zbieżności tego, co weszło do słownika politycznego pod nazwą wydarzeń czechosłowackich 1968 roku, z przebudową w ZSRR?".

JADWIGA M. NIEDŹWIECKA

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

„PRZEKLĘTE IMIĘ ZDRADY"

W nawiązaniu do artykułu Witolda Borowego pt. „Przeklęte imię zdrady", zamieszczonego w nr 49 waszego pisma — pragnę wyjaśnić, że okupant hitlerowski sformował oddział tzw. Schutzmannschaftbatalion 202 złożony z ochotników polskich. Oddział ten, tworzony na podstawie rozkazu Dowódcy Ordnungspolizei w Generalnym Gubernatorstwie z 22 kwietnia 1942 r. w oparciu o zaciąg ochotniczy. Początkowo nie odniosło to skutku (zgłosiła się znikoma ilość ochotników) i wówczas oparto formowanie batalionu na kadrze byłej Policji Państwowej.

W maju 1942 r. skoszarowano go w Krakowie, a później w okolicach Dębicy. Dowództwo Batalionu objął mjr b. Policji Państwowej Antoni Kowalski, przedwojenny Komendant Powiatowy P.P. w Bydgoszczy a oficerem nadzorczym z ramienia okupanta został kpt. Schutzpolizei Tschandel. Dowództwo trzech kompanii pełnili przedwojenni oficerowie P.P., wszyscy volksdeutsche. Umundurowanie batalionu stanowiły początkowo zdobyczne mundury radzieckie, a następnie umundurowanie niemieckiej policji. Po zaprzysiężeniu w październiku 1942 r. oficerowie Schutzpolizei objęli zarówno dowództwo batalionu jak również i kompanii, a na początku 1943 r. batalion został użyty do walk z partyzantami na Białorusi, gdzie poniósł poważne straty.

Od wiosny 1944 r. do sierpnia tegoż roku batalion stacjonował w Alzacji koło Strasburga, a następnie został przeniesiony do Częstochowy, gdzie go rozformowano i wcielono do batalionu 209 złożonego z Kozaków. Użyty był do walki przeciw partyzantom w okręgu częstochowsko-radomszczańskim. O dalszych losach batalionu nic nie wiadomo, prawdopodobnie wycofał się wraz z postępem ofensywy styczniowej w roku 1945 do Niemiec zachodnich.

Dane o batalionie zawarte są w książce Adama Hempla „Policja granatowa w okupacyjnym systemie administracyjnym Generalnego Gubernatorstwa 1939—1945" wydanej przez Instytut Wydawniczy Zw. Zawodowych w Warszawie — 1987 r.

Był więc taki oddział — niewielki, złożony z renegatów, ale jednak był...

LESZEK ZADURSKI
(Sandomierz)

Jako członek harcerskiego wywiadu „Szarych Szeregów" na Ziemi Radomskiej byłem w posiadaniu dokumentów i oświadczeń dotyczących tego rodzaju perfidnej działalności.

Niemiecki plan użycia Polaków jako „mięsa armatniego" zrodził się nie w roku 1944, jak to niektórzy przypuszczali, ale zaraz po klęsce stalingradzkiej, kiedy to hitlerowcom zaczęło już brakować ludzi, a nawet jeszcze wcześniej. Na przykład po napaści Niemiec na Związek Radziecki, na wolnych placach wyświetlano filmy propagandowe o sukcesach hitlerowskich, pokazując maszerujące wspólnie z Niemcami wojska fińskie, francuskie, węgierskie, rumuńskie, słowackie, chorwackie itp. Z ekranu padło wówczas pytanie: — A gdzie są Polacy?

Grupa stojących w tłumie „szaroszeregowców" odkrzyknęła: — W Oświęcimiu!

Innym razem w prasie „gadzinowej" ukazywały się materiały „bolejące" nad nieubłaganą postawą Polaków (patrz przemówienie gubernatora Franka z 22 czerwca 1941 r., art. „Nakaz chwili" drukowany w „Nowym Kurierze Warszawskim" z 5 lutego 1943 r., bądź art. „Traktują Polaków jak najemników" drukowany w „Gazecie Ilustrowanej" nr 11 z dnia 23 marca 1943 r.).

Po radzieckiej ofensywie letniej roku 1944, kiedy Niemcy oddali część „Generalnej Guberni" aż po Wisłę, przypomniało się im, że Polacy jako obywatele „GG" obowiązani są do jej obrony. Uknuli więc nowy perfidny spisek. Polegał on początkowo na „łagodnych" perswazjach.

Czasami też posunięcia Niemców miały charakter „konspiracyjny". Na przykład w listopadzie 1944 roku w dzień, kiedy w miasteczkach leżących nad szosą Kraków — Radom odbywały się targi, przejechał nią z dużą szybkością motocyklista rozrzucając ulotki zatytułowane „Jeszcze Polska nie zginęła!" Rozklejano afisze z orłem legionowym, wypowiedziami Józefa Piłsudskiego oraz wypowiedzi przypominające o roku 1920. Próbowano też rozlepiać w miejscach mniej uczęszczanych fałszowane ogłoszenia (drukowane na dobrym papierze) „Armii Krajowej o zaakceptowaniu pomocy Niemcom".

W ślad za tymi prowokacjami poszły czyny. „Gadzinówki" z 17 grudnia 1944 r. pisały:

„...Naczelna Komenda Niemieckich Sił Zbrojnych zdecydowała się na umożliwienie ochotnikom polskim wstąpienia w skład niemieckich sił zbrojnych. Na skutek tego każdy mężczyzna w wieku od 16 do 50 lat może obecnie zgłosić się do punktów werbunkowych... Zgłoszenie może nastąpić natychmiast... Ochotnicy są zasadniczo postawieni w swych prawach i obowiązkach na równi z osobami przynależnymi do niemieckich sił zbrojnych...".

Po opublikowaniu tych wiadomości w miastach powiatowych a nawet mniejszych osiedlach przy „Ortskomendanturach" (komendach wojskowych miasta) utworzono punkty werbunkowe. Polacy i na ten „dobroduszny" gest zareagowali biernym oporem. O zignorowaniu propagendy niemieckiej przez społeczeństwo polskie świadczy zabawny incydent, który zdarzył się w punkcie werbunkowym do niemieckich formacji pomocniczych w Szydłowcu koło Radomia. Ponieważ do punktu tego nikt się nie zgłaszał, oficer werbunkowy i jego pomocnicy nudzili się. W tym czasie grupa staruszków w wieku 60—65 lat, wysiedleńców z Poznańskiego, byłych uczestników Powstania Wielkopolskiego a wśród nich Mieczysław Lewandowski i Stanisław Stuper, postanowiła zrobić Niemcowi kawał. Zebrali się i całym zespołem udali się do punktu werbunkowego, gdzie oświadczyli zaskoczonemu oficerowi, że jako byli żołnierze armii niemieckiej z I wojny światowej dobrowolnie zgłaszają się do wojska. Dowcip udał się. Oficer bardzo poważnie tłumaczył przybyłym, że ich wiek nie jest już odpowiedni do pełnienia służby wojskowej. Natomiast bardzo prosił ich o zorganizowanie odpowiedniej propagandy wśród polskiej młodzieży.

Często w swoich zamierzeniach werbunkowych do pomocniczych formacji wojskowych Niemcy posługiwali się prowokatorami — nielicznymi „ochotnikami", którym polecono prowadzenie agitacji wśród byłych znajomych i kolegów. Jednym z takich agitatorów na Ziemi Radomskiej był Stanisław Bonek z Łodzi (zmarł w latach sześćdziesiątych na gruźlicę) występujący pod nazwiskiem panieńskim swojej matki — Tynant.

W akcji propagandowej wykorzystywano także żołnierzy niemieckich mówiących po polsku. Oni to nawiązywali — niby to przypadkowo — rozmowę z polskimi chłopcami, próbując przedstawić im w „różowym świetle" radosne perspektywy żołnierskiego życia w armii niemieckiej. Gdy to jednak nic nie pomogło, uciekali się do gróźb.

Następowały coraz częstsze odwiedziny w poszczególnych domach i to pod różnymi pretekstami. Osoby, które wyraźnie dawały do zrozumienia że nie pójdą na lep niemieckiej propagandy przezornie przenosiły się do znajomych, do miejscowości bardziej odległych od miejsc dotychczasowego zamieszkania. Zbyt często i dociekliwie interesowała się nimi żandarmeria niemiecka i placówki gestapo.

Stosowanie różnego rodzaju presji nie ugięło jednak Polaków. Niemcy zdołali jedynie zebrać małą grupę „ochotników", których skoszarowano w Częstochowie. Wychodzące wówczas w języku polskim pismo ilustrowane zamieściło obszerny fotoreportaż z życia takiego oddziału.

O pomyśle zwerbowania Polaków do pomocniczej służby wojskowej w armii niemieckiej wywiad AK wiedział już nieco wcześniej. Dlatego też prasa podziemna opublikowała swoje ostrzeżenie jeszcze przed niemieckim oświadczeniem z 17 grudnia 1944 r. Ostrzeżenie takie zostało m.in. opublikowane w nr 33 „Pobudki", z 2.12.1944 r. w tygodniku AK obwodu Kozienickiego, inspektoratu AK w Radomiu. W ostrzeżeniu tym czytamy:

„Na murach naszych miast, po wszystkich wsiach i miastach rozplakatowane zostały odezwy, w których okupant niemiecki wzywa nas do „pomocniczej służby wojskowej".

Opuszczone przez swych ostatnich sojuszników, bite na wszystkich frontach przez armie sprzymierzone, stojąc w obliczu nieuchronnej klęski wzywają nas Niemcy do szeregów, wzywają do walki w obronie obcej nam sprawy.

Sądzą oni widocznie, że ich zbrodnicza napaść w 1939 roku na Polskę, że długie lata bezprzykładnego prześladowania i znęcania się nad całym naszym narodem, że tysiące niewinnie pomordowanych w obozach i kaźniach gestapo, że gruzy i zgliszcza naszych miast i wsi, że ciemiężenie wszystkich bez wyjątku warstw narodu mogą być zapomniane.

Wezwanie do współpracy opublikowane zostało w chwili, gdy nie zastygły jeszcze ruiny spalonej w barbarzyński sposób, zniszczonej Warszawy, gdy setki tysięcy ofiar, wysiedlonych, doszczętnie ograbionych, bez dachu nad głową, bez środków do życia, w głodzie i podartej odzieży wędruje wszystkimi drogami. Niemcy żądają od nas pomocy w chwili, gdy miliony braci naszych ginie pod batem niemieckim w obozach karnych, w obozach pracy na wygnaniu, w poniewierce, a na ulicach wsi i miast nie ustają ani na chwilę „hyclowskie" łapanki, setki tysięcy odrywa się od rodzin i najbliższych i wciąż wywozi do Niemiec...

Nasza odpowiedź może być tylko jedna... Nie będzie Polaków ochotników do armii niemieckiej!"

Na przełomie grudnia 1944 r. i stycznia 1945 r. sołtysi w poszczególnych wsiach i burmistrzowie w miastach otrzymali polecenie złożenia pisemnych list mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat, które miały służyć do ogłoszenia „wojskowej mobilizacji (Polaków) męskiej ludności GG". Wspominały o tym meldunki wywiadowcze „Szarych Szeregów" i placówek AK. Potwierdza to także meldunek Komendanta Okręgu AK „Jodła" płk Jana Zientarskiego „Mieczysława" z 2 stycznia 1945 r.

„Pod presją, jak głodem i więzieniem zmuszanie Polaków do pomocniczej służby w wojsku (niemieckim). Obecnie są przygotowywane imienne listy celem przymusowego poboru Polaków do pomocniczej służby w wojsku".

Ofensywa radziecka spowodowała, że pomysł hitlerowski formowania polskich jednostek pomocniczych przy armii niemieckiej nie powiódł się.

Niemniej jednak sprawa organizowania polskich oddziałów przez Niemców podczas II wojny światowej powinna ujrzeć światło dzienne, podobnie jak wspomniana przez Witolda Borowego sprawa policji granatowej.

MIECZYSŁAW KOZAK

Listy Leszka Zadurskiego i Mieczysława Kozaka pokazują wyraźnie, że było kilka prób powołania polskich oddziałów przez Niemców w czasie II wojny światowej. Wszystkie próby w zasadzie nieudane, ale przecież jakieś tam oddziały — choćby szczątkowe — powstały.

Leszek Zadurski pisze o oddziale powołanym spośród członków byłej Policji Państwowej. Mieczysław Kozak pisze o oddziałach, które próbowano formować w rejonie Radomia i Kielc. Ja natomiast pisałem o oddziale, do którego zwerbowano około 300 osób, a który powstał pod koniec 1944 roku, po inicjatywie Władysława Sudnickiego — zaciekłego antykomunisty. Każdy z nas pisał zatem o innej inicjatywie, które podejmowane były w różnym czasie i przez różne kręgi.

Ale też trzeba wiedzieć, że do połowy 1944 roku istniał zakaz werbowania Polaków do pomocniczych oddziałów Wehrmachtu. Gdzieś w połowie 1944 roku Adolf Hitler zgodził się na rekrutację do oddziałów Hiwis (Hilfswillige) byłych obywateli polskich — zamieszkałych na byłych terenach II Rzeczypospolitej — Białorusinów i Ukraińców. Jedynie SS było uprawnione do rekrutowania Polaków do oddziałów wojskowych — Waffen SS. Dopiero w październiku 1944 roku Adolf Hitler zezwolił na werbowanie Polaków przez Webrmacht.

Mirosław Poniecki nadesłał list, w którym przypomniał, że koniec Brigadeführera Bronisława Kamińskiego opisał Stanisław Jankowski „Agaton" w książce „Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie", t. II str. 141—142. Zainteresowanych odsyłam do tej książki. Przy czym byłbym ostrożny z tą samodzielnością, jaką próbują niektórzy przypisywać Bronisławowi Kamińskiemu, która miała rzekomo zagrażać Niemcom. Erich von dem Bach wyraźnie powiedział, co sądzi o samym Bronisławie Kamińskim i bojowości jego Brygady. Nie ukrywał, że powodem krwawej rozprawy z Bronisławem Kamińskim był... rabunek. Nie podzielił się on zrabowanymi dobrami z Niemcami. A była ponoć pełna fura złota, drogich kamieni, zegarków. Zabrano go do Łodzi i oddano pod sąd doraźny SS. Żołnierzom jego brygady pokazano samochód posiekany kulami i zbryzgany krwią. Powiedziano, że to polscy partyzanci wykończyli im „wodza".

Mirosław Poniecki sugeruje, że sąd doraźny SS odbył się „w nieczynnej hali browaru Anstadta przy dzisiejszej ulicy M. Nowotki", a zwłoki zastrzelonego wywieziono i pogrzebano w Lesie Lućmierskim.

Myślę, że sprawa granatowej policji, jak i próby powołania polskich oddziałów przez Niemców w czasach II wojny światowej mogłyby doczekać się pełnego opracowania przez historyków. To też są białe plamy.

Książki Adama Hempla o granatowej policji, o której wspomina Leszek Zadurski nie znam. Jakoś nie mogę jej w Łodzi dostać. W księgarniach ciągle tylko słyszę: — Jeszcze nie było! Dziwne. W Sandomierzu już była, a w Łodzi nie. Dlaczego? Ale to już inna sprawa.

WITOLD BOROWY

NA KOLONIACH ŹLE SIĘ DZIEJE

W związku z faktem, że otrzymała pani od Wydziału Oświaty Łódź-Widzew odpowiedź na moją skargę, a w której to odpowiedzi Inspektor neguje wszystkie moje zarzuty czuję się zobowiązany przekazać na ręce pani moją odpowiedź, którą wysłałem do Kuratorium i Inspektora. Myślę, że brak mojej reakcji byłby równoznaczny z akceptacją takiej odpowiedzi, jaką otrzymaliśmy a tak nie jest. Oto więc pełny tekst odpowiedzi:

W związku z otrzymaniem odpowiedzi na moją skargę pragnę się do tej odpowiedzi ustosunkować, ponieważ mnie ona nie satysfakcjonuje.

1. Wielka szkoda, że uzgodnienia składu kadry kolonijnej i rozdzielonych funkcji nie zostały w sposób rzetelny przedstawione dyrekcji w moim miejscu pracy, bowiem jako kierownik obydwu turnusów został przedstawiony p. Ciesielczuk, który w rozmowie ze mną potwierdził powyższe uzgodnienia. Jaki miał więc cel Wydział Oświaty i sam p. Ciesielczuk, aby błędnie poinformować dyrekcję ZOZ i mnie o przydzielonych funkcjach? Dlaczego p. Ciesielczuk rozmawiał ze mną jako kierownik wiedząc, że funkcji tej w II turnusie pełnił nie będzie?

2. Skoro na koloniach mogło przebywać 11 dzieci pracowników, to rozumiem, że mogło przebywać także moje dziecko. Trudności w założeniu karty i akceptacji ZOZ myślę nie byłoby. Tym bardziej nie rozumiem wyjaśnień p. Ciesielczuka, który nie widział potrzeby zakładania karty twierdząc, że „załatwimy to". Sądziłem, że jako kierownik rzeczywiście załatwi tę sprawę tak jak powinna być ona załatwiona. Niestety rzeczywistość okazała się jakże przykra.

3. Odpowiedź p. Inspektora, mimo że dokładnie wylicza liczbę dzieci pracowników, nie wyjaśnia rzeczy istotniejszej — dlaczego w dniu rozpoczęcia kolonii nie było przygotowanej apteczki z lekami. (Pytałem o to w poprzednim piśmie).

4. W związku z faktami, że obowiązki lekarza w II turnusie pełniła lekarka z Torunia, a nie jak wstępnie zapowiedziano — że felczer, przypomniał mi się następujący epizod. P. Ciesielczuk w rozmowie ze mną w czerwcu usilnie namawiał mnie, abym zrezygnował z wyjazdu na II turnus twierdząc, że stanowisko moje obiecał wcześniej (niestety bez jakichkolwiek uzgodnień z dyrekcją ZOZ) p. doktor z Torunia, wobec której, jak wyjaśnił, miał „zobowiązania". Mam więc podstawy przypuszczać, że ww. lekarz był już na koloniach w dniu mojego przyjazdu. Nie udało się przeforsować kandydatury „swojego człowieka" oficjalnie w czerwcu — zrobiono to w żenujący sposób pod koniec lipca. Potwierdza moje przypuszczenia także fakt, że nie chciano, aby na moje miejsce przyjechał inny lekarz z ZOZ Matki i Dziecka.

5. W zakresie kontroli Sanepidu i Kuratorium stwierdzenie, że wszystko było w porządku i że są na to odpowiednie dokumenty zakrawa na kpinę, bo fakty jakich byłem świadkiem (i nie tylko ja) stoją w rażącej wprost sprzeczności z tymi stwierdzeniami. Nawet jeżeli panował porządek w dniu kontroli, nie świadczy to o tym, że trwał aż 21 dni. Natomiast bałagan i antysanitarne warunki stwierdzone chociaż w jednym dniu dyskwalifikują daną placówkę jako całość, a przynajmniej powinny to czynić. A poza tym skoro wszystko było w porządku, to dlaczego p. Posmyk proponowała mi, abym sobie posprzątał gabinet? Potwierdza to, że jednak było brudno! Żałuję, że mając aparat fotograficzny nie zrobiłem zdjęć, aby mieć dowód istniejącego stanu rzeczy. Ale i tak nie mam pewności, czy nie spotkałbym się ze stwierdzeniem ze strony Wydziału Oświaty, że to np. fotomontaż.

6. Jeżeli zarzuty dotyczące „nietaktownego" zachowania (bardzo to delikatne stwierdzenie) były konsultowane z samymi zainteresowanymi, to wcale się nie dziwię, że się nie potwierdziły. Jeżeli p. Posmyk czy p. Ciesielczuk nie potrafili załatwić sprawy fair, to trudno się spodziewać, że będą mieli na tyle odwagi cywilnej, by przyznać się do błędu. A szkoda. Widać odpowiedni poziom kultury osobistej i odwaga cywilna, to zbyt duży ciężar dla — jak pisze p. Inspektor — „długoletnich i doświadczonych pedagogów".

Dla p. Inspektora ww. wywiązują się z powierzonych funkcji bez zarzutu. Twierdzę że wywiązują się bez zarzutu, ale z prowadzenia dokumentacji, bo z tego, jak widzę, zostali rozliczeni, a nie z faktów, które także powinny podlegać ocenie. Dziwiłbym się bardzo, gdyby przez te kilką lat prowadzenia kolonii nie nauczyli się ww. „odpowiedniego" prowadzenia dokumentacji. Papier może zaświadczyć o wielu rzeczach, ale o kulturze człowieka świadczyć może tylko konkretna sytuacja. A tych żenujących było tyle, że moja opinia o tych ludziach pozostanie niezmieniona. Szkoda, że zachowanie tego typu ludzi rzutuje na dużą rzeszę rzetelnych i odpowiedzialnych pracowników oświaty, którzy zupełnie niewinni muszą się wstydzić za takich przedstawicieli swojego resortu. Życzyłbym wszystkim dzieciom, które będą uczestnikami kolonii w następnych latach, aby nie trafiły do „takiej" placówki i pod opiekę „takich" ludzi.

ANDRZEJ SAGAN

Wstrzymywałam publikację listu Andrzeja Sagana w oczekiwaniu na owo pismo z UD Widzew, ale go nie otrzymałam. Myślę, że nadszedł już czas na opublikowanie listu, który jest — niestety — odpowiedzią na nieznane mi pismo.

List Andrzeja Sagana drukowany w 43 numerze „Odgłosów" z 1987 roku dał podstawę pani G.M. do napisania kilku uwag na temat pracy lekarza na koloniach. Pani G.M. (imię, nazwisko oraz adres miejsca pracy tylko do wiadomości redakcji) jest dyrektorką jednej z widzewskich szkół, wielekroć jeździła na kolonie i na podstawie listu Andrzeja Sagana opublikowanego w „Odgłosach" wyrobiła sobie pogląd na to, jakim człowiekiem i pracownikiem jest Andrzej Sagan. Ponieważ G.M. zastrzegła sobie nieujawnianie jej imienia i nazwiska, publikując jej list — zgodnie z „Prawem prasowym" — biorę za jego treść całkowitą odpowiedzialność. Pani G.M. nie była na tej kolonii, na której był Andrzej Sagan, jak też nie zna całej sprawy z autopsji. Wyrobiła sobie jedynie pogląd na postępowanie i osobę Andrzeja Sagana tylko na podstawie listu. Właśnie w „świetle listu postawa Andrzeja Sagana budzi wiele zastrzeżeń", które pani G.M. być może tylko wydają się zastrzeżeniami, gdyż faktów przecież nie zna. Z tych powodów nie mogę tego listu opublikować. Nie jest to bowiem ocena człowieka w świetle faktów, a jedynie według domniemywań. Można zatem niektóre zarzuty ocenić jako pomówienia i rzecz mogłaby się zakwalifikować do sądu.

Mogę natomiast przytoczyć zakończenie listu pani G.M. Pisze ona:

„Z przyjemnością mogę stwierdzić, że personel kolonii, którymi od kilku lat kieruję... zarówno personel medyczny, jak pedagogiczny i obsługowy z podziwu godną bezinteresownością i pełnym oddaniem opiekował się kolonistami. Ich praca spotykała się zawsze z pozytywnymi opiniami władz politycznych, oświatowych, a także Sanepidu i ZOZ. Jako kierownik kolonii miałam szczęście pracować ze służbą medyczną zarówno łódzką, jak i miejscową — wspaniałymi, kochającymi dzieci ludźmi..."

Gratuluję tak wspaniałego personelu i życzę, aby na wszystkich koloniach było tak pięknie. Nie mogę się jednak powstrzymać od uwagi, że jeśli u pani G.M. jest tak pięknie, to wcale z tego nie wynika, że wszędzie musi być tak samo. I odwrotnie. Dlatego zawsze, jeśli ktoś występuje w obronie dzieci, nawet gdyby tylko po części miał rację, trzeba nad tą krytyką pochylić się z uwagą, wnikliwie ją przeanalizować i zawsze bronić dzieci i ich dobra, a nie tylko dobra „kolegów, ludzi zaangażowanych, uczciwych, sumiennie i z oddaniem wykonujących swoje obowiązki".

BOGDA MADEJ

KŁADKA W UNIEJOWIE

DROGA REDAKCJO!

Wasz zapewne znakomity, acz nam osobiście nieznany tygodnik zamieścił w majowym numerze krytyczny artykuł pt. „Gospodarz to znaczy kto?" a dotyczący naszego zakładu w Uniejowie. Nie znamy — pomimo usilnych starań — rzeczonego numeru, nie udało nam się zdobyć (nie rozprowadzane w naszym województwie). Odpowiadając Wam posiłkujemy się odpisem pochodzącym z Urzędu Miasta i Gminy Uniejów, z góry przepraszamy za ewentualne nieścisłości zawarte w odpisie, a których dotyczyć może nasza odpowiedź.

Polemiki • Listy • Opinie

Z zamkowych okien, owej wspaniałej renesansowej rezydencji arcybiskupów gnieźnieńskich zza restauracyjnego stolika w atmosferze dobrych kulinarnych przysmaków nie tylko czas, ale i wyobraźnia nasycona scenerią otaczającego parku, murów zamkowych, człowieka z wyobraźnią w dawne, barwnością strojów przeniknięte przenosi epoki. Ma też drogi Redaktor rację pisząc, iż w Zamku widać rękę gospodarza — ale to prawda cząstkowa.

Zamek, co by o nim nie powiedzieć, w planach i perspektywach naszego przedsiębiorstwa zajmuje miejsce poczesne, a że nie manną lecącą jakoby z nieba, lecz twardym pieniądzem żyje „KONTUR" tam więc też skierowano właśnie pierwsze zabiegi organizacyjne, finanse, zakupiono oryginalne wyposażenie mebli z Des, a co najważniejsze specjalne programy dostosowane właśnie kryteriami do zamku przygotowano. „Kurdesz Staropolski" to najprzedniejsza, kostiumowa z bardzo bogatym, przepięknym programem zabawa, która jej uczestników przenosi w ów czas dawny, od szarej naszej przeciętności tak różny, przeto tak pożądliwy. Nie jest to przecież jedyny dla gości przygotowany specjał, z jego bogatą ofertą można się zapoznać w zamkowym biurze usług turystycznych. Przebogata rekwizytornia strojów i kostiumów z filmów polskich, znakomici i znani aktorzy, jedyne w kraju przewoźne wyposażenie do widowisk „światło i dźwięk", to kolejne atuty Zamku w Uniejowie.

Gospodarz dobry, przezorny a zatem myślący to taki, który dbając o zewnętrzną świetność jednocześnie z torbami nie poszedł. Przekładając to na język praktyki w zakładzie w Uniejowie powiemy, iż kolejność zadań piorytetowych tak jest ustanowiona, by działaniem swoim zakład, nade wszystko Zamek wypracowywał nakłady, które w określonych proporcjach przeznaczane są na rekultywację otaczającego go parku. Według opinii fachowców w parku nie przeprowadzono właściwych prac pielęgnacyjnych od wybuchu wojny w 1939 r. Przyczyny były różne, ale najważniejszą z nich brak środków.

Dotyczy to również okresu, w którym administracyjnie Uniejów należał do województwa łódzkiego. Park jest własnością przedsiębiorstwa, ale ogólnodostępny, winien więc stanowić przejaw troskliwości — aktualnego gospodarza — o czym w artykule wiele — ale i społeczności lokalnej. Z dużą przykrością musimy stwierdzić, iż wysiłki nasze zmierzające do zainteresowania współpracą w utrzymaniu parku wespół z lokalnymi władzami są właściwie żadne. Permanentnie dewastowane jest oświetlenie, niszczone ławki, zieleń otaczająca zamek. Rozumiemy, iż jest to suma kulturowych postaw kształtowanych tradycją, rzecz w nawykach, wychowaniu rodzinnym.

Dziwi się Redaktor nazwą pawilonów „Śródborze", „Zbyszko i Jagienka", my również, ale otrzymaliśmy je w spadku, szanując tradycje pozostawiliśmy. Tu drobne wyjaśnienie. Pawilony owe to pozostałość po niegdysiejszych zamiarach budowy gazociągu przez Hydrobudowę 7, jako zaplecze socjalne dla robotników — w latach 60. Jako prowizorka są owe pawilony wiecznotrwałe, przez przedsiębiorstwo zaadoptowane na pawilony wycieczkowe niskiej kat., a że w wykonawstwie zrobione na dziś, wymagają ciągłych remontów i napraw, przy których — niestety bałaganu nie da się uniknąć.

Ma Uniejów dwa mosty. Jeden duży dla ruchu kołowego, oraz drugi zwany raczej kładką dla pieszych, łączącą bezpośrednio miasto z Zamkiem. Wadliwa konstrukcja mostu dla pieszych (brak izbic odbojowych) była bezpośrednią przyczyną przesunięć środkowych filarów (położonych w nurcie rzeki) w wyniku naporu lodów w dwóch poprzednich latach. Przedsiębiorstwo będąc właścicielem, opierając się na ekspertyzach podjęło decyzję o jego natychmiastowym zamknięciu, dokonując jednocześnie budowy fizycznych zapór oraz stosownego oznakowania.

Jedynym w kraju wyspecjalizowanym przedsiębiorstwem w budowie i remoncie mostów jest Płockie Przedsiębiorstwo Robót Mostowych w Płocku. „Kontur" po długich zabiegach zlecenie ulokował, podpisał umowę, a wykonawca w dwóch sezonach przystąpił do realizacji. Na dziś powiemy, iż remont został prawidłowo wykonany, filary wzmocniono żelbetowymi izbicami, nadkład mostu wyrównano do poprzedniego poziomu, uszczelniono.

Czy istniało realne niebezpieczeństwo zawalenia kładki? Naszym zdaniem i ekspertów tak. Świadczą o tym również dokonane roboty i wydatkowane fundusze. A że trwało to może nieco długo? No cóż, przy najlepszych nawet chęciach przedsiębiorstwo własnym sumptem wykonać tego nie mogło.

Niewesołe refleksje nasuwały nam się, gdy wielokrotnie trzeba było naprawiać zabezpieczenie mostu przed przechodzeniem — w końcu zaniechano — o stanie świadomości i odpowiedzialności tych, którzy łamali ów zakaz przejścia, a nadto o swoiście pojmowanej współpracy lokalnych władz, które gromko domagając się naprawy kładki nic w zakresie zabezpieczenia przejścia w owym czasie nie zrobiły. A przecież interes to nie tylko Zamku, a całego środowiska, któremu owa kładka służyła i służyć będzie nadal.

Spokojnie płynie Warta, nurt rzeczny wyznacza bieg historii. Dwakroć nie wstąpisz do tej samej wody, choć podobieństwo wielkie. W zamkowym obejściu krząta się załoga, codziennym rytmem płynie życie w miasteczku. Z dniem każdym przybywa, porządkuje się, rośnie liczba substancji materialnej. Może nie na miarę to „chciejstw" naszych, naszych jakże ludzkich potrzeb.

Konin, 13.12.1987 r.

Z poważaniem
Rzecznik Prasowy Przedsiębiorstwa
HALINA KURZAWIŃSKA

Nie naruszę chyba art. 32, pkt 6 „Prawa prasowego", **jeśli podzielę się kilkoma refleksjami, jakie mnie naszły po lekturze listu nadesłanego z „Konturu". Otóż wspomniany punkt** „Prawa prasowego" **mówi, że** „tekst sprostowania nie może być komentowany w tym samym numerze". **Nie mam zamiaru niczego komentować, bo i nie ma co tu komentować. Dzielić się refleksjami** „Prawo prasowe" **nie zabrania.**

Mój felieton pt. „Gospodarz — to znaczy kto?" **ukazał się w „Odgłosach" 2 maja 1987 roku. List podpisany przez Halinę Kurzawińską nosi datę 18 grudnia 1987 roku.** „Prawo prasowe" **stanowi, że redaktor naczelny pisma może odmówić opublikowaniu sprostowania, jeśli nadeszło** „po upływie miesiąca od dnia opublikowania materiału prasowego, chyba że zainteresowana osoba nie mogła zapoznać się wcześniej z treścią publikacji, nie później jednak niż w ciągu trzech miesięcy od dnia opublikowania materiału prasowego" **W tym przypadku oba terminy nie zostały dotrzymane. A może były tego poważne powody?**

Urząd Miasta i Gminy w Uniejowie wysłał do Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Turystycznej „Kontur" w Koninie pismo zawiadamiające o ukazaniu się mojego felietonu 14 maja 1987 roku i załączył odpis tego felietonu. Następnie ponaglił dyrekcję „Konturu" dwukrotnie: 7 lipca i 25 listopada 1987 roku. Za drugim razem odpis pisma Urząd Miasta i Gminy w Uniejowie przesłał do wiadomości rzecznika prasowego wojewody konińskiego, Wydziału Kultury Fizycznej UW i Wydziału Kontroli UW w Koninie. Pomogło, bo otrzymaliśmy wielce ironiczny i zupełnie nie na temat list podpisany przez rzecznika prasowego „Konturu" w Koninie — Halinę Kurzawińską.

Pisze ów rzecznik prasowy z konińskiego „Konturu", że nasz tygodnik nie jest rozprowadzany w województwie konińskim i stąd nie mogli tam znaleźć niezbędnego egzemplarza. Pomijam, że mieli do dyspozycji odpis felietonu. No i muszę poinformować Halinę Kurzawińską, że bardzo fatalnie oceniłbym jej kwalifikacje, gdyby to ode mnie zależało, gdyż nie wie, że kolportażem prasy w PRL zajmuje się RUCH i tam trzeba szukać wszelkich informacji o wychodzących w Polsce pismach. Natomiast jeśli chodzi o „Odgłosy", to muszę Halinę Kurzawińską poważnie rozczarować. Otóż w czerwcu 1987 roku konińskie miało do dyspozycji 123 egzemplarze pisma, w lipcu — 98, później — 94 i 90 przy zmniejszających się zwrotach. Nie moim zadaniem jest oceniać, czy to dużo, czy mało, ale w dyspozyturze RUCH-u można było zdobyć poszukiwany egzemplarz, albo przynajmniej dowiedzieć się adresu naszej redakcji w Łodzi i zwrócić się do niej. Widać jednak „Kontur" wolał udać, że krytyka jego nie dotyczy.

A odnośnie wyjaśnienia merytorycznego spraw poruszonych na początku maja przeze mnie. Nic nie zostało wyjaśnione. Dziękuję wszakże za informację, że już kładka nad Wartą w Uniejowie przestała grozić zawaleniem. Dobre i to! Zresztą wybiorę się tam i sprawdzę.

Natomiast Halinie Kurzawińskiej gratuluję umiejętności reklamowych. Powinna w „Konturze" pełnić funkcję szefa reklamy. A może tam sprawy prasowe utożsamiają ze sprawami reklamy?

WITOLD BOROWY

„LATAMY JUŻ NA RÓŻNYCH WYSOKOŚCIACH"

W wielu domach i biurach, w prywatnych rozmowach wypowiada się bardzo często te zdania, które wypowiedziane zostały w wywiadzie pt. „Latamy już na różnych wysokościach": „paszport jest prawem obywatela i nikt mu łaski nie robi. Otwarcie granic dla emigracji zarobkowej uważam za konieczne". I za poruszenie tego palącego problemu biję brawo.

Ale co dalej? Sprawami paszportów, emigracji, wyjazdów zarobkowych do KK obiecał się zająć Sejm. Panuje cisza. W tym kontekście mamy już przykład modelu jugosłowiańskiego który wydaje się najlepszym do adaptacji. Jugosławianie wyjeżdżają do pracy na Zachód całkowicie legalnie i dlatego nie ma u nich „emigracji z przymusu" (jak u nas). Książkę Andrzeja Rodana kupiłem w Płocku i czytałem ją non stop w autobusie do Łodzi. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie, i to nie ze względu na seks.

Z tej rozmowy dowiedziałem się, że Andrzej Rodan-Jóźwiak był dyrektorem „Estrady Łódzkiej". Ja i moi znajomi pamiętamy i Targi Estradowe i przede wszystkim imprezy kabaretowe, lub rewie w klubie na Narutowicza. Coś się działo! Teraz nuda i cisza i jak przyjedzie ktoś w odwiedziny z innego miasta, to wieczorem nie ma go gdzie zaprowadzić.

Łódź, 10.01.1988 r.

MAREK KACZOROWSKI

Zainteresowanie moje i moich znajomych wzbudził wywiad z Andrzejem Rodanem „Latamy już na różnych wysokościach". Książka Rodana „Okolice porno shopu" rzeczywiście zrobiła dużo szumu i była szlagierem. Ja osobiście nie należę do entuzjastek tego typu powieści, ale obiektywnie stwierdzam, że wśród moich znajomych książka ta ma wielu zagorzałych sympatyków. Jest to proza, która dotyka boleśnie problemu naszej emigracji zarobkowej i sądzę, że jej sukces czytelniczy nie polega na scenach porno, które zresztą są logicznie wmontowane w treść, ale na tym, że opisano z bardzo sprawną, ale z zimną nonszalancją losy tych, co wyruszyli za chlebem, bądź znaleźli się za granicą ze względów politycznych. I dlatego jest to książka powszechnie dyskutowana.

Warszawa, 13.01.1988 r.

JANINA BIERNACKA

KTO POMOŻE ROZWIĄZAĆ ZAGADKĘ?

Ta opowieść posiada wiele jeszcze nie wyjaśnionych do końca zagadek, stąd rodzi się prośba do wszystkich ludzi dobrej woli, którzy mogą dopisać dalsze losy wojennej żołnierskiej drogi, dowódcy kompanii sanitarnej, Bohatera Związku Radzieckiego, kapitan Róży Deweltow, która niosąc nam wolność, poległa na polu chwały, oddając swe młodzieńcze życie.

Urodziła się 1 lipca 1919 roku w Wilnie. Będąc jeszcze dzieckiem straciła ojca, tak że cały ciężar wychowania małej Róży i jej młodszego brata spadł na barki matki. W Wilnie ukończyła szkołę podstawową, w Kownie otrzymała maturę, a studia medyczne ukończyła w Riazaniu w przeddzień napaści hitlerowskich faszystów na radziecką ojczyznę. Tutaj też ochotniczo wstępuje w szeregi Armii Czerwonej, a po ukończeniu oficerskiej szkoły dla dowódców kompanii medyczno-sanitarnej bierze udział w wielu walkach na bitewnym szlaku wojny.

W walkach o uchwycenie przyczółku przez wojska II Frontu Białoruskiego, niosąc pomoc rannym żołnierzom śmiertelnie ranna ginie na polu chwały śmiercią bohatera.

Matka Róży po wkroczeniu hitlerowców do Wilna wraz z synem zostaje wywieziona do Oświęcimia, skąd oswobodzeni zostali w styczniu 1945 roku przez żołnierzy Armii Czerwonej. Powrócili do Wilna i tu prawdopodobnie oboje zmarli.

W meldunku szefa służby medycznej II Frontu Białoruskiego generała majora Siergieja Barabanowa istnieje m.in. zapis:

„Długotrwałe walki o zdobycie przyczółka na zachodnim brzegu Narwi pochłonęły wiele ofiar po obu walczących stronach. Nieprzyjaciel bronił się zaciekle i kontratakował pragnąc za wszelką cenę zepchnąć nasze wojska do rzeki. Wielu naszych żołnierzy poległo, wielu było rannych, którym należało udzielić pomocy i wynieść z pola walki. Podczas kolejnego dnia walki, w czasie nieprzyjacielskiego ataku artyleryjskiego, dowódca kompanii sanitarnej kapitan Róża Deweltow nie zważając na grożące jej samej niebezpieczeństwo, na własnych plecach wynosiła z pola walki rannych żołnierzy, udzielała im pierwszej pomocy, dając tym godny przykład żołnierzom dowodzonej przez siebie kompanii. Jeden z wrogich pocisków ranił ją śmiertelnie. Za ten bohaterski czyn, pośmiertnie została odznaczona Złotą Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego"

Po wojnie został w Łodzi w parku im. księcia Józefa Poniatowskiego utworzony cmentarz żołnierzy Armii Czerwonej. Stanął tu również Pomnik Wdzięczności, tu odbywają się rocznicowe uroczystości, składane są kwiaty.

Jednak pozostaje nie wyjaśniona do końca zagadka, kiedy i w jakich okolicznościach powstała na przedmieściach Łodzi na ruinach cmentarza na Brackiej mało znana i zapomniana mogiła bohaterskiej dziewczyny, żołnierza Armii Czerwonej, która niosąc nam wolność, oddała swe młodzieńcze życie na polskiej ziemi?

Dlaczego ta skromna mogiła, nie uwidoczniona w spisach pochowanych żołnierzy na ziemi łódzkiej, nie znalazła się razem na wojennym cmentarzu w parku Poniatowskiego?

Od wielu lat zbieram wszelkie informacje, prowadzę korespondencję, opiekuję się tym grobem, staram się zainteresować odpowiednie organizacje, w zakresie których statutowym obowiązkiem jest taka powinność. I ciągle mam nadzieję, że ktoś mi pomoże rozwiązać tę zagadkę.

ALEKSANDER PYTKE

TELEFON 36-77-70

W odpowiedzi na notatkę prasową z 14 listopada 1987 r. pt. „Dyżur Reporterski" dotyczącą niedoręczenia przekazu pocztowego nadanego przez Ob. Jana Podolskiego, Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji uprzejmie informuje, że zostało przeprowadzone postępowanie wyjaśniające, w wyniku którego ustalono co następuje:

— przekaz pocztowy nr 83 na sumę zł 4.000 nadany w Upt. Łódź 47 w dniu 6.10.1987 r. pod adresem Violetta Wójcik, ul. Ludwiki 5 m. 6 Warszawa nadszedł do Łodzi jako zwrotny po upływie terminu ważności i nie mógł być wypłacony nadawcy.

W związku z powyższym Urząd Pocztowy Łódź 11 zgodnie z obowiązującymi przepisami przesłał omawiany przekaz do Centralnego Ośrodka Rozliczeniowego Poczty i Telekomunikacji w Bydgoszczy w celu przedłużenia terminu ważności. Po potwierdzeniu przez COR przekaz wypłacono 23.11.1987 r. zgodnie z decyzją nadawcy zawartą w piśmie wywiadowczym.

Odpowiedź na złożoną przez Ob. Jana Podolskiego reklamację została udzielona przez Upt Łódź 47 dnia 30.11.1987 r.

Odnośnie braku blankietów wpłat na prenumeratę czasopism w Urzędzie Pocztowym Łódź 7 dyrekcja wyjaśnia, że pracownicy nie przypominają sobie takiego przypadku, jednakże mógł on mieć miejsce, ponieważ Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Oddział Łódź-Południe przydziela naszym placówkom niewielkie ilości omawianego druku.

Podając powyższe Dyrekcja przeprasza zainteresowanych Obywateli.

17.12.1987 r.

kierownik działu służby pocztowej
CZ. CIESIELSKI

OD REDAKCJI: Cieszymy się, że pieniądze wróciły do właściciela, ale wydaje się, że mogło to stać się znacznie szybciej i bez tej biurokratycznej ceremonii. Czy jest to możliwe?

INFORMUJEMY O KONKURSACH

KONKURS POETYCKI

Wojewódzka Biblioteka Publiczna — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego — Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Radomiu ogłaszają w ramach XV Radomskiej Wiosny Literackiej V otwarty konkurs poetycki „O DZBAN CZARNOLESKIEGO MIODU".

W konkursie mogą wziąć udział członkowie Korespondencyjnych Klubów Młodych Pisarzy, członkowie Kół Młodych przy oddziałach ZLP oraz twórcy nie zrzeszeni w ZLP. Organizatorzy nie ograniczają tematyki utworów.

Biorący udział w konkursie proszeni są o nadesłanie zestawu trzech wierszy dotychczas nie publikowanych (w konkursie weźmie udział tylko jeden wiersz) opatrzonych godłem — **do dnia 29 lutego 1988 roku** pod adresem: **Wojewódzka Biblioteka Publiczna, pl. Konstytucji 3 Maja 8, 26-600 Radom,** z dopiskiem na kopercie **„KONKURS JEDNEGO WIERSZA."** Do utworów napisanych w trzech egzemplarzach winna być dołączona zaklejona koperta opatrzona godłem, zawierająca wewnątrz kartkę z imieniem i nazwiskiem oraz dokładnym adresem autora nadesłanych prac. Wiersze podpisane imieniem i nazwiskiem autora będą wykluczone z konkursu.

Organizatorzy przewidują następującą wysokość nagród: I nagroda — 15.000 zł, II nagroda — 12.000 zł, III nagroda — 10.000 zł oraz 5 równorzędnych wyróżnień po 7.000 zł. Organizatorzy zastrzegają sobie możliwość innego podziału nagród przy niezmienionej ogólnej sumie.

Jury powołane przez organizatorów rozstrzygnie konkurs w marcu 1988 roku. Ogłoszenie wyników nastąpi w marcu 1988 roku w czasie XV Radomskiej Wiosny Literackiej.

LAUR „JAWOROWEGO LIŚCIA"

Jaworski Ośrodek Kultury ogłasza Konkurs Poetycki pod hasłem „Człowiek — Przyroda". W konkursie mogą wziąć udział poeci wszystkich pokoleń.

Pod adresem organizatorów: **Jaworski Ośrodek Kultury, Rynek 5, 59-400 Jawor,** należy nadesłać zestaw trzech wierszy, nie przekraczający sześciu stron maszynopisu, w trzech egzemplarzach. Wiersze nie mogą być publikowane do czasu ogłoszenia wyniku konkursu.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo druku nagrodzonych prac w pierwszej kolejności.

Najlepsze prace zostaną nagrodzone: I — 15.000 zł, II — 12.000 zł, III — 10.000 zł, oraz trzy wyróżnienia po 5.000 zł.

Prace opatrzone godłem należy nadesłać do **1 marca 1988 roku,** z zaznaczeniem: „prace konkursowe". W osobnej kopercie, z tym samym godłem prosi się o podanie imienia i nazwiska autora oraz dokładnego adresu.

Jury konkursu może dokonać zmian w sposobie nagrodzenia prac, nie zmieniając przy tym ogólnej sumy nagród.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w trakcie IX Jaworskich Biesiad Literackich im. H. Worcella, w czerwcu 1988 roku.

MIKRO HISTORICUS

Miesięcznik „Komputer" i tygodnik „Razem" zapraszają wszystkich interesujących się historią i informatyką do udziału w konkursie MIKRO HISTORICUS. Polega on na napisaniu programu o tematyce historycznej. **Należy przesłać go do „Razem" do 29 lutego 1988 r.**

Organizatorzy zapewniają, że wartościowe programy zostaną wydane, a ich autorzy otrzymają (niezależnie od nagrody) wysokie honoraria. Na autorów najlepszych prac czekają atrakcyjne nagrody: komputer klasy IBM PC/XT, Amstrad 6128, Acorn BBC-Compact, Atari 65 XE, Meritum, Elwro-Junior i inny, atrakcyjny sprzęt.

Szczegóły konkursu można znaleźć w „Komputerze" 7/86 i tygodniku „Razem" 36/87.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szkoda ci czasu - podnieś słuchawkę i wykręć numer 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

4 lutego — JERZY KWIECIŃSKI — godz. 10—16

11 lutego — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godz. 10—16

Nasze czwartkowe spotkania z Czytelnikami są szalenie owocne i upływają w szczerej atmosferze wzajemnego zrozumienia (to nie jest tekst przemówienia...). Dość powiedzieć, że telefon terkocze niemal bez przerwy a tematami można by brulion zapisać. Ale... No właśnie, jedno małe „ale". Odnoszę wrażenie, a i koledzy po piorze dyżurujący w inne dni także, że my — dziennikarze, i my — gazeta jesteśmy w mniemaniu sporej grupy rozmówców swoistym panaceum na wszelkie bolączki. Nie przysłowiową ostatnią deską ratunku, ale firmą, czy żywym człowiekiem, który załatwi coś za nas. Oto zdenerwowany mężczyzna opowiada mi o nieszczelnych oknach, kiepskiej stolarce, nie dogrzanym mieszkaniu. Opowiada dość długo, a sprawa, można rzec, klasyczna, bo któż z nas nie przeżywał choć raz takich kłopotów. Ale rozmowę kończy taki mniej więcej dialog:

— W administracji pan interweniował? — pytam dla porządku.

— Ja? W administracji? Przecież w tej sprawie do pana dzwonię!!!...

I dlatego szanownych rozmówców z czystym sumieniem mógłbym podzielić na dwie grupy: a) „drapieżnych nerwusów", którzy jeszcze widzą zło, jeszcze chcą coś zmienić, jeszcze walczą i b) „spokojnych narzekaczy", którzy zmęczeni szarymi, codziennymi kłopotami, chcą się podzielić z kimś swoimi troskami, spostrzeżeniami, radami. Rozumiem i cenię jednych i drugich; pierwsi „podpowiedzą czasem temat wspaniały, dobrze też mieć sojuszników w walce z wszechobecną bzdurą, głupotą, zawiścią (czy mam dalej wymieniać?..). A drudzy? Wszak to miło ponarzekać sobie wspólnie na nasz żywot ciężki, kłopoty dnia codziennego. Jakoś raźniej wtedy na duszy...

Tak więc narzekaliście państwo między innymi na:

— niszczejące, bo jakby niczyje korty tenisowe przy ulicy Niciarnianej (takt, w minionym roku zarosły trawą),

— bezdomne psy, wałęsające się praktycznie już we wszystkich łódzkich osiedlach (choć był i telefon „za", a pani dumnym głosem przyznała, że sama trzyma w mieszkaniu sześć czy siedem niczyich pieseczków...),

— pracę MPO (hałasujące samochody-śmieciarki, nieregularnie opróżniane pojemniki). Gołoledź i dantejskie sceny na ulicach Łodzi miały miejsce dopiero następnego dnia po moim dyżurze...

— wykup wełny w „Centralu" (ciekawostka: tylko wełny?!),

— niszczejący od lat park julianowski (przepraszam, ale wszystkie są delikatnie mówiąc — zaniedbane...),

— koszmar życia w Wielkiej Płycie (co najmniej kilka nieźlych prac doktorskich można by sprokurować i sądzę, że ktoś to kiedyś uczyni. Przecież to bardzo piękne i trwałe budownictwo),

— brak systemu współpracujących ze sobą sygnalizacji świetlnych (czyli „zielonej fali") oraz: paru bezkolizyjnych skrzyżowań, wiaduktów, metra i lotniska...

A teraz kilka indywidualnych spraw.

1. Pan **MIECZYSŁAW KENIG** zamieszkały przy ulicy Kilińskiego 82, sygnalizuje bardzo typową od pewnego czasu w naszym mieście „bolączkę": anomalia gazowe. Dom jeszcze stoi, choć mieszkańcy ponoć w ciągłym strachu, jako że płomyk gazu słaby taki, iż po paru minutach zanika całkowicie. A wiadomo, jakie mogą być skutki, jeśli ktoś w porę kurków nie zakręci. Skoro jednak taka sytuacja ma miejsce (przynajmniej w pierwszej klatce schodowej — około 30 mieszkań) od dłuższego czasu, a mój rozmówca wspomniał nawet o czterech miesiącach, i r z e c z y w i ś c i e w gazowni interweniowano, to nie wierzę by nie zjawiła się w tym domu specjalistyczna ekipa. Na wszelki wypadek przekazałem sprawę dyrektorowi technicznemu „Gazowni" zaraz po tym telefonie...

2. Pan **ZBIGNIEW PARADA,** mieszkaniec Tomaszowa Mazowieckiego zbulwersowany jest faktem, iż najpierw sprzedano mu w bufecie miejscowego dworca PKP zwykłą pasztetową jako pasztet, później interweniował w wydziale handlu, ale choć „wypadek" miał miejsce w dniu 7 grudnia roku minionego — do dziś nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Drogi panie Zbigniewie! Niezależnie od tego jak wyrafinowany miał smak ów pasztet, odpowiedź winien pan otrzymać. Tyle że sądzę, iż w najbliższym czasie różne wydziały handlu, PSS, krótko mówiąc — handlowcy będą mieli sporo innych, frapujących zadań...

3. Pani **ALICJA SZYMAŃSKA** opowiedziała mi natomiast o niespodziewanym zebraniu ścisłego kierownictwa w jej macierzystym zakładzie pracy (jednym z większych w Łodzi, a sprawa miała miejsce w minioną środę, co też ważne). W czasie tegoż zebranka podano szczegółowo co, kiedy i o ile „skoczy" w górę. W telewizorze opowiadają, że to przymiarki i trwają dopiero konsultacje, a datami nie szastają, ale ścisłe kierownictwo, po zebranku, osobiście, ogołociło do cna zakładowy bufet...

4. Pan **GRZEGORZ ANTCZAK,** emerytowany nauczyciel pragnął wyjechać z dziećmi na zimowisko. W zakładzie pracy, który takimi skierowaniami dysponuje, pan Grzegorz dowiedział się, iż oczywiście, może wyjechać, ale wyłącznie w charakterze... wychowawcy, na co musi posiadać stosowne zaświadczenie z tak zwanego wydziału oświaty. Lekko oniemiały z wrażenia mój rozmówca udał się i tam (Polesie), ale młodzian za biurkiem po prostu się z emeryta „obśmiał". Pan Antczak na zimowisko nie pojedzie, a ja się zastanawiam czy Jan Pietrzak, Boguś Smoleń i paru innych facetów od rozrywki wymyśliłoby coś takiego???...

5. Pani **„ANONIM",** choć przyznała, że zamieszkuje przy ulicy Franciszkańskiej vis a vis sklepu monopolowego, przekazała mi wręcz reporterską relację sprzed tegoż punktu sprzedaży wódy. Bogaty w szczegóły opis scen batalistycznych („...teraz dwie staruchy o kulach okładają się nimi w wejściu...") w wykonaniu damskim i męskim przeplatał się z pytaniami w moim, niestety, kierunku: — Co zrobić, żeby ludzie tak strasznie nie pili? Czyż nie ma ratunku dla pijącego na umór społeczeństwa? Czy wóda musi być jedynym towarem, którego u nas nigdy nie zabraknie...?

Szanowna pani, gdybym znał odpowiedź być może jeszcze w tym roku dostałbym nagrodę niejakiego Nobla (wszystko jedno czy z chemii, czy nauk ekonomicznych). Ale nie zna jej nawet sam Kotański. Zgadzam się z panią w jednym: jeśli o mnie chodzi „pół litra czystej" może kosztować: 2400, 3740, 8450, 11700, 14366... I tak to nic nie pomoże.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Stop dla ćwierć – prawd na temat wideo

GRZEGORZ GAZDA

Dobra i odpowiedzialna publicystyka prasowa winna rządzić się następującymi zasadami: po pierwsze — dziennikarz podejmujący jakikolwiek temat powinien doskonale wiedzieć o czym pisze i co chce w swoim tekście czytelnikowi przekazać; po drugie — musi tak rozsądzić racje, aby jego tekst był wiarygodny i w miarę obiektywny. Inaczej będzie to publicystyczne ple-ple, które co najwyżej może wywołać wzruszenie ramionami. Może też zirytować.

Właśnie irytujący wydał mi się artykuł Andrzeja Marciniaka opublikowany w „Głosie Robotniczym" z 19 stycznia 1988 roku pod jednoznacznym tytułem „Stop dla wideopiratów". Irytujący i niestety faryzejski, bo napisany z perspektywy prostaczka, dla którego magnetowid i kaseta wideo to *„magnetowidowe cacka"* — źródło kłopotów celników, PIH i funkcjonariuszy WUSW. Nie tykałbym maszyny do pisania (to też „cacko") gdybym ten tekst przeczytał w jakiejś popołudniówce, w której podekscytowana dama co i raz wypisuje o kryminogennej sferze otaczającej technikę wideo, a to że porno, a to że krwawe jatki, zgroza i obraza boska. Czym „krwawszy" tytuł, tym lepiej! Andrzejem Marciniakiem kierowała troska o porządek prawny, o spokojny sen urzędników oraz kapitalistycznych dystrybutorów filmowych z Zachodu.

Przejdźmy do faktów. *„Do niedawna na terenie województwa łódzkiego* — pisze publicysta Marciniak — *działało siedemnaście wypożyczalni kaset i — jak stwierdza pracownica Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ — wszystkie miały zezwolenia na rozpowszechnianie teledysków i filmów muzycznych. Nikt nigdy nie wydał zezwolenia, na podstawie którego w prywatnych wypożyczalniach można było zarabiać na udostępnianiu filmów fabularnych, zwłaszcza nie naszej produkcji".*

To prawda, ale z bardzo licznymi wątpliwościami. Przecież wypożyczalnie te miały placet cenzury (pisze zresztą o tym Marciniak także), płaciły podatki (chętnie dowiedziałbym się z tekstu dziennikarza w jakiej wysokości, kto je brał i czy pytał o legalność), były zarejestrowane jako instytucje prowadzące „usługi dla ludności" itd. Nie ma co udawać więc, że o tym nikt nie wiedział, bo wiedzieli wszyscy zainteresowani. Czekali na ustawę o kinematografii — pisze Marciniak. Czy była ona przygotowywana w podziemiu? W sposób tajny? Przecież nie. Tekst ustawy znany był wszystkim na długie miesiące przedtem nim weszła w życie. Zresztą — jak się zdaje i co wynika z rozmaitych wypowiedzi prasowych filmowców — jedynym jak dotąd jej efektem jest niespodziewany nalot na wideowypożyczalnie (nie licząc nowego urzędu, nowych pieczątek i nowych stanowisk w tymże urzędzie). Co się stało z resztą wypożyczalni? Czy nie do wszystkich dotarli inspektorzy PIH i WUSW? Dlaczego niektóre się ostały i prowadzą bardziej wzmożoną działalność wypożyczając te same tytuły, które wzbudzają obrzydzenie u Andrzeja Marciniaka?

Tu trzeba powiedzieć jedno: dla miliona magnetowidów i wielu milionów widzów (notabene nie tylko prywatnych, ale także dla klubów filmowych, domów kultury, świetlic i placówek artystycznych, także naukowych) muszą być kasety czy tego chce Marciniak i PIH, czy nie. Owo *„stop dla wideopiractwa"* okazuje się działaniem pozornie porządkowym i nie ma się z czego cieszyć. Technika wideo to fala, której nie da się powstrzymać byle gestem. Zamiast wypożyczalni, które tymczasem kłuły w oczy funkcjonariuszy powstanie czarny rynek, nad którym nikt nie będzie w stanie zapanować. Wideo to alternatywny środek przekazu, dzięki któremu można być niezależnym od bubli spod znaku TvP (zgoda, nie zawsze) i „Filmu Polskiego" w rodzaju Isaury i Bilitis. Gdyby Andrzej Marciniak, który specjalizuje się przecież w tematyce wideo, zechciał zapoznać się bliżej z repertuarem filmów z kasety wiedziałby, że dzięki magnetowidom polska publiczność mogła zapoznać się z najgłośniejszymi tytułami kinematografii światowej, że mogła obejrzeć „Lśnienie" Kubricka, „Uciekający pociąg" Konczałowskiego, „Wybór Zofii" Pakuli, „Pluton" Stone'a itd. itd. a nie tylko „Rambo" czy „Kobrę". Zresztą porównując repertuar kin i TvP trzeba dodać, że w sporej części wykorzystuje on filmy sprawdzone w obiegu wideo. I dobrze, że przynajmniej monopol tych instytucji zaczął się kruszyć. Jednym słowem korzyści są większe niż straty (najczęściej domniemane, bo nikt nie życzy sobie, aby mu zaglądać w prywatny telewizor, jak chciałby tego Andrzej Marciniak naigrawając się z „cacka").

„Warto zwrócić w tym miejscu uwagę — pisze dziennikarz — *na jeszcze jeden bardzo ważny aspekt całej sprawy. Nie chodzi już nawet o konieczność przestrzegania przez obywateli norm obowiązującego prawa, bo jak sądzę, jest to oczywiste (pokrętne do rozumowania, niby „oczywiste", ale „nie chodzi już nawet o to" — dopisek mój). Można się natomiast zastanawiać* — kontynuuje Marciniak — *czy ustawa o kinematografii musiała w ten sposób potraktować wypożyczalnie wideo?".*

I odpowiada, że musiała ponieważ *„nikt z wielkich przemysłu filmowego nie chciał w tej sytuacji podejmować jakichkolwiek rozmów dotyczących sprzedaży licencji. Bo czy można poważnie rozmawiać z partnerem, który toleruje u siebie piractwo? I być może z tego powodu obecna oferta państwowych wypożyczalni wygląda dziś tak mizernie".*

Całe to rozumowanie można w bajki włożyć. Inaczej trzeba byłoby zapytać, kto takie rozmowy prowadził, skąd miał pieniądze (i to bardzo duże!) i co chciał u dystrybutorów zagranicznych kupować. Odpowiedź jest przecież powszechnie znana: nikt! Nasza sytuacja finansowa (myślę o państwie) jest taka, iż tylko fantasta mógłby próbować znaleźć w budżecie dewizowym kraju pieniądze na kasety dla miliona magnetowidów. Po co tworzyć argumenty i to fałszywe? Państwowe wypożyczalnie nie mogą sobie poradzić ze zgromadzeniem polskich filmów, a co dopiero mówić o zagranicznych. Nasza *„sytuacja w czasie zawierania umów"* — o co z troską martwi się Andrzej Marciniak — będzie lepsza nie wtedy, kiedy pokażemy dystrybutorom zachodnim ustawę o kinematografii, ale gdy wyłożymy na stół paczkę zielonych. Czyli czekaj tatka latka! A magnetowidy rdza zeżre. Czy o to chodzi?

Jakie wnioski? Nie wiem. Wiem tylko, że w działaniach wokół wideo króluje krótkowzroczność, brak konsekwencji, gesty na chybił-trafił i sposoby, które określa się zazwyczaj *„nie wie prawica co czyni lewica"*, albo udaje, że nie wie. A ustawa o kinematografii miast porządkować sprawy polskiego kina adwokatuje rekinom kapitalistycznego rynku filmowego.

Czy wciąż będziemy powtarzać: komu to przeszkadzało?

Szklane jezdnie

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

W piątek, 29 stycznia, łódzkich drogowców znów zaskoczyła zima. Marznąca mżawka pokrywała ulice warstwą lodu. Piaskarki wyjechały za późno. Zdarzyło się wiele wypadków. Jeden z nich miał miejsce na ulicy Rzgowskiej, w pobliżu Szpitala — Pomnika. Obrażenia odniosło 9 osób.

Oto, co sądzi krytyk o książce Jerzego Kosińskiego „Malowany ptak".

Ptak z Ameryki

Jerzy Kosiński w Polsce! Nareszcie, po trzydziestu z górą latach. Nie, nie osobiście — przynajmniej na razie. Jednak pierwszy krok w kierunku „wzajemnej normalizacji stosunków" został uczyniony, oto bowiem jedna z naszych zasłużonych oficyn zamierza wydać napisaną na emigracji słynną powieść Jerzego Kosińskiego „Malowany ptak". Odbyły się już pierwsze rozmowy z kompetentnymi osobami (do Polski przybył niedawno ze Stanów Zjednoczonych pełnomocnik autora), podjęte zostały pierwsze decyzje, i pozostaje teraz tylko oczekiwać, aż pełną parą ruszy cała wielce skomplikowana machina wydawnicza, urządzenie niewątpliwie wspaniałe i potężne, aczkolwiek niestety dość powolne. Na ukazanie się po raz pierwszy w polskim przekładzie „Malowanego ptaka" (tytuł oryginału angielskiego „The Painted Bird"), przyjdzie nam jeszcze troszeczkę poczekać.

Warto chyba w tym czasie dowiedzieć się czegoś bliższego o Jerzym Kosińskim i historii jego pracy twórczej, warto przygotować się na przyjęcie w kraju tej szalenie kontrowersyjnej i niełatwej w odbiorze literatury. Nie jest to bynajmniej zadanie trywialne, jako że Jerzy Kosiński jest autorem mało znanym wśród polskiej publiczności. Nawet w kręgach tzw. znawców przedmiotu funkcjonuje często jako postać bardziej anegdotyczna aniżeli rzeczywista. Taka sytuacja jest wynikiem dziwacznej i bojaźliwej polityki wydawniczej, prowadzonej w latach siedemdziesiątych, polityki należącej już na szczęście do przeszłości, kiedy to mówiło się i dyskutowało szeroko o dziełach pisarzy, którzy w ogóle nie istnieli na naszym rynku księgarskim. Nie tłumaczono bowiem, bądź po prostu uparcie nie wydawano ich utworów. Teraz po Czesławie Miłoszu, Witoldzie Gombrowiczu, poetach emigracji i licznych pisarzy zagranicznych, przyszedł czas także i na Jerzego Kosińskiego. Wygląda na to, że rychło wypełniona zostanie kolejna poważna luka w rzeczywistym obrazie literatury polskiej. Okazało się nareszcie, że nie taki Jerzy Kosiński straszny, jak go malują.

Jerzy Kosiński urodził się w Polsce w 1933 roku w rodzinie żydowskiej. W roku 1957 wyjechał do Stanów Zjednoczonych i zdecydował się pozostać tam na stałe. W Polsce (w Łodzi) studiował socjologię. W USA kontynuował swą karierę akademicką w New School for Social Research oraz na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, uzyskując dyplom magistra historii i nauk politycznych. Po zakończeniu nauki pozostał nadal na uczelni jako wykładowca, prowadząc zajęcia na renomowanych uniwersytetach Princeton, Wesleyan i Yale. Był również stypendystą fundacji Forda i Guggenheima, laureatem nagrody w dziedzinie literatury przyznanej mu przez National Institute of Arts and Letters. W 1973 roku został wybrany prezesem amerykańskiego PEN-clubu.

Obok „Malowanego ptaka", swojej pierwszej powieści, napisanej w roku 1965, Jerzy Kosiński wydał również powieść „Steps" („Kroki" — książka nagrodzona w USA w 1969 roku), „Being There" („Być tam", 1971), oraz „Pinball" („Automat do gry", 1982). Jerzy Kosiński zajmował się także krytyką literacką, eseistyką, jest wreszcie autorem dwóch książek z pogranicza psychologii i socjologii, dotyczących mechanizmów zachowania zbiorowego, napisanych na początku lat sześćdziesiątych i wydanych pod pseudonimem Józef Nowak.

Jerzy Kosiński mieszka i pracuje w Nowym Jorku. Jest nadal aktywny jako pisarz, a jego książki są wciąż wznawiane w amerykańskich wydawnictwach.

Jest jednak Jerzy Kosiński autorem znanym i uznanym nie tylko w kraju Washingtona. „Malowany ptak", książka, która zdobyła mu sławę i pieniądze, zyskała sobie ogromny rozgłos również na kontynencie europejskim, otrzymała nawet poważną nagrodę Le Prix du Meilleur Livre Etranger we Francji jako najlepsza zagraniczna powieść roku 1965. Książka sprzedawała się znakomicie. Wokół Jerzego Kosińskiego zrobiło się głośno, i nikomu nie znany autor z Polski w iście amerykańskim stylu błyskawicznie znalazł się na literackim Parnasie. Choć „Malowany ptak" rozgrywa się w Polsce, na kresach, choć zachodni czytelnik zapewne nie wszystko z tej książki może zrozumieć, choć Amerykanom obce są okrucieństwa okupacji (akcja powieści toczy się w czasie ostatniej wojny), choć nie znają kultury, zwyczajów i folkloru galicyjskich czy białoruskich wsi, książka odniosła znaczący sukces zarówno wśród czytelników, jak i krytyki.

Istnieją dwa dość oczywiste powody, dla których „Malowany ptak" zyskał sobie tak znaczny rozgłos. Po pierwsze — Jerzy Kosiński zdecydował się pisać po angielsku. Po drugie — zna swój fach, znakomicie rozpoznał rynek, wygrał zawartą w książce fascynującą Amerykanów egzotyką „dalekiego dzikiego kraju", skonstruował chwytliwą fabułę, szpikując ją gęsto szokującymi obyczajowo scenami, wywołującymi wrażenie i rumieńce pod każdą szerokością geograficzną. Jerzy Kosiński nam niestraszny, lecz „Malowany ptak" to doprawdy pozycja dla „ludzi o mocnych nerwach".

Wojna oglądana oczami bohatera, kilkuletniego chłopczyka, nie wiedzieć, Żyda czy Cygana, nieustannie prześladowanego, torturowanego, deprawowanego, ukazana została przez autora z wyjątkowo brutalnym i zimnokrwistym naturalizmem przewyższającym chwilami nawet okrutną dosłowność Tadeusza Borowskiego. Makabryczna, wstrząsająca do głębi opowieść o zwierzęciu zwanym człowiekiem, bez żadnego istotnego powodu mordującym istoty własnego gatunku, pastwiącym się wymyślnie nad bezbronnymi ofiarami, studium tyranii, terroru, totalitarnej umysłowości, fanatyzmu, ciemnoty i zaślepienia, odyseja niewinnego Telemacha w świecie zła i przemocy — oto czym jest „Malowany ptak".

Powieść ta, wyrastająca z nurtu prozy realistycznej, jest jednak czymś więcej: dzięki pięknemu stylowi, precyzyjnemu, oszczędnemu i unikającemu wszelkich upiększeń, dzięki wyrazistej symbolice, poetyckiemu obrazowaniu, będącemu równocześnie nośnikiem olbrzymich treści intelektualnych. Sięga „Malowany ptak" do najciemniejszych pokładów ludzkiej psychiki, do dna upadku moralnego, staje się niezwykłym, filozoficzno-antropologicznym esejem o człowieku potwornym, obdartym ze swego pysznego człowieczeństwa, obnażonym do kości. Jeśli nawet Jerzy Kosiński napisał powieść komercyjną, jak twierdzą niektórzy krytycy, to zrobił to znakomicie, bezlitośnie wykorzystując wszystkie możliwości, jakie stwarza homogenizacja kultury.

Czy rzeczywiście dzieło wybitne nie może być prawdziwym bestsellerem? Czy wciąż musimy sobie nawzajem tłumaczyć, że np. de Sade to nie tylko paskudny świntuch, ale i ważny myśliciel i pisarz? By zrozumieć „Malowanego ptaka" nie wystarczy wiedzieć, co oznacza słowo „zoofilia", do odbioru tej literatury należy bowiem przygotować w równym stopniu wyobraźnię, jak i umysł, intuicję, jak i wiedzę. Jerzy Kosiński stosuje ostrą terapię wstrząsową, bolesną, lecz skuteczną, pragnie zbudzić się z koszmarnego snu, gwałtownie zderzyć się z rzeczywistością, by nie oszaleć, nie postradać zmysłów i godności ludzkiej, kruchej, delikatnej i śmiesznej w zestawieniu z groteskową, absurdalnie obłędną nienawiścią człowieka do człowieka, której uleczyć nie jest w stanie ani religia, ani polityka, ani filozofia. Piekło to nie inni, mówi Jerzy Kosiński, piekło to my. O tym, że posługuje się ciężkimi argumentami na poparcie swej tezy, będziemy mogli się już niedługo przekonać, choć jak to często bywa, znów jesteśmy cokolwiek spóźnieni. Warto w tym miejscu dodać, iż „Malowany ptak" od wielu lat znajduje się na liście obowiązkowych lektur w szkołach i na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

1

Pod prąd

Kompleks Polaka

JÓZEF RETMAN

Od kilkudziesięciu lat, a może jeszcze dłużej cierpimy — jako naród — na swoisty kompleks niższości. Szczególna to przypadłość, niejednoznaczna w ocenach, ale niewątpliwie groźna — tym bardziej, że wciąż pogłębiająca się. Przejawia się ona między innymi w tym, że wszystko, co nasze, polskie skłonni jesteśmy uważać za gorsze niż obce, a zwłaszcza zachodnie. Wystarczy porozmawiać ze stałymi klientami „Pewexu", osobami posiadającymi rodzinę za granicą... Ale nie tylko, gdyż nawet ci, którzy nie mieli nigdy w kieszeni złamanego centa, a najdalej wyjeżdżali do sąsiedniej wsi, czy aż do Warszawy, też tak samo uważają i nie mieści im się w głowie, aby mogło być inaczej.

W zdecydowanej większości przypadków są to przy tym, niestety, oceny słuszne i w pełni uzasadnione. Jeśli bowiem nie potrafimy dotąd wyprodukować w kraju prawdziwej pasty do zębów, przyjemnej w dotyku gąbki czy papieru toaletowego, który zdecydowanie różniłby się od ściernego, a w dodatku znajdował się w ciągłej sprzedaży — by ograniczyć się do tych jedynie przykładów z zakresu podstawowych środków higieny osobistej — to trudno przecież spodziewać się, że Polak będzie ze swego zadowolony.

W prawie każdej zresztą dziedzinie nasze wyroby nie wytrzymują konkurencji z zagranicznymi, i to już nie tylko zachodnimi, tak niskiej są jakości. Kiedyś, właściwie niedawno, parę lat temu mogliśmy jeszcze cieszyć się z czekolady Wedla, sztućców Gerlacha czy konserwowej szynki „Krakus" w puszkach. Dziś i po tym pozostały już tylko wspomnienia — Wedel robi głównie czekoladopodobny ersatz, sztućce masowo przywozi się z Tajlandii, a szynki w puszce, gdy raz na rok, albo jeszcze rzadziej uda się je kupić za złotówki, są zepsute i śmierdzą już w dzień zakupu. Taką przynajmniej szynkę nabyła niedawno moja żona.

(Być może to, co eksportujemy, jest trochę lepsze, nie wiem, ale co z tego, jeśli wyroby te nie poprawiają naszego społecznego samopoczucia, jako że nie dla nas są przeznaczone!)

Z drugiej wszakże strony obserwuję, że najgorszy ciuch z „Pewexu", byle podkoszulka z Turcji albo bluzeczka z Bangkoku cieszy się w narodzie większym uznaniem i ceną niż polska, częstokroć wcale nie gorsza, jedynie dlatego, że ma krajową metkę. Tak samo dżinsy. Ilu cwaniaków zbiło już majątek na przyczepianiu do szytych w Polsce spodni obcojęzycznych metek? Na bazarach aż się roi od takich spodni czy kurtek i są, co tu dużo mówić, chętnie kupowane.

Równie powszechnie wyżej od naszej stawiamy służbę zdrowia w innych krajach, usługi, organizację pracy, muzykę, kulturę osobistą... Niemal wszystko. I znów nie bez powodu, choć zdarza się przecież, że bijąc pokłony cudzoziemszczyźnie, czynimy to na kredyt i dajemy pierwszeństwo obcej tandecie przed tym, co nasze i wartościowe. Dotyczy to niektórych filmów, książek, zespołów muzycznych. Na przykład ukochany przez polską młodzież duet „Modern Talking" z RFN, słusznie skądinąd bojkotowany przez III program Polskiego Radia. Czy chociażby wielu wybitnych specjalistów z różnych dziedzin, których zaczynamy doceniać dopiero po zrobieniu kariery nad Sekwaną, Renem, Potomakiem.

Pomijając nieliczne już wyjątki, generalnie myślimy więc tak: wszystko, co polskie gorsze jest od zagranicznego i dlatego przede wszystkim należy dążyć do zdobycia zagranicznych rzeczy, przenieść do nas zagraniczne zwyczaje, może nawet — porozumiewać się między sobą jakimś zagranicznym językiem, bo polski jest z pewnością do niczego. (Były już takie czasy, kiedy francuszczyzna uważana była za lepszą od polszczyzny dla prawdziwego, wykształconego Polaka! Przykład mój nie jest więc wcale tylko do śmiechu, jak by się niektórym wydawało).

Oczywiście nie wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego smutnego zjawiska. Nie wszyscy odbieramy je jako kompleks, a już na pewno tylko nieliczni potrafią skojarzyć to z naszym obecnym kryzysem. Nie chodzi mi przy tym o stwierdzenie, że ponieważ żyjemy w kryzysie, wszystkiego mamy mniej i gorszej jakości. Jest to bowiem banał, prawda, którą zna każde polskie dziecko oglądające telewizję, w której jego koledzy z zagranicy wsuwają na filmach (i w rzeczywistości!) na co dzień banany, czekolady z orzechami i popijają to sokiem pomarańczowym.

Ja mam na myśli zależność odwrotną: to ten nasz kompleks niższości poważnie utrudnia wyjście z kryzysu. Obezwładnia, odbiera wiarę we własne siły i zdolności, bywa że w ogóle — w sens jakiegokolwiek działania. Idę o zakład, że niewielu z nas to dostrzega i stara się wyciągnąć z tego jakieś praktyczne wnioski.

Mnie nasuwa się jeden zasadniczy. Jaki — zdradzę za tydzień.

2

Lewym okiem

Coraz szybciej zwalniamy

Wszyscy dokoła mówią i piszą o konieczności przyśpieszenia tempa rozwoju kraju. Z przerażeniem widzę, że przyśpieszamy tylko na jednym odcinku. Przyśpieszamy tempo zwalniania tempa rozwoju na każdym kroku.

Urządzanie nowych lokali sklepowych trwa coraz dłużej, ciągnie się już całymi latami. Pewien lokal rozrywkowy planowany u nas w Łodzi przy ul. Zamenhofa pozawierał już nawet kontrakty na występy artystów. Cóż, kiedy lokal zaglądający do tego przyszłego lokalu przez zamalowaną na biało szybę, dostrzega tam wewnątrz to samo, co parę miesięcy temu. Do ukończenia lokalu i oddania go do użytku wydaje się być jeszcze bardzo daleko. Oczywiście szyby skrzętnie zamalowano, podejrzewam, że i ta biała farba pochodzi również z importu, ale jakoś na nią środków wystarcza, byleby nikt zbyt ciekawym okiem nie ocenił tempa przyśpieszenia rozwoju budowlanego.

Tak samo dzieje się z remontami, których czas wydłuża się do rozmiarów nieprawdopodobnych. Rok temu pisałem o księgarni na rogu ul. Narutowicza i Armii Ludowej, która z nieuchronnie białymi szybami straszy pustym wnętrzem od czterech lat. Pisałem, nikt się nie odezwał i spokój. Takich martwych, nie narodzonych albo oddanych do remontu lokali, czekających na życie, na ruch, na obroty, jest w naszym mieście wiele, mógłbym je wymienić, ale wiem, że nadal nikt by się w tej sprawie nie odezwał.

Czytamy ostatnio, że na Radogoszczu, gdzie wybudowano duże osiedle mieszkaniowe, brak sklepów i ludzie muszą czynić zakupy w odległych ośrodkach handlowych. „Społem" postanowiło więc część pomieszczeń mieszkalnych na parterach pozamieniać na sklepy. Mój Boże, tam straszą puste, piękne lokale sklepowe, tu, mieszkania przeznacza się na sklepy. Podobno brak funduszów na budowę pawilonów handlowych. Myślę, że znaczna część tych funduszów tonie w dziesiątkach kiermaszy, jarmarków, giełd, festiwali i bazarów. Każda taka impreza wymaga zbudowania kiosków, przeciągnięcia światła, jakiegoś minimalnego uporządkowania terenu. To wszystko kosztuje. Potem normalna sieć handlowa wstrzymuje sprzedaż towarów w sklepach, żeby mieć, co, jak się to mówi, rzucić na kiermasz. Z elegancko urządzonych pomieszczeń sklepowych przerzuca się towary, nieraz bardzo wartościowe, do prymitywnych kiermaszowych budek, przenosi się tam sprzedawców, właściwe sklepy zostają zamknięte, zabawa trwa. Klienci przyjdą na bazar, bo muszą. Będą kupować buty stojąc na jednej nodze, odzież bez przymierzania, a wszystko w tłoku, ścisku, a często i w deszczu. Myślę, że fundusze roztrwonione na bazary i jarmarki zezwoliłyby na zbudowanie przynajmniej skromnych pawilonów na Radogoszczu i wszędzie tam, gdzie ich potrzeba.

W małych miejscowościach, na wielu przystankach PKS, w całym kraju stoją sobie takie właśnie skromne kioski, całymi latami handlują wszelkim dobrem, stanowią ogromną wygodę dla okolicznej ludności. Może to byłby sposób także na nowe dzielnice w wielkich miastach. Czy to nie lepsze niż zajmowanie mieszkań?

Wszystko coraz bardziej ślimaczy się i rozłazi. Wpłacenie byle kwoty na poczet pochłania coraz więcej czasu na stanie w kolejce, bo połowa okienek nieczynna, a w tych czynnych siedzące tam urzędniczki, co rusz to właśnie zaczynają bez uprzedzenia przerwę — śniadaniową, obiadową lub jeszcze jakąś inną. Przez wiele dziesiątków lat nie musiały mieć przerwy, a teraz muszą — w ramach zdobyczy socjalnych. W ramach tychże zdobyczy klient czeka na obsługę o pół godziny dłużej.

Na niektóre badania, wizyty i zabiegi lekarskie zapisywać się trzeba na całe tygodnie naprzód, chociaż z góry wiadomo, że za kilka tygodni mogą już być one niepotrzebne.

Telefonicznie nic załatwić nie można, nawet najprostszej informacji. Prasa i radio wiedzą o tym wszystkim, alarmują, podskubują, prowokują — nic się nie rusza. Najwyżej odezwie się ktoś, że „właśnie planujemy zwołanie narady na ten temat". I tak po czterdziestu latach konferowania doszliśmy do sprecyzowania wniosku, że płacić należy za pracę, a towary powinny być jakościowo dobre. Myślę, że następnym fundamentalnym wnioskiem, płynącym z bardzo poważnej narady będzie, że należy chodzić nogami w dół, a głową do góry.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Spojrzenie znad szachownicy

Nienacki w pułapce

1.

Odnoszę wrażenie, że Zbigniew Nienacki — znany zaszczytnie z łamów „Odgłosów" i nie tylko — samochcąc wpakował się w pułapkę, i kto wie, czy w ogóle z niej się wykaraska. Rzecz w tym, że w powieści „Dagome iudex", którą czytam zresztą z ogromnym zainteresowaniem, pojawiają się elementy, rzekłbym, magiczne, a skoro tak, to ludzie redaktora Hollanka gotowi Nienackiego dopaść i siłą zawlec do „Fantastyki", jeżeli nie z dużej, to przynajmniej tej z małej litery.

Fantaści są zaborczy, pisałem kiedyś o tym. Szukają na gwałt genealogii, korzeni swojego bisarstwa, także parantel i koligacji. Jeżeli im wyjdzie, że „Dagome iudex" przynależy do podgatunku zwanego przez Amerykanów heroic fantasy, święty Boże nie pomoże — Nienacki zostanie zaanektowany, sklasyfikowany, wprowadzony do wszystkich możliwych bibliografii s-f, a w perspektywie zaawansowany na klasyka, obojętne, będzie mu się to podobało, czy nie bardzo.

2.

Tu pozwolę sobie na dygresję, nader zresztą pouczającą. W latach ponad wszelką wątpliwość stalinowskich jako niewinne pacholę uczestniczyłem w poznańskim Zjeździe Młodych Polonistów, gdzie Stefan Kisielewski — tak, ten sam, nie żaden inny — wystąpił z tezą cokolwiek przewrotną.

Powiadał mianowicie, że choć realizm socjalistyczny jest oczywiście prześliczną metodą twórczą, to realizm katolicki także. Jeżeli bowiem — wywodził — zarówno autor, jak i powołany przez niego do życia bohater silnie wierzą w możliwość ingerencji siły wyższej, czyli w cuda, to cud, tchnienie łaski, stają się dla nich sprawą równie realną, jak to, że żarówka świeci, choć nikt nie widzi prądu latającego po drucie.

Oczywiście upraszczam, odwołując się zresztą jedynie do wątłej pamięci, przewód był znacznie bardziej wyrafinowany i logicznie spójny, czego nie mogły podważyć gniewne repliki młodych marksistów, którzy bardzo na Kisielewskiego krzyczeli, a czasami nawet bili pięścią w mównicę.

3.

Przypominam tę historyjkę, bo chwyt Kisielewskiego bardzo się nam przyda przy klasyfikacji gatunkowej „Dagome iudex". Kluczem będą tu dwa słowa-wytrychy: miecz i magia.

Z mieczem sprawa jest względnie prosta. Piastun wielokrotnie powiada, że zabił smoka, smoki zaś — jak wiadomo — nie istnieją. Albo więc Nienacki wywołał smoka z niebytu, iżby bohater mógł się wykazać, wówczas jednak interesująca nas powieść dość wyraźnie przechyla się w stronę fantastyki. Albo też Piastun jedynie się przechwala, powiedzmy dla dodania sobie prestiżu, co sprawę zmienia, znaliśmy bowiem ludzi ponad wszelką wątpliwość istniejących realnie, którzy też się przechwalali, że zbudują drugą Polskę, drugą Japonię i co tam jeszcze.

Jeśli chodzi o magię posłużymy się cytatem.

— *„Przestrzegano mnie* — mówi Piastun do dziewczyny imieniem Arne, patrz „Odgłosy", numer noworoczny — *że miłość może opanować człowieka tak samo mocno jak szaleństwo. Sądzę, że znasz sztukę miłosnych czarów. Uczyła mnie jednak olbrzymka Zely jak się przed takimi czarami chronić.*

To powiedziawszy odwróciła ją tyłem i wszedł w jej zad w najbardziej obrzydliwy sposób gardząc jej kobiecym stromem. Stęknęła z bólu, lecz on nie zwrócił na to uwagi, głaszcząc jej plecy o ciele tak delikatnym jak najszlachetniejsza materia z kraju Serów. A zaspokoiwszy żądzę odszedł tak samo cicho, jak wszedł. Ona zaś, naga i dyszące od chłodu, usiadła i położyła dłoń na miejscu, gdzie mocno biło jej serce. Nikt jej tak nigdy nie wziął, nie obraził jej kobiecej dumy, a przecież nie umiała przed sobą skłamać, że sprawiło jej to nadzwyczajną przyjemność".

Nie będziemy rozbierać tego ustępu pod względem etycznym, estetycznym i lingwistycznym, samozwańczych stróżów moralności i tak mamy bowiem nad Wisłą w nadmiarze. Interesujący nas problem jawi się natomiast tak.

Jeśli Arne istotnie zna sztukę miłosnych czarów, zaś Piastun użył magii przeciwko magii — „Dagome iudex" przynależy do fantastyki z wszelkimi tego konsekwencjami.

Jeżeli jednak Arne, Piastun, olbrzymka Zely, ewentualnie sam Zbyszek Nienacki są jedynie odrobinę przesądni, powieści do heroic fantasy nijak zaliczać nie wolno, bo przesądny może być każdy i to nawet w XX wieku.

Tak wskazawszy furtkę, przez którą nasz brat i kolega może wymknąć się z pułapki, polecam się na przyszłość.

JERZY P.

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia 9

LEONARD

Przeskoczył na inny temat.

— Dawno nie słyszałem o naszych podopiecznych. Jak im się wiedzie?

— Na przykład? — spytał osowiale kierownik Działu Personalnego, Ron Humber. Ron zawsze tak. Piekielny aptekarz z niego w rozmowie, ale taki już jest.

— No... zacznij od kumpli Andy'ego.

Andy i jego kumple. Ta paczka stawała się problemem.

— Z Dustinem coraz gorzej. Dla zdobycia trawki gotów już na wszystko, przyglądałem mu się zza węgła, nie sprawia dobrego wrażenia. Jim Stark trzyma się wciąż szwedzkich spódniczek, ale ostatnio staje się coraz aktywniejszy w ruchu pokoju: Langley cholernie tego nie lubi. Alex Zagora nie stroni od publicznego gardłowania przeciwko firmie, zaś Cullinan jest coraz bardziej zdecydowany zrobić coś ze sobą; o niego obawiam się najbardziej. Pozostali siedzą w swoich kątach i wyczekują zbawienia, im dłużej ono nie nadchodzi, tym gorzej z ich nerwami.

David Attentown westchnął. Amnestia, ale nie tylko: publiczne, w pełni reflektorów przywrócenie praw obywatelskich i honorowych wszystkim bez wyjątku dezerterom z Indochin i z innych teatrów operacyjnych armii i organizacji wywiadowczych Stanów. Na razie nie zanosi się na to. Prezydent Carter dużo energii poświęca swemu konikowi przedwyborczemu: cywilnym prawom człowieka. Cenna inicjatywa, humanitarna, wpierw jednak winien zrobić porządki we własnym domu. Propagandowe efekciarstwo. Grzech pierworodny polityków, niepewnie jeszcze trzymających się w siodle. Opinia publiczna przyjmuje te gesty bez pokrycia, w dobrej wierze, tak samo Kongres. Bo jakie to widowiskowe: „Prezydent Stanów Zjednoczonych żąda przywrócenia praw cywilnych ludności w republikach bananowych, w Kambodży, w Ugandzie!". „Prezydent napisał osobisty list z posłaniem pokojowym do papieża". Prezydent to, prezydent tamto — wszystko na drugim krańcu świata, podczas gdy w kraju kolorowi upominają się o swoje prawa za pomocą karabinów i podpalania.

— A co z Andym? — zapytał Attentown.

— Od ostatniego telefonu ze Sztokholmu — cisza.

— To go tam już nie ma? Nic o tym nie wiem.

— A tak. Ty akurat wyjechałeś, kiedy telefonował na numer sekretariatu. Po godzinach, Nancy była już w domu, jego telefon mam z taśmy. Nakręciłem więc jego hotel, ale powiedziano mi, że już się wymeldował. Rozmawiałem z Jimem, on też nic o nim nie wie. Spędzili wieczór w kabarecie, stamtąd Andy urwał się z pewną siuśką i ślad po nim zaginął.

— To ciekawe. — Attentown zamyślił się. — Raczej niepodobne do niego, to przecież bardzo zrównoważony chłopak. Może telefonował również do mnie, jeszcze nie przesłuchałem taśmy. Sprawdziłeś dzisiejszą pocztę?

Humber potrząsnął głową.

Zapadło milczenie. Andy telefonował, myślał Attentown, czegoś na pewno chciał. Czegoś chyba niezbyt ważnego, gdyż inaczej zostawiłby sekretarce informację. Ale od tygodnia milczy, a to już coś znaczy.

— Odnalazłeś tę siuśkę?

— Ona też nic nie wie. Zostawiła go w łóżku. Kiedy wróciła z pracy, zastała kartkę z podziękowaniami...

Attentown nie dopuszczał do myśli najgorszego Perswazja, zawoalowana groźba, tam gdzie można, nie żałuje się słowa, fizyczna eliminacja traktowana jest jako konieczność w przypadkach nie rokujących nadziei. A z Andym daleko nie to. Gdyby miało się likwidować każdego przeciwnika praktyk firmy, każdego disillusioned — rozczarowanego, któremu zachciało się sypać... Absurd!

— ...Niedługo potem zjawił się u tej siuśki posłaniec z ogrodem kwiatów i prezentem. Andy miał zawsze gest. Firmy tego posłańca — Humber uprzedził pytanie szefa — nie udało się zidentyfikować: podziękowanie na czystej kartce papieru, w czystej kopercie. Moim zdaniem nie ma powodu do niepokoju. Na wszelki wypadek zatelefonowałem do agencji detektywistycznej Zetterstamma w Sztokholmie. Najpóźniej do jutra — zobowiązałem ich — chcę znać jego miejsce pobytu.

— Dobra myśl — pochwalił go szef. — Może potrzebuje pomocy?

Powrócił do Dustina Longstone a.

Podczas jego nieobecności Ron Humber wyskoczył w pewnej sprawie do Brukseli, stamtąd, mając wolne popołudnie, pociągiem do Rotterdamu, miejsca pobytu Dustina, Alexa Zagory i Teda Cullinana. Duże miasta portowe są zawsze pokusą dla życiowych wykolejeńców, jeśli zaś chodzi o narkomanów, Holandia stała się dla nich światowym szyldem: możliwość nabycia narkotyku na ulicy, u fryzjera, u babki klozetowej, leczonym podawany jest bezpłatnie methadon — preparat zastępczy; taki raj musiał się stać Mekką narkomanów.

Jakieś pół godziny Humber spędził na kanałach. Stare wiatraki i kanały, nie wiadomo, co w Holandii ciekawsze. Dla jednych to, dla drugich tamto. Humber, mając wolny czas, wolał spędzić go na obserwacji dziewczyn oblepiających balustrady mostów — przeważnie Niemek z Republiki Federalnej, gdzie narkomani traktowani są z całą surowością prawa — często nieletnich jeszcze, puszczających się za równowartość szprycy i półgodzinnej stawki za wynajem klitki hotelowej, zdecydowanych na absolutnie wszystko za wyzwolenie od gorączki, dreszczy z torsjami, potwornego bólu kończyn. Dzieci-kwiaty. Szpryca i rynsztok. Nie chodziło o przygodę: Londyn pęka w szwach od tego towaru, chcąc się zabawić, nie potrzeba fatygować się na ulicę czy do lokalu. Call girls. W gazetach całe kolumny ogłoszeń „pań do towarzystwa gotowych spełnić każde twoje życzenie u Ciebie w domu czy w hotelu", wystarczy podnieść słuchawkę telefonu. Rotterdam ze swymi intymnymi kafejkami stanowi przeciwieństwo bezdusznego Londynu, pod względem rozrywki jest skrzyżowaniem Paryża z Singapurem, oprawionym w holenderskie kafelki. Może się podobać.

Na Sumatrweg, bocznej portowej uliczce, można było spotkać Dustina. Udał się tam. Kafejka wyglądała jak śmietnik po zbankrutowanej drukarence plakatów ruchu pokoju. „Wstęp nie zobowiązuje do kupna!" — zachęcał napis nad wejściem. W ciemnawym kącie konspirowało czterech brodatych obdartusów w dżinsach i tyleż rozczochranych dziewczyn. Spośród zgarbionych nad kuflami piwa pleców wystawała znana mu bociania szyja z krzakiem zmierzwionych włosów. Nikt nie ruszył głową. Humber mógł bez przeszkód zlustrować tę bazę zatrutych komunistyczną propagandą bojowników o nowy ład świata. Karykatury Wuja Sama, slogany precz z tym, precz z tamtym; między jednym gołąbkiem pokoju a drugim nagi tyłek — normalka. Dłużej zatrzymał się przy rysunku flagi Stanów Zjednoczonych zwisającej smętnie ze złamanego penisa jako proporca. Dobra robota, Humber chętnie by to kupił i zawiesił nad swoim biurkiem. Ale poza tym — martwota. Oczekiwanie na bocznym torze na pociąg, który nigdy nie nadjedzie. Na zewnątrz słoneczne wrześniowe popołudnie, tu późny listopad. Dżdżysty. Musiał kaszlnąć, aby doprosić się kelnerki; dla zajętych sobą bywalców lokalu pozostawał nadal powietrzem.

Ospałość. To jeszcze nie krawędź przepaści, ale już równia pochyła. Humber miał swój pogląd na takich. Roboty im potrzeba. Popędzenia kota, a jak nie, to pies z nimi tańcował, niech zdychają! Ale to był jego prywatny punkt widzenia, nie Davida, a on nie znosił sprzeciwów.

Rozmowa nie kleiła się. Nie mogła się kleić. W polu taki jeden z drugim robił w spodnie, tutaj się wymądrza. Optymistycznym akcentem były ich dzidzie. Holenderka, dwie Niemki po nie więcej jak szesnaście lat i Szwajcarka, którą taki Roman Polański wykreowałby na nową Tate Sharon — klasa, warta była kolacji. Naturalnie przed użyciem trzeba by ją przepuścić przez pralkę, a jeszcze przedtem zbadać od środeczka.

Dziewczyny przyglądały się z niesmakiem jego wymuskanemu garniturowi. Brodacze ani drgnęli. O Dustinie lepiej nie mówić. Rotterdam — największy port świata. Ujściem Renu spływa morze towarów. Najgęściej zaludnione, najpracowitsze, najbardziej uprzemysłowiona część Europy zależy od tego portu. Cała chemia wisi na dokach przeładunkowych, na największych w świecie składowiskach ropy, na zakładach petrochemicznych, ciągnących się nieprzerwanym pasem wzdłuż brzegów rzeki. Europoort się to nazywa i takie, na miarę całej Europy, jest.

A na zapleczu tego serca przepustowego kontynentu, w kafejkach i knajpkach portowych, korniki. Piąta kolumna. Pokolenie pracowitych Niderlanderów wyrwały tę ziemię morzu, gangrena, którą David swoimi ciężko zarobionymi pieniędzmi wspiera, ją podgryza. Bo taka jest jego, Davidowa, wola.

Słuchając sennego dukania Dustina, Humber myślał:

Dostać się na teren portu z jakimkolwiek bagażem to żadna sztuka; przejścia nie są kontrolowane.

I konsultował możliwe warianty dywersji.

Założenie numer 1: Z małą bombką z opóźnionym zapłonem nie odróżniający białego od czarnego Dustin wchodzi nocą na pokład tankowca-mamuta, który ma w beczkach pół miliona ton łatwopalnej ropy naftowej czy benzyny lotniczej, nie niepokojony przez nikogo — załoga po długim rejsie prostuje kości w burdelach Katendrechtu — przymocowuje rzecz do ładowni i znika. Pół godziny później port i miasto duszą się w płomieniach, Europa jest zakorkowana na parę miesięcy.

Założenie numer 2: Rakietnicę przeciwpancerną można nabyć u każdego pokątnego handlarza bronią. Z magazynów wojskowych NATO giną bomby atomowe, przepadają armaty na gąsienicach, wywieźć z nich ciężarówkę prostych rur to szprotka. Humber widział fajerwerk, jaki by powstał po odpaleniu dziesięciu rakiet w czułe miejsca dziesięciu rafinerii ropy... A każdego z tych zgangrenowanych kornikow na to stać.

Założenie numer...

Dosyć założeń!

Zachodni świat jest konstrukcją trapezopodobną. Szczytem i zarazem siłą główną jest Ameryka Północna, która opiera się na dwóch bokach równoległych. Jednym jest Europa Zachodnia, drugim Japonia wraz z przemysłowymi państwami Oceanii. Obszar zawarty w polu tej konstrukcji jest siłą wrogą wolnemu światu. Gigantyczna klamra rozkraczona nad połową globu. Od Łaby i Adriatyku w Europie po Władywostok, Szanghaj, Azję Południowo-Wschodnią.

Indochiny wstrząsnęły tą konstrukcją. Jej stan obecny przypomina boksera w ringu po zainkasowaniu silnego ciosu na szczękę. Nie nokautującego, ale i nieobojętnego dla dalszego przebiegu walki. W ciągu najbliższych rund należy chronić ją przed nowymi ciosami.

Można nie zgadzać się z polityką swego kraju. Można mieć anse do tego czy owego, prezydenta kraju wraz z jego administracją można mieć ostentacyjnie w dupie — to Humber rozumiał, robić to, co robi Dustin i jego kumple, jest jawnym przejściem do wrogiego obozu. To zdrada!

ROZDZIAŁ 6

Lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku. O facetach z Langley poprzebieranych tam w mundury funkcjonariuszy urzędu imigracyjnego i celnego nie zapomniałem. Karty zostały rozdane.

Kalastajatorppa jest dla mnie przegrana. Jeszcze dziś, najpóźniej jutro, do książki meldunkowej wpisze się jakiś — niekoniecznie obywatel Stanów Zjednoczonych — turysta, jakiś student skandynawistyki, jakaś girlaska znudzona domem albo atrakcyjna rozwódka szukająca wytchnienia po korowodach sądowych — wcielenia ich agentów są niezliczone.

„Orwelliada" ma już swoich czytelników. Domyślam się, w jaki sposób znalazła się w ich rękach.

Jej wymuszona podróż — po tamtej stronie Atlantyku — zaczęła się w Głównej Komorze Tranzytowej międzynarodowego portu lotniczego im. J.F. Kennedy'ego w Nowym Jorku, dokąd mój bagaż — poprzedzony teleksem wysłanym z lotniska Arlanda w Sztokholmie — dotarł.

Sposób:

Mężczyzna w niebieskiej bluzie obsługi tranzytowej lotniska wystukuje na cyferblacie słuchawkowego aparatu telefonicznego numery: kierunkowy Waszyngtonu, następnie docelowy mieszczący się w jednym z gmachów Centralnej Agencji Wywiadowczej. W kantorze jest sam.

— Tu Joe Slim — przedstawia się fikcyjnym nazwiskiem, pod jakim jest zarejestrowany w Agencji. — Dzwonię z Nowego Jorku. Proszę o połączenie z panem Błękitnym z Departamentu Personalnego. Pana Blue proszę, wewnętrzny dziesięć siedemnaście. Bardzo pilne.

— Błękitny, słucham.

— Mówi Joe Slim, jeden zero trzy Barbara, Kennedy Airport, Transit Depot, New York. Dotarł do nas bagaż osobisty faceta, którego nazwisko figuruje na waszej liście strona siedemnasta pozycja dwadzieścia jeden dwadzieścia pięć, niejakiego Andrew K. Skali. Przezgłoskowuję nazwisko: S-K-A-L-A — torba podróżna i neseser — nadane zostały w Sztokholmie, ale omyłkowo załadowano na samolot Pan American Jet Clipper lecący do Nowego Jorku. Linia Scandinavian Air System, która sprawę sknociła, prosi o odesłanie przesyłki najbliższym połączeniem do Sztokholmu lub do miejsca jej przeznaczenia — Helsinek. Co zrobić?

Współpracownik Błękitnego, siedzący za szklaną ścianą, włącza do podsłuchu rozmowy sekcję ewidencji osób inwigilowanych.

— Andrew K. Skala, siedemnaście łamane dwadzieścia jeden dwadzieścia pięć — rzuca w mikrofon monitora zespolonego z komputerem osobowym departamentu. Zanim z drugiej strony linii telefonicznej padnie pytanie o instrukcję, na ekranach monitorów jego oraz Błękitnego pojawia się świetlny zapis:

„pd(idp-a)2125;

1. andrew casimir skala, ur. 3.7.1947, sleeping valley, cal., wzrost 6 stóp, szatyn, oczy niebieskie, znaków szczególnych brak, absolwent wydziału prawa san francisco state college;
— syn casimira, ur. toruń, polska (podczas wojny as lotnictwa myśliwskiego raf) i catherine, ur. zurich, szwajcaria;
— stały pracownik agencji w indochinach, tajlandii, chile, singapurze;
— dezerter, od maja 1975 przebywa w europie, udziela się w demonstracjach antyamerykańskich, ostatnie miejsce pobytu: hotel tre kronor, sztokholm.

postawa polityczna:

2. krytyczny stosunek do metod pracy cia w azji południowo-wschodniej i chile (patrz: r. 31196.231.085);
— wrogość do polityki obronnej kraju prowadzonej za granicą (patrz r. 31196.213.111);
— zwolennik odprężenia między usa i zsrr (patrz: r. 31196.213.315);
— sympatyk inspirowanego przez międzynarodowy komunizm ruchu pokoju (patrz: r. 31196.213.583);
— od czasu samowolnego opuszczenia szeregów agencji podczas pełnienia misji w singapurze korzysta z regularnej pomocy socjalnej i opieki szwedzkiego komitetu opieki nad uchodźcami politycznymi; dużą pomoc materialną otrzymuje od rodziców (ojciec zatrudniony na eksponowanym stanowisku w koncernie lotniczym boeinga, seattle) poprzez swoją siostrę helen, niezamężną, asystentkę w california western university, zamieszkałą w san francisco, golden gate ave. 331;

uwaga:

potwierdzonych dowodów jawnej współpracy z wrogiem brak.

— utrzymuje kontakty z grupą dezerterów z us army (patrz raport poufny cia) zjednoczone królestwo do dyrektora departamentu akcje specjalne — europa (sa-uk.: 5629.123/76).

koniec".

Z największego międzynarodowego portu lotniczego świata, imienia tragicznie zmarłego prezydenta Stanów, do portu lotniczego w Waszyngtonie, obsługującego linie krajowe, jest dwieście dwadzieścia mil. Odległość tę samolot pokonuje w godzinę, pociąg ekspresowy w cztery godziny, autobus dalekobieżny potrzebuje dwóch godzin więcej niż pociąg. Myśląc o odległości do pokonania, gwoli dokładności rachunku, należy dodać jeszcze cztery mile z National Airport do śródmieścia i dziesięć — ze śródmieścia do Langley. To jednak drobiazg. Sztokholm prosi o pośpiech. Przerzucanie bagażu do Centrali, zbadanie zawartości przez ekspertów, manipulacje, jakie ewentualnie okażą się wskazane, zwrot bagażu do Nowego Jorku — w sumie zajmie to dobę. Doba wystarczy.

Błękitny mówi:

— Sprawę przejmuje Centrala. Za chwilę zgłosi się do ciebie ktoś z kierownictwa komory. Przy bliższych oględzinach wspólnie stwierdzicie, że bagaż dotarł do was uszkodzony. Uszkodzony. Trzeba załatwić to komisyjnie. Komisyjnie, rozumiesz?

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glanc